

BOŻY GNIEW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Czasy Jana Kazimierza).

przez

J. I. Kraszewskiego.

TOM III.



WARSZAWA.

Gebethner i Wolff.
Michał Glücksberg.

Maurycy Orgelbrand
G. Sennewald.

Edward Wende.

1886.

Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 18 Сентября 1886 года.



I.

Codziennie prawie przynoszono języka a wiadomości te, których król był żądnym, niecierpliwiły go coraz mocniej.

Rad chciał już ciągnąć dalej ku Konstantynowu, ale pułki powoli się jeszcze ściągały, a skargi dochodzące zewsząd przekonywały, że żołnierz swawolny, po drodze się łupieztwem zabawił, wcale nie śpiesząc do obozu.

Niekiedy od Kozactwa załatwywało coś takiego. co zabołec musiało,—naprzykład, gdy hanowi tatarskiemu kładziono w usta te słowa, że mu więcej szło o przyjaźń jednego prostego Kozaka z pod Chmiela, niż o zgodę z Królem Polskim... Przyprowadzono tu pochwytyanych jenców z luznego Kozactwa i z Tatarów, co się zapędziwszy zadaleko, w ręce oddziałów polskich powpadali. Ci prawie zgodnie powtarzali, że Chmiel siły swe podzielił, że szedł przeciwko królowi i że

Orda z ogromnemi tłumami ciągnęła za nim znówu.

Tymczasem wojska powolniej daleko ściągały się niżby król życzył, który z każdym dniem więcej był tem podrażniony.

Pobył też w Lublinie, w tem towarzystwie królowej i pań, które się do niej i koło niej skupiały, wcale mu nie smakował. Nie śmiał się z tem oświadczyć, lecz z wszystkiego się to okazywało. Królowa zaś, choć ją Kozactwem zastraszano, które się przybliżało i zuchwale wtargnąć mogło aż nad brzegi Bugu, — nie miała ochoty powracać do Warszawy, chętnie-by była towarzyszyła mężowi, czując mu się w chwilach stanowczych potrzebną, widząc już intrygi jakie się około niego zasuwawać zaczynały.

Radziejowski dotąd grał przy niej rolę przyjaciela, który bolał nad tem, iż *nicudolny* król sam miał pozostać — królowej, która w początkach przeciwko insynuacyom tym o mężu nie protestowała — z trudnością teraz przychodziło go bronić. Milczała, lecz przyszłe losy wyprawy podjętej z takim wysiłkiem, przejmowały ją trwogą. Przeciwnie, Jan Kazimierz był najlepszej myśli i nadziei. Pobożny i wierzący w opiekę niebios, cieszył się cudownym obrazem N. Panny Chełmskiej, którą wojsko miało za opiekunkę pozyskać.

W Lublinie Janowi Kazimierzowi coraz jakoś robiło się duszniej; zdawało mu się, że gdy wyruszy sam z głównymi siłami, które się już tu zgromadziły, opóźnione też oddziały pośpieszą ku niemu. Nalegając codziennie na wyruszenie z Lublina, w końcu król z dowódcami dzień naznaczył, a że od Kozactwa coraz świeższe nalaływały wiadomości, iż się zbliżało — zdawało się, iż Marya Ludwika wyrzecze się dalszej podróży. Królowa, dotąd milcząca, oświadczyła w ostatniej chwili, że dopoki tylko będzie można, towarzyszyć chce mężowi i trudy jego podzielać.

Jan Kazimierz, jakkolwiek mu to może nie zbyt dogadzało, musiał dziękować.

Radziejowski, który i tu i tam podsłuchiwał i podszeptował — nymiechał się. Oświadczył zarazem żonie, iż bezpiecznie mogła też z nim pozostać. To „z nim“ dwuznaczne, wyrażało zarazem i króla. Podkanclerzyna, pozorem zgody ukołyszana, nie sprzeciwiała się.

Uroczyste było, ale niepokoju pełne, ruszenie z Lublina, pożegnania, błogosławieństwa. Gdy wiele osób ztąd powracało lub też się zatrzymywało, inne, przykładem królowej zachęczone, w ostatniej godzinie przeprowadzać się decydowały.

Radziejowską mąż zabierał tem pewniej z sobą, iż prawdopodobnie ku Sokalowi i Bugowi ciągnąć

miano, a w pobliżu nad Bugiem był jego Kryłów, miejscina po pierwszej żonie odziedziczona. Mogła więc, jak zapowiadał podkanclerzy, Jejmość spocząć w starym dworze w Kryłowie, jeśliby w Sokalu i przy obozie nie dogodnie jej było.

Wojsko z królem, który inaczej jak konno na czele swych chorągwi jechać nie chciał—ciągnęło dosyć powolnie na Uchanie ku Krasnemu Stawowi. W pochodzie wszyscy się przekonać mogli, jak te tabory ogromne. któremi wojsko było przeciążone, niesłychanie ruchy jego utrudniały. Wozy, kolebki, ludzie i konie króla i pauów, daleko więcej miejsca zabierały, niż sam żołnierz, a ten musiał przed nimi ustępować. Niezliczona ćma ciurów, czeladzi, sług wszelkiego rodzaju, jechała, szła, wlokła się, otaczała te tabory. Wśród natłoku nie było prawie godziny, w którejby nie powstała waśń, nie przychodziło do pięści, kijów i szabel. Za sługami ujmowali się panowie, starszyzna musiała biedz rozrywać i godzić.

Niekiedy dochodziło to aż do króla, który i sądy wojenne i nadzor musiał postanowić surowy... co niewiele pomogło.

Królowa ze swym francymmerem, dosyć licznym, z przestraszonymi kobietami, które ciągle Kozakami i Tatarami na żarty prześladowano—choć sama nienlekniona dotąd, zaledwie mogła w słu-

źbie utrzymać ład jakikolwiek. Przybiegano do niej ciągle z popłochem, a ten się jeszcze powiększył, gdy śmielsi przodownicy poczęli do króla jeńców chwytyanych przyprowadzać.

Widok tych twarzy dzikich, z wyrazem zwierzęcym... kobiety wprawiał w niewypowiedzianą trwogę. Wybiegały się im przypatrywać — powracały blade i drżące.

Zpowodu kolebek i wozów Maryi Ludwiki, czasem dla jej ciekawości i fantazyi zatrzymywać się musiano, i zmuszano też króla zwracać się, czekać, podjeżdżać do kolebki żony — co go niecierpliwiło.

Nie mówił jeszcze nic, lecz jawnem się stawało, że dalej, dalej pochód podobny był niemożliwym i niebezpiecznym.

W Uchaniu, wieczorem, Jan Kazimierz sam na sam się znalazłszy z żoną, miał naostatek odwagę wniesć, że jej—dla własnego bezpieczeństwa, koniecznie powracać należało.

Marya Ludwika obawą-by się do tego skłonić nie dała pewnie — ale król dodawał, że na Prymasa zdane były sprawy wszystkie, i że ona mu w pomoc radą i bliższą znajomością rzeczy przyjsć była powinna.

Trafiało to do jej przekonania.

Uśmiechało się zarówno spragnionej zajęcia i czynnego życia—zastępowanie króla w stolicy,

jak towarzyszenie mu w obozie. Wybór z dwójga był trudnym.

Właśnie w tej chwili wahania się i zwątpienia zjawił się czuwający, a raczej czyhający na nie Radziejowski. Wszystko to on przewidywał zawczasu i chciał z tego korzystać.

Dotąd podróży królowej nie był przeciwnym—dalej ona mu krzyżowała jego plany przewrotne.

Szło mu o to, aby ją z mężem rozdzielić i poróżnić — i zająć potem stanowisko pośrednika. bez któregoby się oboje obejść nie mogli.

Marya Ludwika, dotąd niepodejrzewająca tak głęboko sięgającej intrygi, chociaż niezmierną ambicją Radziejowskiego znała — uaradzała się z nim poufnie.

— Jest-że w istocie jakie dla nas niebezpieczeństwo?—zapytała go—albo w ten sposób grożąc niem, pozbyć się nas tylko chcecie?

— Podkanclerzy nastroił powagę wielką.

— W tym momencie—odparł—niebezpieczeństwa niema jeszcze, ale że ono nagle i niespodzianie zjawić się może—to niestety—pewna... Kozactwo jest zuchwałe; jego sposób wojowania na takich napadach zuchwałych zależy, których przewidzieć niepodobna, a gotowym być na nie zawsze potrzeba.

Z pewnością N. Pani spokojniej i lepiej byłoby

w Warszawie, dokąd ją i czuwanie nad sprawami Rzeczypospolitej powołuje.

— Tak-bym chciała towarzyszyć mężowi—westchnęła królowa.

— I to nie ulega wątpliwości, począł Radziejowski — że przytomność W. Król. Mości tutaj wielce jest pożądaną. Król sam sobie zostawiony, uleść może wpływowi różnym, słuchać rad niezawsze najlepszych. Bolesnie to powiedzieć, ale N. Pan w sobie nie znajdzie siły do pokierowania wyprawą, a gdy codzień kto inny ucho jego pozyszcze, wynikną ztąd sprzeczności targania, które wszystko zepsuć mogą.

Mnie król z pewnością słuchać nie zechce., a inni...

Podkanclerzy poruszył ramionami i zamilkł.

— Widzicie więc—dodała królowa, że wybór dla mnie trudny. Pozostać czy wracać? ma różne niedogodności.

— W. Król. Mość, gdyby powrót się stał koniecznym, co nastąpić musi—wtrącił Radziejowski — zechcesz wrazić to w umysł króla, że ja jestem najwierniejszym sługą jego, że mam dosyć odwagi i wytrwałości, aby co potrzeba i z dowódcami i ze szlachtą doprowadzić do końca; ale król się powinien pozbyć tego wstrętu i nieufności, jaki ma ku mnie, a które, zdaje mi się—winien wpływowi żony mojej. Staram się już

kwoli publicznej sprawie, pojednać z nią... jesteśmy dosyć dobrze... na wiele rzeczy zamykam oczy...

Królowa przechadzała się zamyślona.

— Sądzicie więc, że dalej towarzyszyć królowi...— spytała.

— Będzie niepodobieństwem - dokończył Radziejowski.— Z tą myślą się zawczasu oswoić należy... ale ja pozostaję. W. Król. Mość mieć będziesz najwierniejsze, codzienne sprawozdanie z tego, co się tu u nas dzieć będzie.

— Zaczekam jeszcze, aż mnie konieczność zmusi obóz opuścić - westchnęła.— Widzę to, że i w Warszawie byłabym potrzebną. a tu... się tak obawiam.

— Ja pozostaję na straży--żywo począł podkanclerzy—będę donosił i przestrzegał o wszystkim. W potrzebie potrafię powstrzymać krok, któryby się groźnym wydawał, król nie słucha mnie, ale ja znajdę środki wymożenia na nim... zwłoki przynajmniej. W. Król. Mość listami swemi będziesz mnie posiłkowała.

Tego wieczora więc już Marya Ludwika na wpół była przekonana, że odjechać powinna. Zapytała od niechcienia podkanclerzego, co z żoną myśli uczynić.

— Posunąwszy się ku Sokalowi, nad Bug, gdzie leży mój Kryłów — rzekł podkanclerzy—

bardzo mi będzie łatwo ją odwieść tam, pozostawić, a z Kryłowa zarządzić podróż do Warszawy. W. Król. Mość nie chcę obciążać jej towarzysstwem i powiększać i tak już dosyć gromadnego taboru.

Królowa nic nie zdawała się mieć przeciwko urządzeniu takiemu, bo. nie lubiąc podkanclerzyny, wołała nie mieć jej z sobą.

Radziejowski w ten sposób z jednej strony przygotowawszy Maryą Ludwikę, wsunął się do Króla, aby u niego tem się pochwalić—wiedział, że wiadomość będzie dobrze przyjętą.

Chociaż król. jak zwykle, nie miał ochoty do rozmowy z nim, podkanclerzy się narzucił.

— N. Panie—szepnął tajemniczo — starałem się skłonić królową. aby powracała do Warszawy. Im dalej się posuwamy, tem przytomność jej w obozie ruchy nam utrudnia.

Jan Kazimierz odwrócił się ku niemu, ale nie przemówił jeszcze.

— Zdaje się, że N. Pani sama zaczyna to widzieć—iż się narażać nie powinna.

Zamruczał coś król.

— W. Król. Mość nalegaj tylko otwarcie Idzie o bezpieczeństwo osoby, o niewczasy i niewygody, na które się narażać w tym stanie zdrowia nie powinna. Nawet doktor być może na świadectwo pozwany...

Królowa się waha, przez troskliwość o osobę W. Król. Mości—lecz sądzę, że się da skłonić.

Nie odebrawszy odpowiedzi, Radziejowski dorzucił po chwili:

— Ja z moją żoną muszę pozostać... najmniej do Sokala. Niedaleko ma mój Kryłów, gdzie się zawsze schronić będzie mogła. Dwór wprawdzie stary i opuszczony, ale kazałem go oczyścić, a i to wiosna się zbliża... nie potrzeba więcej nad dach i ściany...

Słuchał król napozór nie okazując, aby go to wielce obchodzić mogło, ale w duszy dziwił się potrosze temu, iż podkanclerzy żonę chciał dłużej zatrzymać, odprawiając królową. Byłoby dla niego niezrozumiałem.

Wśród tych rozmyśłów i napaściwych podkanclerzego rad i uwag, które króla zarzucał, oznajmiono, że... przybyli dwaj, na wycieczkę dalszą z oddziałem wyprawieni, Ichmość panowie Joachim Łącki i Kurowski, którym się powiodło pod Kopczycami z Ordą się ucierając, pochwycić Neczaj Murzę tatarskiego.

Na tego czarnego olbrzyma, gdyż Murza był nadzwyczajnego wzrostu, co u Tatarów rzecz rzadka, wpadłszy naprzód Łącki, szczęśliwie mu z rąk szablę wytrącił i chciał go z konia ścignąć, ale Murza silniejszy, towarzysza pochwyciwszy z nim razem, sobą go cisnąc, padł w bło-

to. Kto wie jakby się była walka ta skończyła, gdyby nie przypadł Kurowski, który ratując Łąckiego, Murzę obuchem w łeb uderzył raz i drugi poprawiając, tak, że w końcu Tatarzyn okrwawiony przytomność stracił, a nasi go związali i w niewolę wzięwszy uprowadzili.

Zwadzili się potem o pancerz bardzo misterny i kosztowny, który Murza miał na sobie, i razem z jeńcem przybyli do króla na sąd.

Ponieważ ciemno już było, gdy z nim przyszli a Jan Kazimierz widzieć chciał tego olbrzyma, bo mu go opisywano już jako dziką bestyą osobliwą, zapalono pochodnie przed dworem i zbiegło się mnóstwo ludzi na oglądanie Murzy.

Przywleczono go na łykach, opierającego się i tarzającego. mimo, że głowę miał pobitą i pociętą straszliwie, a krew na niej ledwie pozasychała. Wyszedł zaraz król, ogromne koło się zgromadziło, a Łącki z Kurowskim opowiadać zaczęli, jak go zmagli. Przyczem sprawę swoją wytoczyli, o ów pancerz złożony i wielce kunsztowny, który też przyniesiono.

Nim Jan Kazimierz o nim zawyrokował, ktoś z tłumu zawołał:

- Co się tam o łupinę tę wadzić macie? a nie przystałoby jej, jako pierwszy łup złożyć u stóp j. król. mości?

Oczywista rzecz, że Łącki i Kurowski nie mie-

li słowa do powiedzenia przeciwko temu, ale się król okrutnie zachnął.

— Ale dajcież mi pokój! ja go nie chcę i nie przyjmuję. Kurowskiemu go przysądzam, bo bez jego pomocy Łącki-by nietylko pancerza nie widział, ale czarna ta bestya byłaby go zadławiła.

Łaskiemu zaś moja rzecz nagrodzić jego mężstwo, i o nim ja niezapomnę. nie straci na tem.

Łącki się tedy schylił do kolan królowi, a Kurowski zaraz pancerz sciągnął, który wszyscy biegli oglądali, gdzie znajdujący się wypadkiem Otwinowski dostrzegł przy świetle pochodni, iż na kółkach jego były arabskie napisy, które miał później odczytać.

Murza ten, którego, jak niedźwiedzia w łozysku pochwyconego oglądano ciekawie, istotnie był niezwykłej urody a pewnie i siły.

Skóra na nim niemal tak czarna, jak na murzynie, spalona, jeszcze połysk jego oczów i zębów, którymi podczas zgrzytał, straszniejszymi czyniła.

Potrzebnie czy nie, dano znać o tym potworze królowej; dowiedział się francymier: więc co żyło, biegło. Dodawszy noc, pochodnie, całe to zbiegowisko z Murzą związanym posrodku taki obraz stanowiło, że chyba drugiego mu podo-

bnego nie łatwo było ujrzeć. Królowa ukazała się na ganku przy mężu, i przypatrywała się mężnie dosyć, nie okazując, aby ją ta bestya czarna nastraszyła, ale spytała wszakże w pobliżu stojącego Kłobukowskiego, czyby wistocie Tatarowie wszyscy tacy byli.

Tedy Radziejowski przystąpił przypominając N. Pani, że w jego pałacu, dawniej Kazanowskiego, kilkudziesięciu jeńców tatarskich nieraz widywała. Lud był statury nie tak rozrosły choć krzepki, barczysty i silny.

— Murza ten — dodał Kłobukowski—na oko tylko straszny, a wielu małych nogajców gorsi byli może nad niego w boju

Gdy się tak tu *monstra* przeciągała, Murza, który stał na postronkach trzymany, nie zważając na nikogo, na ziemię padł i położył się, aż go potem zrywać z niej i do odejścia musiano gwałtem napędzić.

Król musiał rad być Łaskiego zdobyczy, bo Murza niewiasty obozowe przejął trwogą, a może i samej królowej dał do myślenia, że inne były te wojny we Francyi, na które się do obozów narażały panie, a z dziczą taką, na pół ze zwierzęty, narażać się nie przystało niewiastom. Wszelki żołdak, gdy się w walce upoi krwią i ową gorączką pobojowiska, dzikim się stać może i

szalonym co dopiero takie stworzenie które prawdziwego Boga nie zna?

Na młyn to więc Radziejowskiego woda płynęła, a i król wreszcie był rad.

Jednakże z Uchania się zawrócić nie chciała królowa i dalej jechała razem z mężem do Krasnegostawu. Tu nowego języka dostał Jan Kazimierz, który dozwalał bardzo rychło spotkania z Kozactwem i Ordą się spodziewać. Trochę to na wet popłochu zbudziło z tego powodu iż wszystkie się siły nie ściągnęły jeszcze.

Zatem i królowa oświadczyła, że gotową jest zawrócić ztąd do stolicy, ażeby nie być królowi na zawadzie w ruchach, jakie będzie musiał obmyśleć. W sam czas przychodziła ta rezolucya Maryi Ludwiki, gdyż w Krasnymstawie godziny prawie nie było bez nowego języka.

Nie wszystkie one na wiarę zasługiwały, gdyż ludzką mowę zawsze trzeba ważyć ustami, z której ona wychodzi, jak wodę źródłem, z jakiego płynie. I tu też wieści były najsprzeczniejsze, bo jedne nieprzyjaciela bliżej, inne dalej wskazywały, ale o tyle godziły się wszystkie, że zbliża się zwycięstwo, a wcale pospolitem ruszeniem strwożonym nie był.

Xięzki naówczas, słuchając, co powiadano, jakoby Chmiel miał Hanowi prawić, śmiejąc się mruczał:

— Ten zdrajca Kozak lepiej nas pono zna, niż my sami siebie, bo nam prorokuje czego ja — nie-stety, nieraz doświadczyłem. Nie boi się pospo-litego ruszenia. wiedząc dobrze, iż ono długo nie postoi. rzuci się mężnie, zetrze ochoczo, ale jak mu w polu na słocie przyjdzie cierpliwie dwie niedziele trwać, rokosz podniesie

Protestowali przeciwko temu inni, bo chwila była mroczysta a stanowcza, w której przycho-dziło do ostatecznej rozprawy z rebelią, nad wsz. lłą miarę rozuchwaloną. Xiężki milczał, ale węża zakęsywał.

— Zobaczymy!

Po małym spoczynku w Krasnymstawie naza-jutrz już król dalej ku Sokalowi, a królowa po-wrotem do Warszawy udać się miała. Ranek był majowy, dosyć pogodny choć niezbyt ciepły. Mimowoli może się jakiś wielce mroczyscie to rozstanie zgotowało. Cały orszak Maryi Ludwiki, panie i panny, zawczasu już płaczące, rozżalone wystąpiły. Mało która też tam nie miała albo miłego sercu lub brata, męża, powinowatego, który szedł na bój, zapowiadający się krwawo. Przed zamkiem i po sieniach stały parami serca, którym rozstanie przychodziło bolesciwie. Męż-czyźni wesołemi się starali okazać, ale niewiasty mężstwa nie udawały, krom królowej może, która je do końca zachowała,

Dla króla stał na ten dzień jego najlepszy i najlubiejszy wierzchowiec tarantowaty przygotowany z siodłem i kapą paradną. Dla innych też, gdyby w dzień popisu konie były najpokaźniejsze i rzędy najkosztowniejшие zgotowane. Służba cała w barwach nowych, chorągwie z pokrowców wydobyte w powietrzu powiewały. Kopynicy na pół dnia przynajmniej pobrali swe proporce do rąk, które im nad głowami szumiały, jako las...

Na przedzie stojąca królewska chorągiew usarska, przy której Jan Kazimierz jechać miał, nad wszystkimi celowała, bo to był dobór ludzi, koni i uzbrojenia ze skrzydły, z szyszakami złoczonemi, z koncerzami sadzonymi w klejnoty, z tarczami złoczonemi i malowanemi, który oczy porrywał, aż żał brał myśląc, że się ten kwiat rycerstwa miał z ładajakiem chłopstwem opilem potykać i przeciwko niemu ważyć życie.

Ale patrząc na nich, nie mógł nikt ani na chwilę powątpiewać, że gdzie taki oddział rzuci się całą siłą, tam tysiące przed nim pierzchać będą musiały.

Wyszli tedy księża z błogosławieństwem, relikwiami, święconą wodą, wyszedł król we zbroi, szyszak tylko dawszy paziowi do niesienia, i królowa w podróżnych szatach... Pożegnanie było krótkie, ale serdeczne. Król zaraz skinął, aby mu

szyszak podano i dosiadł taranta, ale w orszaku Maryi Ludwiki taki się płacz rozległ i szlochanie, że niejednemu niepotrzebnie to serce zmiękczyło.

Poczęto walać zaraz:

— Na koń! na kon! — a król przed chorągwią stanąwszy, do pochodu znak dał, skłonił się raz jeszcze żonie, która białą chustką powiewała i przy dźwięku muzyki wyruszył przodem.

Siadły też panie do kolebek przygotowanych, czeladź na konie i Zamek Krasnostawski zaroił się już tylko ostatkiem obozu, szarym jego ogonem.

Gdy się to działo, pani podkancierzyna też na zamku była przytomną dla pożegnania królowej, która ją bardzo krótko i zimno przyjąwszy, odprawiła. Radziejowski zaś konno jeszcze za miasto Maryą Ludwikę w kilka koni odprowadził.

Wielu się może z kobietami rozstawało smutnie—to pewna, ale dla wielu starszych ciężar spadł z niemi z ramion, bo dwór królowej w pochodzie był niemałym brzemieniem.

Sam Jan Kazimierz czuł to najlepiej.

U drzwiczek kolebki królowej jadąc, podkancierzy miał sposobność jeszcze ją zapewnić, że pozostaje tu na straży, jako jej wierny sługa i woli wykonawca. Wzdychał przewidując, że obo-

wiązek ten pewnie łatwym do spełnienia nie będzie, lecz ręczył za swą gorliwość.

Kolebka też pani podkanclerzyny, która wytwornością swą i zaprzęgiem nie ustępowała t. j., jaką jechała królowa, ruszyła razem z wozami króla i dworu, w dalszą ku Sokalowi drogę. Była ona jedyną pozostałością z licznego niewieściego orszaku.

Radziejowska jechała sama, ze sługą tylko, pogrążona w myślach. bo nie wiedziała, czy się miała cieszyć, czy niepokoić powolnością mężowską, — i projektem towarzyszenia mu do Kryłowa.

Zdawało się jakby naostatek pozbył się swej zazdrości, podejrzeń i wracał do lepszych dla niej sentymentów, ale mogłaż rachować na niego, znając już przewrotność i obłądę?

Wojsko posuwało się dalej powolnym bardzo chodem, a los tak chciał, że pierwszy ten dzień nie miał przejść bez tragicznego wypadku.

Chorągiew właśnie lasem ściągnęła, gdy bystre oko króla dostrzegło zdala siedzącego nad drogą, niby żebraka, człowieka dziwacznie odzianego, odartego po części w łosim kolecie niemieckiego kroju, mocno zszarzanym...

Przy królu oprócz innych, jechał przywołany przez niego wypadkiem od swej chorągwi Strzę-

bosz. bo go Jan Kazimierz rozpytać chciał o nią.

Król wskazał na niego.

— Dałbym gardło — odezwał się — że to jest szpieg... patrzy zpodłba, a z postawy i z odzieży na tubylca nie wygląda.. Podejrzana to figura.

Strzębosz nawet się zaofiarował po niego. bo król przystanął. a tuż i Jaskulski nadbiegł i kilku innych. którzy dosłyszeli słowa króla.

Skoczyli więc ku żebrakowi. który postrzeższy. że się do niego mają. zrazu umykać chciał. ale wnet się rozmyślił. bo uciec nie było sposobu. Strzębosz pierwszy dobiegł. wołając:

— Stój? ktos ty? co za jeden?

Dopiero teraz mu się mogli przypatrzeć. a twarz w której wszystkie mięśnie drgały. opalona. pomarszczona. wejrzenie lisie. już go więcej niż podejrzanym czyniły.

Otoczyli go wojskowi.

— Żołnierz j stem — wybąknął — co ma być: żołnierz z regimentu niemieckiego, co tu stoi w pobliżu.

— Cóż tu robisz?

— Wyszedłem na słońce. bo mnie trzęsie febra.

Jaskulski tedy popatrzywszy nań. gdy się zmięszał. batożkiem go po plecach i krzyknął:

— Pżesz...

Wtem król począł dawać znaki, aby mu go przyprowadzono. Pędzono więc gdzie stał na koniu, oczekując Jan Kazimierz, ale nim doszedł, zupełnie się strwożył i rękami począł chwycić powietrze, jakby padał.

Postawili go przed królem. Znowu tedy pytania.

Nie śmiał już kłamać, że z regimentu żołnierzem jest, ale bąkał, że żebrak, ubogi, że tu w sąsiedztwie przytnęk miał, że człowiek niewinny I jak stał tak na kolana padł przed królem, ręce złożył i miłosierdzia prosić zaczął.

Wszystkich to uderzało, że gdyby istotnie żebrakiem był, do niczego się nie czuł, tochy strachu takiego nie miał. Przytem fizys okrutnie podła, podejrzenie budziła.

Król ręką bijąc po siodle do Jaskulskiego począł wołać:

— To szpieg jest... ja to czuję... każ go wność wziąć na spytki... zobaczycie...

Ledwo to król rzekł, a tu go już pod ręce pochwycili, pod las z nim się niosąc. pacholtkowie pisarza; nieznajomy krzyczał w niebogłosy.

— C ego wy chcecie odemnie? człowiek niewinny jestem.

Król, na koniu stojąc czekał, aż zdala rozległo

się wołanie i krzyk i nie trwało dłużej nad dwa pacierze, aż przywleczono go nazad przed króla jmości.

Jaskulski jechał przodem i wołał:

— Przyznał się, że szpiegiem jest, od Chmie-
la wysłanym.

— Dawaj go tu — rzekł król.

Przywlekli go bo już iść albo nie mógł, albo nie chciał, tak skruszonego, że w nim ledwie się dusza kołatała. Mówił dosyć niewyraźnie i płatał się, ale ci, co bliżej szli królowi to podnosili.

Okazało się najpierw, że zbiegiem był od wojska zaciężnego, ale, że jeszcze za króla Władysława IV uciekł i tulał się, a może i rozbijał.

— Kto cię posłał? — pytał król.

— Kozacki hetman mnie posłał — począł pochwycony — i obiecał mi nagrodę za to tylko, abym na oczy króla widział i doniósł jemu, że on sam przy wojsku się znajduje.

— Aha! widzicie — rzekł król, tryumfując — otóż go macie! Zdradził mi się tym łosiowym koletem, który ze sobą z wojska wyniósł, boby mi inaczej nie wpadł w oczy.

Kazał król pytać o kozactwo: gdzie on je porzucił, ile ich było, i czy orda z niem szła, a jaką liczbą; ale niewiele się z niego dowiedzieć mogli dla trwogi, bo mu się język płatał. Wiedział, co go czekało, bo oprawca z pacholkami

już stał i postronki gotowe były, aby go zaraz na najbliższej sośnie obwiesić...

Król prośb ani chciał słuchać.

— Czas wojenny — rzekł — szpiega wypuścić, znaczy samemu na siebie bicz ukreślić. a wlec go za sobą w petach. to ciężar próżny.

Tyle tylko, że mu król kapelana posłał, aby go wypowiadał. Wojsko się tymczasem ruszyło dalej i chorągiew królewska niedaleko odeszła, gdy łotr już na gałęzi dyndał.

Więc wszyscy to za bardzo dobry *omen* brali, szczególnie się dziwując temu trafnemu wejściu króla. boć go widziało pułków i ludzi wielu przeciągając, a nikt ani pomyślał, ażeby szpiegiem mógł być.

Przypominali drudzy, czemu dawniej wierzyć nikt nie chciał, a co się prawdą okazywało co dzień większą, iż ów kozaczysko prosty. Chmiel, politykiem był lepszym od wielu najzawołniejszych statystów, a informacje zewsząd miał tak dokładne; że co na pokojach królewskich się mówiło, co w radzie wojennej, co w tajemnym gabinecie króla, on o tem wszystkiem był najdokładniej uwiadomiony.

Poczęści się to tem tłómaczyć dawało, że w służbie panów, niemal wszystkich Rusinów z Kozakami blisko spo winowaconych i wiarą i językiem było bardzo wielu, a niektorzy z nich,

cierpiąc upokorzenia i obejście się panów surowe radzi się mścili i służyli bodaj Chmielowi.

Z tej garści Kozaków. co wierna pozostała przy księciu Jeremim i innych. niemal codziennie kogoś zbrakło; znikał, jak kamfora. a innych pilnować musiano, nieufając już im. choć się poprzysięgali. że wiernymi zostaną.

Do Sokala tedy ciągnął wprost Jan Kazimierz, przykładem swoim budując starych nawet żołnierzy, tak czynnym był, niezmordowanym. zapobiegającym, aby wszystko w porządku się odbywało, aby nikt excessu żadnego po drodze nie popełnił, za co otrąbiono po pułkach, iż doraźnym sądem król karać każe.

Przytem pobożność wielka zachowaną była; msze zrana pod namiotami odsłoniętymi tak, że ich dokoła stojący słuchać mogli, wciągnięciu zaś zwykle od Bogarodzicy poczynano. a potem różne pieśni pobożne księża intonowali, których przy wojsku nigdy tylu. co teraz nie było.

A, przykładem ks. Lisickiego, który pod Zborowem zginął, później też duchowieństwo, gdy szło o spełnianie obowiązków, ani kul. ani strzał się tatarskich nie obawiało i szło na nie mężnie.

Króla ci, co, jak Strzębosz, dawniej goznali i widywali—naprawdę teraz poznać nie mogli. Dyz-

ma przed wujem, gdy o tem mówił, co bywało. a co jest, śmiał się poswojemu Xięzki.

— Ja to też admiruję. mój kochany — odpowiadał—ale sztuka wyrwać do końca. Bo że ludzie dworskiej edukacyi wszystko z siebie uczynić mogą, co zechcą, to wiadoma rzecz, ale co nie płynie z serca, a jest tylko pańszczyzną z musu. niewiele warto.

Już temu się było można dziwować, że król z sobą dla rozrywki nikogo z tych nie wziął, którymi się zwykł był otaczać; zabawy i wesołości nie szukał—a pracował nie spoczywając.

Można miarkować łatwo, jak to wielce wychwalane postępowanie królewskie podkanclerzemu się nie podobało, lecz nie było mu co zarzucić. Śmiał się więc Radziejowski z samej tej surowości, znajdując, że król z wojskiem, jak bałazarz ze studentami obchodził się, nie jak wódz z rycerstwem. Każde jego słowo wyszydzał... króla zaś napróżno namawiał, aby sobie i drugim folgował.

O panią podkanclerzykę, chociaż król wiedział, iż jechała, wcale się nie dowiadywał, ani starał się ją widzieć. Radziejowski napomynał mu; nie odpowiadał. Dopiero drugiego dnia się tak trafiło, że Jan Kazimierz zatrzymał się około wsi, przez którą wojsko przeciągało, a z kolei ko-

lebka też podkanclerzyny się ukazała. w której ona z ochmistrzynią. kobietą niemłodą, jechała.

Król z konia zsiadłszy, u samej bramy prawie z kilku swoimi rozmawiał, ale Radziejowskiego w bliskości nie było. Nie wahał się, ujrawszy podkanclerzynę, przystąpić do kolebki i przywitać.

— Nie zlekliście się widzę ani Tatarów, którymi nas straszą. ani niewygód podróży — odezwał się — zostaliście z nami wiernie. Ale — szepnął ciszej — cóż mąż na to?

— Sam życzył sobie, abym mu do Sokala i Kryłowa towarzyszyła — rzekła Radziejowska — zastosowałam się do woli jego.

Spuściła oczy i bardzo cicho szepnęła:

— Jak się to skończy? zaprawdę nie wiem.

— Chociaż miło mi was tu widzieć — rzekł król — ale naprawdę wolałbym być dla spokoju waszego powrót do Warszawy.

To mówiąc, dał znak głową i pożegnał nim Radziejowską, która jechała dalej. Podkanclerzy. chociaż dalej stał, ale kolebki żony z oka nie spuszczał i zarnmienił się, widząc, że król się do niej zbliżył, ale pozostał w swem miejscu.

Nie przepuścił jednak królowi. i tegoż dnia przyciął mu, że go widział rozmawiającego z jejmością. Słowa były grzeczne. ale uśmiech i wyraz twarzy szyderski i cyniczny. Jan Kazi-

mierz mu na to odparł, iż wistocie wymawiał podkanclerzynie, że mężowi towarzyszyła. gdy lepiej dla niej było do Warszawy powrócić.

— Mówiła mi, żeś wpał tego sobie życzył sam, czemu się dziwuję.

To rzekłszy, król się odwrócił od niego i poszedł rozmawiać z kapelanem.

Radziejowski stał potem, czekając, bo chciał coś jeszcze dodać, ale król się tak zręcznie mu wyslizgał i innymi zaślaniał, że już dostąpić do niego nie mógł.

Pomścił się za to w gospodzie, powróciwszy do żony ale ta mu długo też nie dała mówić, i porzuciwszy go, wyszła do sypialni.

Był to dopiero tej podróży początek.

II.

Król ze swemi sześciu tysiącami posuwał się dalej ku Sokalowi, gdzie równocześnie z nim stawić się miał stary hetman Potocki na czele siedmiu tysięcy. Tamże inne pułki panów senatorów. królowi na wyprawę ofiarowane nadciągać miały. Dotychczas wszystko szło i obiecywało się jaknajpomyślniej. Król był dobrej myśli i niezmęczony na koniu ciągle z wojskowymi w rozmowie poufałej. Z innymi też duchownymi i świeckimi towarzyszącemi mu nadzwyczaj uprzejmy. surowszym się stawał tylko, gdy szło o utrzymanie w wojsku porządku, i o najniejszych zaszłych dnia każdego wypadkach donosić sobie kazał. Posrzednicę też, że nawet, gdy najweselszym i najrozmowniejszym był, zobaczwszy zbliżającego się podkanclerzego za niego się odwracał, unikał z nim spotkania, a przymuszony potrzebą jego, zbywał go niecierpliwie.

Było to tak nderzajacem, że nietylko inni, ale i sam Radziejowski poznać się na tem musiał, chociaż ndawał, że nierozumie. Nie mając na kim mścił się za to na żonie, przed którą na króla wymyślał. wiedząc, że ona bronić go będzie, z czego codziem rosły nieznośne poswarki między nimi. Najczęściej zapłakana i zagniewana, podkanclerzyna odchodziła i zamykała się od męża. ale ten ją ścigał i odprawić się nie dawał.

Oprócz, tego codziem listy wyprawiając razem z królewskimi kresami do Warszawy, podkanclerzy coraz ostrzej przeciwko królowi się w nich rozpisywał. w ten sposób. aby Maryą Ludwikę zniechęcić i pogniwować.

W pierwszych zaraz powtarzał, jakoby powszechnie w obozie znane wyrażenie króla, który po rozstaniu się w Krasnymstawie miał publicznie się odzywać, że. chwala Bogu. pozbywszy się jejmości, teraz dopiero swobodnie będzie się mógł obracać i t. p.

Oprócz tego donosił Radziejowski, że wszystko to, co doradzała królowa, było teraz zaniebane i wysmiane, że wcale jej w rozmowach swych Jan Kazimierz nie oszczędzał, narzekał na jej natrętne rady i chęć mieszania się do spraw, których nie rozumiała.

Raz na drogę tych zwierzeń wszedłszy, pod-

kanclerzy coraz gwałtowniej nastawał, dodając, że król w prowadzeniu wojska dawał dowody swej nieudolności i nieznajomości rzeczy, że zniechęcał rycerstwo, że się to na zbyt okrutnym okazywał. to do zbytku pobłażającym. Zwrotką tych wszystkich listów było pochlebne dla królowej ubolewanie nad tem, że się oddała, a król, zdrowych jej rad pozbawiony, mógł łatwo na największe rzeczpospolitą narazić niebezpieczeństwo. Nie było najmniejszej czynności i rozporządzania króla, którychby Radziejowski nie wyzyskał w tych doniesieniach, poczynawszy od obwieszonego szpiega, aż do ustanowionych sądów i zaprowadzonej większej w wojsku karności.

Listy te codziennie oddawał podkanclerzy do kancelaryi królewskiej, a ta je wraz z innemi do Warszawy kresami odprawiała, gdyż i król każdego wieczora dla królowej doniesienia dyktował, a niekiedy własnoręczne w nich przyjacielski dokładał.

Nie mając nikogo oprócz żony przed kimby te swoje żale mógł wylewać, Radziejowski męczył niemi żonę, resztę w listach do królowej mieszcząc.

W pochodzie z każdym dniem król się od niego więcej odstręczał i odsuwał, im on napastliwiej się

narzucał, i stosunek, który nigdy przyjaźnym nie był, pogorszył się znacznie.

Jan Kazimierz tak był natrętnością podkanclerzego znudzony i rozdrażniony, iż się w końcu z nią nie ukrywał przed dworem i komornicy nawet, a pokojowcy wiedzieli, że gdy mogli Radziejowskiemu do króla drogę zaprzec, był im za to wdzięcznym.

Uroczyscie i wspaniale odbyło się połączenie pod Sokalem dwóch wojsk pod wodzą króla i sędziwego hetmana Potockiego.

Wiedziano już o przybywaniu Jana Kazimierza i regimenta Potockiego w szeregach, w świątecznych strojach, w najwspanialszych rzędach, z kotłami i trąbami oczekiwały na pana...

Królewskie pułki, na których czele on sam we zbroi i szyszaku od Papieża przysłanym jechał, występowały też paradnie. Ogromną przestrzeń nad brzegiem Bugu zajęły te dwa oddziały, a widok ich był serca zagrzewający.

Dopieroż gdy stary, trudami i niewolą złamany hetman zbliżył się do króla, a ten go ze łzami witać począł, gdy chorągwie się pochyliły przed panem, muzyki odezwały, a z piersi tych tysiąców wyrwały okrzyki, wszyscy byli tak wzruszeni, iż o nieprzyjacielu i grożących niebezpieczeństwach zapomniano.

Król z wielką radością na twarzy, mając u bo-

ku swego Potockiego, natychmiast pojechał od chorągwi, zatrzymując się przed każdą, chwyląc, zagrzewając, rozmawiając z dowódcami.

Cały ten dzień zszedł niemal na lustracyach, a potem na przyjęciu Potockiego i na wojennych naradach. Nigdy króla tak ożywionym i wesołym nie widywano, jak teraz.

Prawda, że połączone siły te, chociaż liczbą nie były znaczne, doborem, pięknnością, porządkiem się odznaczały, a składały się w znaczniejszej części ze starego, wytrawnego żołnierza, dla którego walka była chlebem powszednim i pożądanym trudem.

Obóz ten, w którym istotnie nie liczyło się nawet czteremnaście tysięcy ludzi, na pierwszy rzut oka nierównie znaczniejszą liczbę obiecywał, gdyż tabory dowódców, towarzyszków, starszych drugie tyle miejsca co wojsko same zajmowały.

Gdy się to wszystko rozłożyło i pozajmowało powytykane sobie miejsca jak okiem zajrzeć widać tylko było namioty, chorągwie szalasy, wozy i tabory. Legło to pod miasteczkiem, w którym królowi w klasztorze mieszkanie opatrzone.

Podkanclerzy też postarał się o to, aby w niewielkiem oddaleniu od niego mógł się z żoną pomieszczyć.

On także spodziewał się królowi miłą uczynić

niespodziankę, na którą rachował — i czekał na rajtaryą swoją. mając ją tu ofiarować j. krol. m. Niewiele ona go kosztowała, oprócz ludzi, bo cekhanz bardzo zapaśny po Kazanowskim, oręża doskonałego i wszelkich przyborów dostarczył.

Z królem bardzo na zimno ciągle, rozdrażniony przeciwko niemu. Radziejowski, co gorzej, naprożno sobie szukał sprzymierzeńców i sojuszników. Dębickiego tu nie było, kilku innych warchołów sejmikowych brakło, a p.p. senatorowie tu znajdujący się, widząc, jak król od niego unikał, także się usuwali od poufalszych stosunków. Nie pozostawało podkanclerzemu nic nad szukanie towarzystwa pomiędzy wojskowymi, których zapraszał, karmił, poił — i ostrożnie ich starał się przeciw królowi nastrajać.

Najsmutniejsze było życie podkanclerzyny. która żałować zaczynała, że się dała mężowi pociągnąć w tę podróż, nierozumiejąc jej celu. Po całych dniach zmuszona była siedzieć sama ze swą ochmistrzynią i sługami w gospodzie, albo modlić się w kościele lub oknem się przypatrywać wrynkowi ciągle ukazującym różnej broni i chorągwi wojskowym, z obozu i do obozu przeciągającym.

Radziejowski rzadko zrana przychodził i nie jadał w domu z żoną. Gości swych przyjmował naprzeciwno, a późno w noc rozstając się z ni-

mi, najczęściej do mieszkania wracał, gdy już żona oddawna się udała na spoczynek.

Jezeli przyszedł czasem wieczorem, to jakby naumyślnie, aby podkanclerzynę dręczyć, wysmiewając króla i naigrawając się z jej obrony.

Zawsze prawie przychodziło w końcu do scen takich, iż biednej ofierze nie pozostawało nic tylko płacząc uchodzić i zamykać się. Nie zawsze jednak dawała się tak łatwo zwyciężyć Radziejowska. Wybuchala niekiedy tak ostro i z tak dotkliwemi wyrzutami, że on w passyę wpadał.

Życie to było męczeńskie. Dwa, trzy dni nie widywali się czasem wcale, potem rozmyśliwszy się, podkanclerzy przychodził rozpoczynając na nowo swoje wysmiewanie się z króla i t. d.

Listy wyprawiał coraz ostrzejsze codzienn, a na nie całą swą wysilał przewrotność, starając się króla wystawić, jaknajnieudolniejszym, a wiarę w jego przywiązanie do królowej zachwiać i małżeństwo poróżnić. Skutek był tak widoczny: że król w listach żony poczuł zaraz wpływ jakichś doniesień nieprzyjaznych.

Lecz tyle było codzienn do czynienia, iż Jan Kazimierz musiał tłómaczenie się na później odłożyć. Zaraz drugiego dnia po przybyciu do Sokała nadeszły wiadomości, że Chmielnicki z siłami głównemi szedł na Dubno i Ołykę. Spodziewano się, że warowne dosyć dwa zameczki

te, choć załogi miały niewiele, obronić się potrafią.

Radzono, jak iść dalej i gdzie Kozaków szukać lub czekać na nich. Tymczasem codziennie prawie jeńców im zabranych przyprowadzano królowi, a co najmilszem mu było, że kilku ich przystawił kozak. Zabuski, który się przerzucił do wojsk wiernych i teraz skutecznie bardzo napadał Chmiela.

Wkrótce potem ks. Dymitr Wiśniowiecki chorągiew przyprowadził, Lanckoroński pułk cały, przyczem Jan Kazimierz znowu obóz objeżdżał, lustrował i sprawy wojskowe sam załatwiał, bo na nich nigdy nie zbywało.

Wzorem Zabuskiego, zjawił się potem niejaki Bohdaszko kozak, przyrzekając, że pułków kilka od Chmiela oderwie i królowi przyprowadzi. Przyjęto go mile, lecz później się okazał zdrajcą, który tylko wypatrzyć chciał, co się w obozie działo i Zabuskiego próbować.

Hetman Kalinowski także w tym czasie zpod Kamieńca z wojskiem przyszedł się z królem połączyć, ale liczbę przyprowadził mniejszą, bo chorągwie przez poniesione straty były znacznie uszczuplone. Przez cały ten czas król był nieustannie czynny, oglądając przybywające ciągle pułki nowe, stanowiąc sądy, zajmując się naj-

drobniejszymi szczegółami, w czem mu teraz oba hetmanowie ciąglą byli pomocą.

Chorągwie nowe nieustannie nadchodziły; osiemnaście ich przyprowadzili Lubomirscy, pułk rajtarów kanclerz Radziwiłł, kasztelan bełzki piechoty oddział, trzy chorągwie kozackie Wiśniowiecki, szlachta nawet mniej zamożna, a w końcu i Elektor Brandeburski sto koni.

Radziejowski musiał także ze swoją obiecaną zdawną rajtaryą pospieszyć i sam ją z wielką pompą przed króla przyprowadził, która, że istotnie bardzo doborną i doskonale uzbrojoną była. Jan Kazimierz, chociaż go zniesić nie mógł, czując w nim wroga, okazał mu twarz wdzięczną i w słowach bardzo pochlebnych, za gorliwość w usłudze Rzeczypospolitej podziękował.

Nie zaspokoilo to wcale pyszałka, któremu wszystkiego tego było zamało, ani go sklonilo ku królowi, i listy do Maryi Ludwiki płynęły tak pełne zaskarżeń, jak wprzód.

Najwięcej zaś w nich na to nalegał Radziejowski, iż król niewdzięcznością się żonie wypłacał, lekceważąco wyrażając się o niej, z rad jej się wysmiewając i t. p.

Musiało to w końcu oddziaływać tak silnie w Warszawie, że kresy ztąd przychodzące listy od Maryi Ludwiki całkiem przynosić przestały.

W początkach jednak król, tyle mając zajęcia na głowie, nie postrzegł ich braku.

Ciągle prawie przyprowadzano jeńców pochwy-
tanych i słuchano ich doniesień o ruchach Chmiel-
nickiego, o którym w końcu przyszła wiadomość,
że, Zborów minąwszy, ku Sokalowi ciągnął. Prze-
strzegał też mołdawski posłaniec od hospodara,
żeby się od Tatarów na baczności miano.

Siłę Chmiela zbiegli od niego liczyli na tysiący
czterdzieści, a drugie tyle chłopstwa gwałtem
spędzonego, za którym jeszcze pułków kilka
w odwodzie pilnowało, aby się nie rozbiegało.

W końcu już dzień w dzień tyle Kozactwa po-
łapanego przyprowadzano, iż wątpić nie było
można, że rychło się z Chmielem spotkać przy-
jdzie, król rozkazał obwołać i otrąbić, aby wszyst-
ko było w gotowości do wymarszu.

Lecz, nim się jeszcze z Sokala wybrano, za-
szły wypadki, które położenie podkanclerzego
zmieniły i króla zraziły od niego nazawsze.

Codziennie przychodziły, jak mowiliśmy, listy
z Warszawy do obozu i z tych szły do królowej.
Ostatnie Maryi Ludwiki już nie listami były, ale
suchemi notatkami, w ostatku kresy zaczęły
przywozić tylko pisma prymasa, wiadomości
urzędowe, królowa całkowicie pisać zaprzestała.

Po kilku dniach tego niepojętego milczenia Jan
Kazimierz począł najpierw być niespokojnym

o jej zdrowie, a gdy się dowiedział z innych korespondencyi, że wcale chorą nie była, wpadł na myśl, że coś Maryą Ludwikę musiało zniechęcić i zrazić.

Trudno było dosledzić, co to być mogło. Wtem wysłany wpierrw z listami Tyzenhauz wrócił z Warszawy król go we cztery oczy pytać zaczął.

— Cóż się tam dzieje, nie mam żadnego listu od królowej? Nie słyszałeś, nie wiesz co?

— Boję się powtarzać — odparł Tyzenhauz — bo plotki być mogą.

— Ale mów! — naglił król — mów śmiało, włos ci z głowy nie spadnie.

— To wszystko sprawa podkanclerzego — począł Tyzenhauz — on codziennie rapporta posyła o tem, co się tu dzieje i umyślnie zniechęca N. Panią. Przynajmniej Franenzi o tych listach i dyaryuszu wiele między sobą rozmawiają.

Jan Kazimierz zamilkł.

Przywołano jednego z pisarzy od kancelaryi. Ten, spytany, zeznał, że Radziejowski codziennie regularnie listy grube wyprawiał, albo do królowej, wprost lub do sekretarza jej. Desnoyers, adresowane.

Oczekiwany list królowej nie doszedł i dnia tego, natomiast od Desnoyers był duży pakiet do Radziejowskiego.

Nazajutrz rano kazał sobie król podkancele-

rzego listy do Warszawy pokazać. Był dnia tego jeden tylko, ale pod adresem królowej.

Gniewny, zresztą czasu wojny nie bardzo zważający na zachowanie tajemnicy pieczęci, król zaniósł go do sypialni i otworzył...

Czytając osłupiał z podziwu i oburzenia. Radziejowski stopniami doszedł był do tego, że wprost się z króla naigrawał, przedstawiał go przed Maryą Ludwiką jako zupełnie niendolnego, przepowiadał klęskę, krytykował plany—słowem: poniżał Jana Kazimierza, a w dodatku nczucia jego względem królowej malował w najgorszym świetle, wyrzucając mu płochosć, skarżąc się, że i teraz żonie jego pokoju nie dawał załatami—co fałszem było.

Pismo to starczyło, aby wytłómaczyć milczenie i gniew Maryi Ludwiki.

Odczytawszy je raz i drugi — król zawołał:
— A! nikczemna żmija!

Chodził potem po sypialni, namyslając się — kazał prosić kanclerza do siebie. Gdy przybył ks. Leszczyński, król zrazu nie mógł się zdobyć na skargę i zwierzenie się, wreszcie, wydobył list, szepnął coś kanclerzowi na ucho i dodał: — Czytaj.

W twarzy biskupa można było widzieć przeżenie, jakim go przejęło pismo, którego charakter był mu znany; nie mógł dokończyć i spoj-

rzał na króla, który stał z rękami na piersiach złożonemi.

— Wiecie teraz, dlaczego królowa do mnie pisać przestała — rzekł król — a ja tu tego człowieka w obozie, przy sobie trzymać jestem zmuszony! — i na każdą radę ma przystęp z urzędu, tajemnic dla niego niema!

Biskup myślał długo, trzymał list w ręku, nie wiedział co radzić, czytał go, odczytywał, chciałby był coś znaleźć na obronę.

— Ścierpieć tego nie mogę — odezwał się król — uczynicie mu wymówki, ale nie potrzebujcie listu pokładać, chyba w ostateczności. Czułem go nieprzyjacielem, alem nie posądzałem o tak nikczemną zdradę. Teraz, gdy wszystko odkryte, niech wie i niech mi się nie narzuca...

Z wielką boleścią król się skarżyć począł, a uprzedzając podejrzenia, dodał zwracając się do Leszczyńskiego.

— Posądzałem mnie o zaloty do żony, co nikczemną jest potwarzą. Biednej kobiety los mnie obchodzi. bo byłem i jestem jej opiekunem. Więc to chyba zemsta za te imaginacyjne miłości, o których wcale nie myślę...

Biskup powrócił, mając przy sobie list podkanclerzego, najpierw do kancelaryi, a ztąd zaraz do klasztoru, gdzie stał, będąc pewnym, że Radziejowski wedle zwyczaju zaraz go odwiedzi,

bo rad był pod pozorem wyreżczania Leszczyńskiego wszędzie się wśliznąć i wszystko ogarnąć.

Jakoż nie upłynęła godzina, wpadł nader wesołego humoru, śmiejący się, ożywiony i aż nadto względem starca i duchownego ponfały podkanclerzy.

— No, cóż tam, ojczy, dziś nowego? Jakże król jm. wstał usposobiony? Zabija, czy łaskami obasypuje? Z nim nigdy zgadnąć nie można, co człowieka czeka.

Biskup pomyślał trochę.

— Król jmość — rzekł — frasobliwy bardzo. nie odbiera już od dni kilku żadnego listu, ani słowa od królowej.

Domyśla się, że tam ktoś mu ją zniechęca jakimis̄ fałszywemi doniesieniami.

Spojrzał w oczy Radziejowskiemu, który z największym bezwstydem zawołał:

— Ale cóż znowu? królowa może w listach króla coś znalazła, co dało powód do nieukontentowania.

— Ja czytnię listy te — odparł kanclerz — nigdy w nich nic nie było, coby nie dowodziło przywiązania i poszanowania.

Radziejowski nśmiechnął się:

— Lndzi ztąd — rzekł — wysyłają tylu. ktoś

może co splótł. Królowa zazdrosna o żonę moję.

No—dodał—może i nie bez słuszności, bo król oddawna jej słodkie oczy robi.

Zmarszczył się kanclerz.

— Jak możesz mówić coś podobnego? — odezwał się surowo. — To są żarty...

Leszczyński po chwili. nie obwijając już dłużej, odezwał się:

— Z Warszawy królowi donoszą, że to wac pana listy do N. Pani są wszystkiego przyczyną. Król był dotąd na was łaskaw: nie godzi się...

— Ja żadnych listów nie piszę! — wykrzyknął zuchwale Radziejowski.

— Żadnych listów? — powtórzył Leszczyński, i przeszedł się po pokoju.

— Nadzwyczaj mi to bolesne—odezwał się—lecz polecenie króla spełnić muszę. Zobaczcież co to jest—i odczytajcie! Z tonu i treści łatwo wniesć, że to nie pierwsze pismo i że poprzedzające nie lepsze były.

Na widok listu, który kanclerz dobył i rozłożony pokazał Radziejowskiemu, zmieniła się twarz jego: zbladł. zamilkł. Oczy wlepił w papier i stał nie mówiąc słowa, ale to chwilowe przybicie i upokorzenie złapanego na kłamstwie i zdradzie, wprędce się w gniew tłumiony, złość i pragnienie zemsty zmieniło.

— Cóż wy na to, panie podkanclerzy? — zapytał Leszczyński.

— Ja? nie — rzekł Radziejowski. — Winy w tem nie widzę, piszę, co sądzę, piszę tak, bo tak myślę, królowa ma zaufanie we mnie, a król...

Ręką rzucił.

Ks. Leszczyński nie miał zlecenia od króla, ani wymówek czynić, ani groźb — list napowrót złożony schował i zamilkł.

Radziejowski, choć starał się okazać obojętnym — mocno był pomieszany. usiadł i głęboko się zadumał.

— Mam nieprzyjaciół — począł mruzczyć — ich to są sprawy.

— W tym razie — rzekł Leszczyński — największym wrogiem wy jesteście sobie. Uniewinnić się nie podobna... starajcie się, aby wam król zapomniał, żeście przeciwko niemu przewinili.

Nie odpowiadając, Radziejowski powstał.

— Ja moje obowiązki pełnię gorliwie — rzekł — a że cenzurze poddaję czynności monarchy zbrodnią to nie jest. Słuchać mnie nie chce, muszę się skarżyć gdzieindziej.

Leszczyński przerwał mu ręki skinieniem, jakby chciał się wyrazić, że wszelkie tłumaczenie próżne. Pomyślawszy nieco podkanclerzy, ukłonił się, pożegnał i odjechał.

Nie udał się jednak dnia tego do króla, ale konia zmienił i jechał swoją rejtaryą oglądać do obozu. Tu, znalazłszy towarzystwo, które mu do humoru przypadło, zabawił do wieczora.

Tymczasem Tyzenhauz, wypatrzyszymoment, gdy podkanclerzego w domu nie było, podkradł się do fraucymeru samej pani i ochmistrzyni wręczył papier — szepnąwszy tylko, ażeby go po przeczytaniu podkanclerzyna zwróciła natychmiast.

Był to—*corpus delicti*, ów list pana Radziejowskiego do królowej, gdzie piękna pani Elżbieta i o sobie mogła coś znaleźć... wcale nie pochlebne.

Co się tam działo przy czytaniu, jaki gniew i wściekłość ogarnęły podkanclerzynę, która jęcząc i łkając, na łóżko się rzuciła—tego opisać nie podobna.

Ocucono ją, otrzeźwiono a list natychmiast Tyzenhauz odniósł napowrót królowi, który, nie okazując po sobie tego co doznał, z hetmanami cały dzień spędził na rozporządzaniu wojskami.

Radziejowski wahał się w początku: czy mu tegożsamego dnia jeszcze się należało, brawując gniew, pokazać się przed Janem Kazimierzem. Zabrakło mu na to odwagi—i król od nieznośnego dla siebie oblicza był wolnym. Nie tęsknił też po nim.

Wróciwszy do gospody p. Hieronym dowiedział się o chorobie żony, ale, nie zważając na nią, wszedł do sypialni. Sposób, jakim go przyjęła kazał mu się domyślać, że odkryta korespondencya i tu już tajemnicą nie była.

Radziejowski dla spoczynku wniósł podróż do Kryłowa—ale podkanclerzyna wręcz mu odpowiedziała, że powrócić zamierza do Warszawy.

— Królowi JM. jeszcze większą W. pani tem uczynisz przykrość, niż mnie, mężowi *in partibus*, który nim tylko dla ludzi jestem — rzekł szydersko mąż.

— Zdaje się—zawołała podkanclerzyna — iż tyle razy już mi Wpani królem przymawiałeś, iż powinienbyś co nowego znaleźć dla dokuczenia mi.

Radziejowski gwałtownie zmienił ton.

— Ja sobie nie życzę, abys Wpani jechała do Warszawy—rzekł. W Kryłowie będzie bezpiecznie; możesz się tam zatrzymać.

Podkanclerzyna wzgardziła sprzeczką i odpowiedzią; zawołała na służbę, aby jej wody podała, i dumnie odprawiła męża, żegnając go, a że on przy sługach kłótni wszczynać nie chciał,—wyszedł gniewny.

Nazajutrz po uczcie z wojskowymi na mieście, która się bardzo długo w noc przeciągnęła, pod-

kanclerzy, wstawszy, gdy spytał o żonę. odpowiedziano mu, iż przed kilku godzinami wyjechała.

Na zapytanie—dokąd?—nikt mu nie umiał odpowiedzieć. Listu nie zostawiła żadnego. sługom nie mówiła dokąd jedzie.

To samowolne wyzwolenie się niespodziewane Radziejowski, w obawie zbytniego rozgłosu, pokrył milczeniem napozór obojętnem, choć przewidywał w niem oznakę zupełnego zerwania stosunków. Jakiś czas łudził się słabą nadzieją, że podkanclerzyna mogła się udać do Kryłowa, ale odebrane zamtąd listy—nic o niej nie mówiły. Nie było więc wątpliwości, iż pojechała do Warszawy.

Odjazd ten i wypadek, który króla od niego odstręczył — położenie uczyniły nader trudnem. Był nadto dumnym, aby się starać przebłagać; zdawało mu się, że podkanclerstwo i stosunki, jakie miał—dozwały stać się spornie i wrogo przeciwko słabemu panu.

Po namyśle więc postanowił nie schodzić z placu, walczyć.

Cały plan miał już w głowie osnuty. Wojsko złożone z żywiołów najróżnorodniejszych, zawierało sporo warcholów i już w związkach wypróbowanych krzykaczy; podburzyć ich, upatruwszy chwilę, Janowi Kazimierzowi utrudnić każ-

dy krok, uczynić się potrzebnym. jako rozjemca... zdało się prostem i łatwem.

Tymczasem zaś podkanclerzy postanowił na objawy niechęci i wstrętu nie zważać i miejsce swe utrzymać naprzekór królowi.

Następnego dnia zaraz stawił się na pokoje: król ani spojrzał na niego; spróbował przemówić: nie odpowiedział. Nie skrócił przez to swego pobytu przy osobie króla; towarzyszył mu. gdy przyprowadzono jeńców, przy indagacyi Kozaków, wtrącał się ciągle i głos zabierał.

Leszczyński nie mógł się wydziwić zuchwałstwu.

Nadszedł dzień Bożego Ciała, a że razem przyśłany z Rzymu jubileusz ogłosić miano, nroczystosć tę król obchodził z nadzwyczajną wystawą i wspaniałością. Przyczyniali się do tego wszyscy.

Cztery ołtarze wystawili: jeden podkanclerzy litewski, drugi biskup kijowski, trzeci koniuszy koronny, ostatni — kasztelan krakowski. Kobiece, opony, a przy tem zieloność i kwiaty. sprzęt srebrny. którego w obozie było podostatkiem. dozwoliły poubierać ołtarze z wytwornością wielką. Każdy miał prawie jakiś obraz z sobą, więc i tych nie zabrakło. Naostatek kopie, chorągwie, proporce, tarcze, przystrajały swietnie cztery ołtarze.

Kapłanów i duchowieństwa w obozie liczono do czterechset.

Wyniósł z namiotu króla Przenajświętszy Sakrament Leszczyński kanclerz; nad nim baldachim niesli czterej senatorowie, a tuż szedł pobożnie ze świecą w ręku król, otoczony ministrami, dygnitarzami, urzędnikami i rycerstwem.

Pułki ustawione po drodze do nóg niosącego monstrancyą chorągwie na ziemię pochylały, dawano ognia z dział i ręcznej broni, muzyki grały, i uroczystość ta razem z ogłoszonym jubileuszem ducha podniosła.

Ci nawet, co dotąd szydersko i lekkomyślnie poczynali sobie, uczuli potęgę jakąs w tych szeregach mających walczyć za wiarę, spokój w obronie kościołów i rodzin, świętości swych i skarbów. Przewidywali też wszyscy nadeżdżając już bliską chwilę, która rozstrzygnąć miała...

Rozumie się, iż podkanclerzego nie brakło też w orszaku pobożnym, chociaż obojętnem sercem brał udział w uroczystości. Strojem tylko wytwornym, dumną miną, obliczem starał się okazać, że mimo języków ludzkich, nic mu się nie stało.

Król o całej sprawie nakazał milczenie i nikt też rozgłaszać jej nie myślał, ale sam Radziejowski w obawie, aby na niekorzyść jego nie tło-

maczono pogłosek, postarał się oczernić zonę i króla, na nich składając wszystko.

Udawał mocno dotkniętego, pokrzywdzonego ofiarę potwarzy i przewrotności niewieściej.

Byli tacy łatwowierni, którzy się nad nim li towali.

Strzębosz od przybycia króla do wojska, nie mógł się oprzec pokusie zabiegania to do chorągwi dworzan królewskich, w której miał przyjaciół, to na sam dwór, a i król nawykły dawniej do usług jego, bałamucił go. Służba więc pod chorągwią nie była bardzo gorliwą i Nieszki co dzień go strofował.

— Z dworaka chceć zrobić żołnierza — mówił — to tak, jak z wosku nóż... Bieć to ty się będziesz, bo się odezwie krew szlachecka w tobie, ale zebyś się ty w rycerstwie rozmiłował, wątpię.

Prowadził go wuj z sobą po namiotach, gdzie starzy rębacze się skupiali, opowiadając o swych wyprawach i walkach. Strzębosz słuchał z wielkiem zajęciem. ale gdy potem zbiegł na dwór i poczęli mu dawni towarzysze sypać plotki, szeptać, co się tam działo, daleko więcej się intrygami roznamietniał i więcej czuł do nich powołania.

Król go też bałamucił, kilka razy go spotykając zagadywał.

— A mnie ciebie brak! Co ty tam wielkiego dokazesz w regimencie? Bić się potrafi każdy, ale rozumnie sobie począć i sprawić się z delikatnem poselstwem. nie lada kto mnie.

Pochlebiało to Strzęboszowi. Wracał do wuja i chwalił się. Xieżki mruczał:

— Cóż ty chcesz na kursora królewskiego wyjść? a potem co? Pilnuj chorągwi i nie myśl o bzdurstwach.

Po wyjeździe podkanclerzyny, po długiem milczeniu królowej, gdy się potrzeba okazała zaufanego człowieka do Warszawy śłać, ktoś podszepnął Strzębosza.

Kazano go do króla wołać.

Jan Kazimierz mu rękę położył na ramieniu dobrotnie, i szepnął:

— Gdybyś ty mi do Warszawy pojechał?

— N. Panie — odparł Strzębosz — jestem pod regimentem i władzą wuja mego, Xieżkiego, ten już i tak mi zadaje, że niedosyć mam rycerskiego ducha.

— Gdzie wasza chorągiew stoi w obozie? — spytał król.

Dyzma o ile mógł dokładnie miejsce oznaczył. Nazajutrz król podjechał ją lustrować. Stał Xieżki na przodzie, a znał go Jan Kazimierz, jako jednego z tych, co szablą równie, jak językiem ostro siekli.

— Mój Xieżki — odezwał się — jak się wam zdaje, czy Rzeczypospolitej służyć inaczej nie można poczcziwie, tylko w karacenie i szyszaku?

— N. Panie — zawołał Xieżki — i owszem, sądzę, że nawet w siermiedze.

— No, a w dworskiej barwie? — zamruczał król, spoglądając wkoło i oczyma szukając Strzębosza.

— Kto się do czego urodził, miłościwy panie i królu — rzekł Xieżki — w. królewska mość mi przebaczysz — ale ja przenoszę rycerza nad pajuka.

— A z pajukow i dworzan przecie rosna pi-sarze i kanclerze — dodał król.

— Tylko, że na stu przepadłych, jeden się ledwie nda! — zakończył Xieżki.

Dał król znak, aby się do niego przybliżył.

— Pożycz mi wmosć siostrzeńca — szepnął — mam potrzebę wielką zaufanego posłańca...

Xieżki się pokłonił. Król rozkazuje — rzekł — a my z ochotą słuchamy. Boję się tylko, N. Panie, aby pojechawszy tam nie ugrzązł, bo pokusy są a on młody.

— I ja nawet jedną znam, ładna dziewczyna — dodał Jan Kazimierz wesoło — ale nie ma niebezpieczeństwa, choćby tam ugrzązł, bo posag będzie miała znaczny, a ja też w pomoc przyjdę.

W ten sposób, zaledwie rozpozuawszy swą

służbę rycerską. Dyżma znowu z szeregów urlopowany wprowadzie tylko, musiał na koń siąść i jako posłaniec króla z innymi do Warszawy pędzić.

Trzeba mu jednak oddać tę sprawiedliwość, że gdy przyszło chorągiew opuszczać, wojsko rzucać i to w chwili, gdy się walka zbliżała, serce mu się ścisnęło. Wolałby był pozostać, choć go czarne oczy ciągnęły. Po części mu też wstyd było, bo towarzysze żartowali sobie z niego, a Xięzki poprostu szydził i chłostał.

— Żebyś był choć poczekał i choć jeden osłedec kozacki królowej jmości zawiózł na dowód wiktoryi!

Prawie w tejsamej chwili, gdy wojsko ku Beresteczyku na Łobaczówkę wyruszało, musiał Dyżma w przeciwną stronę dniem i nocą pędzić z listami do Warszawy.

III.

Z dawniądawna służba i dwór Radziejowskiego do przyjmowania gości hojnego była wdrożoną. Ojciec jego szumiał i obdarzał w Radziejowicach Zygmunta IV, sam podkanclerzy zdumiewał poelstwo pani de Guébriant przepychem i rozrzutnością; w Bielsku nareszcie, jako starosta Łomżyński jeszcze przyniłał się, pojąc i karmiąc, a obsypując podarkami Jana Kazimierza i dwór jego. Radziejowscy trzymali się tej zasady, że chlebem i winem serca się najłatwiej jednają. Podkanclerzym zostawszy, a za zonanami nazbierawszy majątności, p. Hieronym nie zmieniał obyczaju. W obozie też miał z sobą czem gościć, karmić i poić, i grosza na to nie żałował. Doświadczył, że mu się opłacała gościunność.

Teraz zaś, gdy się zanosilo na walkę z królem

jmością, którą on miał tylko podpalać ażeby ją potem gasić pomagał. skupianie około siebie gorętszych żywiołów, krzykaczy i rokoszan obozowych, było najważniejszem podkanclerzego zadaniem. Jego rejтары i z szeregów jej wojskowi służyli mu i z ręcznie użyci, jako wabiki i przynęta. Z ich pomocą sciągał rozpatrzonych ludzi, co swadę mieli łatwą i obfitą, a temperament żółciowy.

Poszlakowanym w tym spisku nie obawiał się być podkanclerzy, bo pijatyki i uctowania obozowe, przy których się swobodnem słowem po winie to i owo wywoływało, nie mogły razić nikogo. Były to rzeczy powszednie.

Tylko gdy gdzieindziej wychwalano króla i wynoszono panów hetmanów, a wiele sobie obiecywano po tej wyprawie, która poruszyła wszystkie ziemie,—pod namiotem i w gospodzie Radziejowskiego odzywały się głosy przeciwne. Tu, za podszeptem Radziejowskiego i jego przybocznych, ciągle się kwaśno i groźno wyrażano o wszystkim, cokolwiek po obozie głoszone, otrąbiano i co w wojsku postanawiano.

Surowsza, niż kiedy, karność, na którą król nastawał, szczególnież mu była za złe brana.

Radziejowski tych mów słuchał, ostrożnie podlewał oliwy do ognia, ale głośno się nie odzywał.

lękając, się ażeby słów jego nie doniesiono zbyt wczesnie królowi. Miał się kim wyręczyć.

W rajtaryi swej między rotmistrzami liczył dwu, doskonałych gardłaczy: Kazimirskiego i Proszkę, z innych zaś pułków, co było takich rektorów wojskowych i warchołów znanych, tu się gromadziło.

O Kazimirskich powiedzieć było można: rodem kury czubate, bo oni wszyscy, im ich znano, na zjazdach, sejmach i sejmikach stawali zawsze przeciw majestatowi, a za złotą wolnością. Pan Jan, który rotmistrzował u podkanclerzego, miał tę łatwą swadę odziedziczoną po ojcu i dziadku, która za serca chwyta wielkimi i jaskrawymi wyrazami. głos donośny, gestykulacją żywą—i był znany ze swej nienawiści wszystkiego, co się ponad równość szlachecką podnieść chciało.

Od tych wysiłków retorycznych przy winie, które pić musiał, aby w gardle nie zasychało, twarz miał zawsze czerwoną, niekiedy prawie siną. zresztą przystojną i olbrzymim wąsem, aż za ucho sięgającym, przyozdobioną. Temperament i nawyknienie Kazimirskiego czyniły go zawsze i wszędzie opponentem. Poczynał nigdy inaczej, jak od zaprzeczenia—Nie!

Umysł jego szukał zaraz w każdej rzeczy czegoś podejrzanego; jeżeli namacać nie mógł, to ostrzegał że coś tkwi i później się okaże. Zresztą nie

odznaczał się Kazimirski niczem, oprócz zuchwalstwa.

Proszka, drugi rotmistrz od rajtarów, mówcą nie był, ale nie lepszym przez to. Szeptał cicho, trącał łokciem, podżegał na ncho, a napozór milczący i zasepiony grał rolę bierną. Niekiedy tylko, gdy go, co mocno ubodło, wybuchał w sposób gwałtowny i grubijański. Chndy, słuszny, Proszka, nieustannie się poruszał, coś około siebie poprawiał, rękami chwycił, co napadł, i zdradzał tem niepokój wewnętrzny.

Była to podpałka doskonała.

Przy tych dwu stałych gościach podkanclerzego skupiały się szumowiny z całego komputu i z nowo-zacieężnych regimentów, z wyjątkiem tylko piechoty endzoziemskiej, którą, że dosyć postponowano, więc się osobno trzymała na nbo-czu.

Odznaczali się w codziennem kółku podkanclerzego: jeszcze Snarski, rotmistrz Zamoyskiego. Bąkowski z oddziału chorążego Koniecpolskiego i Morawiec z pułków Lubomirskich. O innych, których liczbę każdy dzień zwiększał, trudno się rozpisywać. Mało co się od siebie różnili.

Snarski był w polu i bitwie zajadłym na oko i słynął z rozpaczliwego męztwa, szalonego, ale, rzecz szczególna, krzyczał czasu bitwy najgłośniej, drugich pędzał, sam zawsze obroną ręką

wychodził. Dopiero po wojnie, pod namiotem, na pobojuwisku, gdy wszystko było skończone, on relacye układał najlepiej, a choć często tego, co rozpowiadał nikt poświadczyć nie mógł. jego powieść szła w świat.

Niechżeby mu kto, uchowaj Boże, śmiał zaprzeczyć! Snarski naówczas, oburzony, zrywał się i kląć a przysięgać poczynął:

— Bodajem się z miejsca nie ruszył, bodaj mnie ziemia pożarła, niech piorun pierwszy nie minie!

Tych przysięg niał zapas wielki i niemi przypieczętowawszy opowiadanie, w końcu zamykał wszystkim usta. Według Snarskiego wojsko zawsze i wszędzie było pokrzywdzone, a wszelkie jego wybryki niewinność należało.

— My krew naszą, żywot i gardła dajemy — krzyczał, a nam chleba krając domierzają tak, abyśmy tylko z głodu nie marli. *Panis bene merentium!* a któż to go je? he! matadory, panowie! na nas biedaków nie spadnie ani prószyna. Patrzeć musimy na ncztujących bogaczów i oblizywać się, jak kazarze.

Snarski, po całym obozie mając znajomych, tego ducha oporu i kwasu roznosił.

Nie było praktyki, aby mu się co podobało; we wszystkim widział, równie jak Proszka, chytryść, przewrotność i nieszczemność.

Bakowski był przedewszystkiem wesołym to-

warzyszem i do dzbana jedynym. Gdy się śmiał, rozlegało się daleko, że go po tym śmiechu poznawano. Był to przyboczny wszystkich warchołów, do roznoszenia, co się gdzie narodziło, jedyny. Otyły, barczysty, silny, dzień i noc gotów był ncztować, pić. pół godziny się przespał siedząc i *de noviter repertis* rozpoczynał.

Do tego pić było można zawsze „w nieochybne ręce”—nie odmówił nigdy.

Naostatek Morawiec, który już w wielu pułkach służywał i z jednych do drugich przechodził a miał się bardzo dostatnio i ze wszystkich ich najzamożniejszy był, człowiek w sobie zamknięty, ostrożny, na spiskowca się rodził. Miano go za chciwego i skąpca, nigdy bowiem nikomu kubka wina nie dał u siebie. Dlaczego czepiał się niespokojnych ludzi i z nimi trzymał, na oko to nie było jasne. Ale gdzie krzyczano i burzono się, znalazł się zawsze i—potakiwał.

Radziejowski szczególnie na Kazimirskiego swojego i na Snarskiego liczył. Ci dwaj byli u niego codziennymi gośćmi. Kazimirski nawet, gdy podkanclerzy czasu nie miał, za niego gospodarzył i przyjmował, rozporządzał służbą i rządził się jak w domu.

Nie było dnia, ażeby z tych przewodzców który gościa nowego nie wprowadził, wprzód go za puls potrzymawszy, że on tak samo bije, jak

ich wszystkich. Ci nowi prozelici mimowoli pociągali innych,— i u podkanclerzego nigdy wieczorem pusto nie było. On sam się tu zjawiał zawsze i przesiadywał czasem długo, a nie ukrywał się z tem, co myślał. Wyśmiewał króla głównie i wróżył mu najgorzej.

— Gdyby choć słuchać chciał — mówił — ale nie! Bab, królowej gotów posłuchać, a szczerych doradców nigdy.

Od Lublina już i Krasnegostawu coraz to podżeganie przeriwko Janowi Kazimierzowi się wznażało, a po odkryciu listów i wyjeździe podkanclerzyny doszło do otwartego naigrawania się.

Cokolwiek król na radzie z hetmanami postanowił, było najgłupsze i najgorsze. Obwieszenie owego szpiega w początku nazywano niepotrzebnem okrucieństwem; a tuż gdy nieustanne od ziemian skargi na różne wybryki wojskowych zaczęły nadchodzić i okazało się, że dwu rotmistrzów Pawłowskich dwór pod Switazowem napadli i złupili, dopuszczając się tam gwałtów, król rozkazał ich przed sąd wojskowy stawić i najsurowiej wyrokować.

Nie było wątpliwości, że na gardła skazani zostaną.

Właśnie sąd się miał zebrać i wyrzec, a że Pawłowscy przyjacioł mieli, więc sarkano i nie-

pokoiono się. Dnia tego pod namiotem podkanclerzego Pawłowskich też sprawa była na stole.

Wśród najgorętszych rozpraw wszedł podkanclerzy, którego Kazimirski od progu zagadnął:

— A cóż, te biedaki Pawłowscy?

Radziejowski ręką machnął.

— Co? mówcie zawczasu *requiem aeternam*—zawołał i pokazał na gardło... — Nie mogą ich według artykułów hetmańskich inaczej sądzić, jak na gardło.

— Ale król może ulaskawić—krzyknął Snarski—przecie pisarza swojej piechoty węgierskiej, który szlachcica związanego do obozu przywłókł. na śmierć osądzonego, podkanclerzy litewski wyprosił, zapłaciwszy za niego czterysta złotych.

Śmiać się zaczął Radziejowski.

— A ja gdybym dał osmset za każdego z Pawłowskich. tylko bym się na śmiech i nrąganie naraził; król z każdym dniem okrutniejszym się staje, głowę traci. Zdaje mu się, że im surowszym będzie, tem się większym wodzem okaże!

Snarski począł krzyczec zza stoła.

— Zabójstwa żadnego nie było! Jako żywo, parobków pokrwawili, a dziewczętom, co się tak wielkiego stało? Przecie od tego nie poumieraly. Dwór powiadają, szlachecki, czasu wojny, gdzie tam kwerendy poczynać, gdy człowiek głodny!

Co na płacu, nieprzyjaciel. Pawłowski zaklina się, że jeźmość kazała do nich czeladzi z hakownic dawać ognia? Rozsierdzili się, a gdy raz drzwi wyłamali i wpadli, oczywista rzecz, że nieszczędzili nikogo! Czasu wojny, choćby we własnym kraju, nie nowina, że żołnierz sobie pozwoli.

— A to właśnie pora — zawołał podnosząc ręce Kazimirski — to pora się tak okrutnie z mężnymi ludźmi, z rotmistrzami obchodzić, gdy nieprzyjaciel pod nosem! Coby sobie miał serca łagodnością pozyskiwać, to od siebie wszystkich odstraszy.

— Słowo w słowo — odezwał się podkanclerzy cicho rzuciwszy okiem po zgromadzeniu — mówił mu to Leszczyński, mówiłem ja: a próbowali drudzy, że królowi łaską przystało serca i umysły jednać, a nie grozą je zniechęcać, ale na to on głuchy. Nietylko, że Pawłowscy padną ofiarą, ale bodaj ich publicznie i ostentacyjnie ścinać każe, aby się na to patrzyli wszyscy.

Snarski aż krzyknął:

— To mi wódz! Ja znałem dobrze Pawłowskich. Prawda, że gdy sobie podchmielili nie było na nich hamulca, ale za to obaj w bitwie, w polu, jak się bili, trzeba było patrzeć. Starszy cały porąbany.

— Nastają na to — zawołał Kazimirski — że porabowali sepety, poodbijali skrzynie, klejnoty

tam jakieś jejmościne, łańcuchy i gotowizny parę set złotych zabrali: a cóż to jest? Głupstwo! I za to im życie brać?

— Nie — krzyknął Bąkowski — nie chce się wierzyć temu, aby król ich nie ułaskawił. Chmiel na karku nam siedzi, Ołykę oblega, tylko co go nie widać: a to piękna zachęta dla żołnierza — szubienica i katy!

— Nigdyby w świecie do tej ostateczności nie przyszło — szeptał siadając poufale za stół Radziejowski — gdyby nie król. To wiem z najlepszego źródła, że i stary Potocki i Kalinowski prosili za nimi — postawić ich na pierwszy ogień, gdy przyjdzie do starcia... niech Pan Bóg sądzi... Ale król ustał na to, że koniecznie przykładu trzeba, i że nie dosyć obu ściąć, ale w pośrodku obozu, przy zwołaniu świadków i otrąbieniu dekrety.

— Do jutra — odezwał się cicho Morawiec — jeszcze się może król namyśli.

— Kto? król! — rozśmiał się Radziejowski — a to go dobrze znasz! właśnie dla tego, iż proszą za nimi. uprze się i na swem postawi, chcąc ukazać, że się nikomu powodować nie daje. Zwykła słabych natura: im więcej nalegają, tem oni twardej przy swem stoją. Ho! ho!

— Ci co go tam dawniej widywali i obcowali z nim, gdy jeszcze królewiczem był — począł Pro-

sza — powiadali zawsze o niestateczności, ale teraz zmienił się bardzo.

— Poczekajcie do końca—wtrącił Radziejowski—zmieni się on jeszcze niejedyn raz. Kameleon ten—sam nie wie nigdy, czego chce.

Na radzie wojennej raz napiera iść uaprzeciw Kozactwa, to znowu stać, obrawszy dobrą pozycyę i czekać. Otrąbiają, aby się mieć w gotowości: my się na wozy ładujemy, troki wiążem; tymczasem i tydzień upływa... a my w miejscu stoimy.

— To prawda—rzekł Morawiec — ale trzeba i to przypomnieć, że Kozacy, których dzień w dzień przyprowadzają, coraz inaczej spiewają.

— Albo to im wierzyć—przerwał Radziejowski.—Świeży przykład na tym Bohdaszce, co go tu tak przyjmowali, jako zbawcę w obozie, a chełpił się, iż pułki przyprowadzi już zmówione od Chmiela. Król mu kazał na to pieniądze wyliczyć, a teraz przechera się chlubi, że durnych lachów oszukał.

— Już to prawda święta, że im żadnemu wiary dawać nie można—wołał Kazimirski.

— A Zabuski?—podchwycił Snarski.

— Do czasu!—odparł Kazimirski—dopóki nie może zdradzić, będzie służył, a jak mu swoi zapachną, pójdzie do nich, choć nam przysięgał.

Radziejowski nie dał się rozmowie obłąkać i przejść na Kozaków, powrócił do króla.

— Nie mam ja nic przeciwko nabożeństwu — rzekł—boć bez Boga nic się nie wiedzie — ale u nas już i księży i modlitwy więcej, niż mustry i ćwiczenia. Żołnierz nie mnich, a Pan Bóg od niego nie wymaga różańca, ale tatarskiego tańca.

Morawiec to głową potwierdził; śmiać się poczęto.

— Zrzucił mniszy habit — mówił Radziejowski—ożenił się, ale zawsze w nim klechę czuć, i takim będzie do końca.

Cały tu wieczór upłynął na ubolewaniu uadlosem Pawłowskich, jakby ofiar niewinnych, i wszyscy, co ztąd wyszli, wynieśli z sobą do obozu narzekanie a nagauę, nietyłe sądu, który musiał wedle artykułów skazywać, jak króla, który prawa łaski zażyć nie chciał.

Cieszył się podkanclerzy, zwłaszcza, gdy jego przepowiednia się ziściła: wistocie Pawłowscy obaj z wielką ostentacją, wpośród obozu, przy otrąbieniu wyroku, straceni zostali.

Poszedł popłoch po wojsku, ale i niechęć do króla wielka. Nie było czasu rozprawiać, gdyż zaraz nazajutrz przybył Koniecpolski, chorąży koronny, który, pułki swoje pod Beresteczkiem zostawiwszy, z niewielkim pocztem, nadbiegł, oznajmując, iż Kozacy i Tatarowie nadciągają,

a i Zabuski też niewolnika z ordy wziętego przyprowadził. Tym razem więc otrąbiono. aby, wozy pozostawiając, wszyscy się nazajutrz rano ruszyli.

Tu tedy znowu o wozy te powstały lamenta. tak się z niemi niektórym ciężko rozstawać było. Nie słuchano już i do dyma pułki wyciągnęły, a król wybrał się przodem, z czego podkanclerzy przedrzwiewał, że to dla popisu nie z ochoty czynił.

O półtorej mili przyszło most przebywać, który jeden tylko był. Tu się tedy ścisk stał, tumult, nieład okrutny, a Jan Kazimierz, gdy mu¹ dano znać, sam się zwrócił do mostu i póty stał, osobą swą porządek utrzymując, dopóki wojsko nie przeszło.

Radziejowski też z innymi się przy nim znalazł i parę razy próbował przemawiać, odradzając napróżno fatygę, ale król tylko ramionami ruszył i ani mu odpowiedział.

Ponieważ się to działo publicznie, a lekceważenie było bardzo jawne, podkanclerzy rozsierdził się jeszcze więcej, odjechał na bok i z króla się wysmiewać począł, że prostym stróżem hetmanowi być nie przystało.

Z powodu mostu tego, nie uszedłszy więcej nad miłą parę, wojsko na spoczynek stanęło, gdzie po-

myślna wiadomość przyszła, że Ołykę obroniono od Kozaków. Król się temu bardzo uradował.

— N. Panie — wtrącił zaraz podkanclerzy Tatarowie i Kozactwo do brania twierdz nie nadają się, to nie ich rzecz... w polu oni nawalał swą są straszni...

Nie omieszkał tedy przybyłemu księciu Dominikowi Zasławskiemu, który tu z kilku pułkami nadszedł, stawić się podkanclerzy. Trochę rachował na niego w przyszłości. Ksiązę go też przyjął, choć dumno i chłodno, ale uprzejmie.

Następnego dnia dociągnęło wojsko do Łobaczówki. w niewielkiej już odległości od Beresteczka, gdzie od Koniecpolskiego przysłany Kozak, zbiegły od Chmiela, przyniósł wiadomość, iż siehan tatarski połączył z Kozakami.

Dalej więc ponad Styrem ciągle szli ku Beresteczku, a Koniecpolski tymczasem, wybiegłszy przeciw Kozakom, szczęśliwie się stał z nimi. Napadł właśnie tych, których od Ołyki odpędzono, i—jak powiadano, z tysiąc ich na placu położywszy, czterysta wozów zapasów i żywności przyprowadził z dobytku. Cieszono się z tego w wojsku, lecz razem było czem trapić, bo wozy zabrane, łup zawierały ze spustoszonego okrutnie Polesia Wołyńskiego, gdzie wsi i miasteczek ze dwadzieścia w kupę popiołów obrócono.

Starano się ukryć inną, gorszą daleko, wiado-

mość w obozie. którą królowi, wołając o ratunek, przyniesiono.

Zdrajca jakiś, Chmiela naśladowując, a pewnie i z naprawy jego, na Podgórzu bunt wszczynał. Ogień więc zażegniony na kresach w Ukrainie, na drugi kraniec Rzeczypospolitej się przerzucił, a mógł ją, jak wyschłe pole, objąć całą.

W mgnieniu oka zwołano radę wojenną, strzegąc, aby popłochu nie wzmiecić; a rada i głos musiał być jeden i zgodny: póki pożar mały, gasić go i dusić, zalać choćby krwią, aby potem rozbijającego nie trzeba było rzekami zatapiać.

Na jedno tylko oglądać się było trzeba: aby, odrywając wojsku część sił, w tej stanowczej godzinie, gdy już do boju przyjsć miało — ducha wniem nie osłabić. Pomiedzy szlachtą i tak, dzięki podszeptom i zażeganiom, zuchwałe się głosy słyszeć dawały, które Radziejowski podrzucił.

Pierwszy raz ujrzano na twarzy króla wyraz znużenia i wahania się; lecz trwało to bardzo krótko — wróciła rezolucya i mężstwo. Miał nadzieję w Bogu, że podoła wszystkiemu, byleby mu naród wiernie stał u boku.

Długo się wahano z wyborem tych, co na Podgórzu wysłani być mieli, aż miecznik koronny Zebrzydowski i dwaj Lubomirscy, Alexander i Krzysztof, oświadczyli się z gotowością i nadzieją, że na tych opryszków wielkich sił nie bę-

dzie potrzeba. Wyprawiano więc ich, a chorąży Koniecpolski chciał jeszcze do Brodów zbiedz po działa, ale coraz gęściej przybiegano z wieściami o Tatarach, tak, że ledwie myśleć było można uwinąć się z tem, nim nadejdą.

Starano się wysyłkę Zebrzydowskiego i Lubomirskich na Podgórze tak pokryć, aby wojsko o niej nie wiedziało i o tym nowym buncie, który groził z drugiej strony lecz w obozie, gdzie się ludzie jeden o drugiego nienastannie ocierają, la-da słówko się rozrasta i ani go powstrzymać.

Radziejowskiemu, choć na radzie wojennej nie znajdował się, rzecz była nie tajna, a co tylko królowi troski przysporzyć mogło, temu się on radował.

Miał jednak to pomiarkowanie, że bębnić o Podgórze nie chciał i na chwilę potrzebną sobie zachował tę wiadomość. Tymczasem wieczorem Kazimirski wpadł do zwykłego towarzystwa z wielce nastrzępioną czupryną i czerwienią jeszcze, niż zwykle twarzą.

— Hej! hej! — zawołał od progu — coś się święci! Między królem a panami hetmanami nie ma zgody. Oniby radzi tu stać i czekać, gdzieś na nieprzyjaciela, a król, zasłyszawszy o Chmieln pod Dnubem i Ołyką, chce iść, skończyć i zgnieść go. Oczywista rzecz, że Potocki ustąpi, choć doświadczeńszy, bo król uparty; a no, coś

zaszło. czego zbadać trudno, bo miecznik koronny i dwaj młodzi Lubomirscy pono jutro gdzieś w bok odciągają. Gdzie? po co?—tajemnica.

Nam tu do kupy się trzeba gromadzić — dodał Kazimirski—a w samą porę jedno z najlepszych pułków odchodzą!

Podkanclerzy, który za stołem siedział, dał znak, że on coś wie. ale palce położył na ustach.

— Gadają o chłopskim buncie na Podgórzu — zamruczał—a mnie się widzi, że to bajka puszczona przez Kozaków, aby nam siły rozerwać.

Zamyslił się Kazimirski, inni milczeli.

— Bunt na Podgórzu! — powtórzył — i to taki, żeby na niego pułki całe wysyłać było potrzeba!

— Nieład we wszystkim -- podchwycił Snarski — łatwowierność, głowy nie ma nikt. Tymczasem co? Szlachta już burczy, dopominając się, że darmo czas traci, a król ją trzyma aż się do ostatka zje.

Chcą związek uczynić i z królem się rozmówić.

— Gdzieżeś to słyszał? — spytał podkanclerzy.

— Gdzie? dosyć do pierwszego lepszego na miotu zajść, a ucha nastawić — mówił Snarski. — Grawamina spisują. Najbardziej im to solą w oku,

że król niemieckie pułki i Niemców ma w szczególnej obserwacji. Jak na harc. na podjazd, gdzie życie strawić trzeba, to nas wysyłają, a do strawy i jurgieltu i do łaski Niemcy pierwsze.

— Oho! — począł Radziejowski — nie nowina to, że nam Niemcy śmierzdzą. wzięło się za Zygmunta jeszcze, gdy ich naprowadzono, Władysław też głaskał, a kochał się w nich, Jan Kazimierz także proferuje ich pludry. Nie zbędziemy się ich. Huwaldy będą zawsze w łaskach. Z nimi król czuje się jak ryba w wodzie. a z nami, niedogodnie mu.

— Szlachta — ciągnął dalej Snarski — tych różnych grawaminów przeciwko królowi ma dosyć. a umysły już są tak podbudzone, że wybuchną. Ja się tylko boję, ażeby właśnie pod ten czas, gdy kozactwo będziemy mieli na karku, nie wystąpili do króla z ultimatum i nie zażądali, czego on im dać nie może.

— He? — mruknął milczący Morawiec — cóż myślicie? Ci, co szlachtę prowadzą, tak się obrachują, że właśnie do króla skoczą, gdy on będzie w opałach, bo łącniej co wytargują! Oho! mają oni nosy.

Siedział za stołem. przyprowadzony po raz pierwszy do podkanclerzego, średnich lat; chorąży Mazewski. i milczał. Mało go kto tu znał. krom Bąkowskiego, z którym przyszedł.

Dotąd słuchał milczący i rozglądał się, a po twarzy mu chodziły jakieś dziwne to blaski, to chmury.

Naostatek wytrzymać nie mógł.

— A to mi dopiero piękna szlachta i ziemia-
nie! — zawołał. Mieli tu po co iść, aby spiski
knować, i nam, co krew przelewać mamy, być
zawadą... niechby pioruny takie pospolite ru-
szenie!

Wszyscy na niego zwrócili oczy.

— Toć zdrajce i łotry! — zawołał. — Nam Koza-
cy i Tatarzy grożą, a te bestye myślą o sobie.
jakby za swą skórę więcej wziąć, choć jej jeszcze
nie dali.

— Zmiłuj się! chorąży — przerwał Kazimirski —
co-bo się tak oburzasz... Szlachta przy prawie
stoi...

— A niech ją z jej prawem siarczyste pioru-
ny! Czas tu myśleć o prawie! Tu innego dziś
nie ma, tylko wojenne... a kto go nie słucha...

Siadł Mazewski zburzony, nie kończąc: wszyscy
się spojrzeli po sobie, jakby mówili:

— Nie nasz to człowiek...

— Uspokójcie bo się — rozśmiał się Bąkowski...
szlachta swój obowiązek spełni — ale, że się upo-
mina...

— Dostyc czasu będzie po wojnie — począł go-
rać Mazewski. — Tu dziś jedno jest do czynie-

nia: bunt zdusić, rebellizantów upokorzyć, Tata-
rów przepędzić... Ja innego nic nie znam... zdraj-
ca, kto dziś o innem myśli!

— Właśnie dlatego—przerwał podkanclerzy—
troszczą się ludzie o czynności króla, bo fałszy-
wy krok... nas może zgubić.

— A no, Radę ma—rzekł Mazewski.

— I słuchać jej nie chce, tylko swoich Niem-
ców—wtrącił Proszka—nie, nie—Niemców trze-
ba wykurzyć.

— Ale, do stu katów! — zawołał Mazewski—
piechota niemiecka doskonała; przy artyleryi pu-
szkarze, bez których my się nie obejdziemy!

Podkanclerzy, ostrożny, rozpytywać począł, kto
tego chorążego wprowadził, wziął Bąkowskiego
na stronę i począł mu to wyrzucać.

— Ale to żołnierz dzielny i weredyk — bronił
się Bąkowski, wpływ ma wielki... a że trochę
inaczej widzi, niż my.

— Trochę!—zaśmiał się podkanclerzy.

Tymczasem spór trwał, zwykli jednak goście
Radziejowskiego pomiarkowali, że rozżarzać go
nie było warto—i jeden po drugim milkli, a Ma-
zewski, zrozumiawszy to, iż ani mu tu radzi byli,
ani był potrzebnym wśród nich, za czapkę wzięw-
szy, poszedł precz.

— Ostrożnym-bo być powinienes — rzekł Ra-
dziejowski — po co nam kurtyzanie i pasożyty

hetmanów? nam wolnych ludzi około siebie skupić potrzeba.

Po wyjściu Mazewskiego, gdy się uspokoiło, Kazimirski począł wykladać, co zrobił i co się gotowało.

Spisek wojskowy przeciwko królowi się gotował; powstał on z niczego. Podkanclerzy nie mieszał się do niego i tylko dobrą radą go wspierał, ale gorąco się nim zaprzętał.

Kazimirski nosił jego rozkazy, dając je za swoje, zaciągał coraz nowych krzykaczy, starał się po wszystkich ziemiach rozsiać ziarna, z których przeciwko królowi związek miał powstać. Mówiono już o zwołaniu w ostateczności koła, które było w obozie tem, czem rokosz czasu pokojn. Koło wojskowe i hetmanów i wodzów pozyswać przed się rościło sobie prawa.

Brakło tylko podkanclerzemu jeszcze jego prawej ręki Dębickiego, który mu w ostatku przybycie swe zwiastował.

Wszystko to odbywało się pod bokiem króla i hetmanów, a dokonywało właśnie w momencie, gdy największa karność była potrzebną.

Radziejowski cieszył się tem, jako najdoskońalszym środkiem uzyskania stanowiska przeważnego.

— Beze mnie oni im rady nie dadzą, ja jeden

potrafię załagodzić, usmierzyć i zamkrąć gęby... król się mnie prosić będzie musiał.

Niebezpieczeństwa tego Jan Kazimierz wcale ani nawet nie przeczuwał.

Postanowiono po radzie wojennej, aby się na drugą stronę Styru przeprawić. gdzie równiny suche, doskonały plac do wygodnego rozwinięcia obozu i rozłożenia sił dawały.

Ale przeprawa przez rzekę bystrą. dosyć szeroką, której brzeg jeden był stromy, nie małą trudność stanowiła. Most jeden, i to nie zbyt krzepki, trzeba było poprawić, a wojska w porządku i bez zbytniego nacisku prowadzić. W tem wszystkim znowu król z wielką gorącością sam był czynnym. Hetmani i starszyzna hamować go tylko musieli i prosić o cierpliwość.

Otrąbiono wieczorem, aby pułki niemieckie królewskie pierwsze się przeprawiały. Znowu tedy mruczenie i sarkanie, że o Niemców królowi najwięcej szło, aby sobie nóg nie zamoczyli.

Ale głośno jeszcze nikt się odezwać nie śmiał.

Drugiego dnia naprzód piechota, potem pułki, których porządek był wyznaczony, most przebywały i na przeciwnym brzegu na zielonej równinie wytknięte zajmowały stanowiska. Król po mszy świętej na koniu u mostu znowu stał, aby tumultu nie dopuścić.

Nie było przy nim pod ten czas nikogo, oprócz komorników i pisarzy, a Radziejowski, korzystając z tego, zbliżył się. Jan Kazimierz odwrócił się wprawdzie, lecz uniknąć go nie mógł.

— N. Panie—odezwał się zbliżywszy tuż podkanclerzy — chociaż mi o łaskawe ucho w. król. mości trudno, ja mój obowiązek spełniam. Muszę przestrzedz, iż w wojsku fermentacja jest i zniechęcenie wielkie. Lękam się, aby w godzinie najgorszej nie wybuchnęło, nieposłuszeństwo.

Król milczał długo.

— A nikt o tem nie wie krom was, panie podkanclerzy? — zapytał.

— I mnie to doszło wypadkiem — odparł Radziejowski.

— Nie wierzę, aby szlachta tak mało dbała o Rzeczpospolitą i o cześć swoją, aby tn teraz, warcholstwem się chciała kazić.

— N. Panie szlachtę trzeba znać —z pogardą rzekł podkanclerzy—tłum to nieoświecony. a przywilejami swemi w dumę wbity. Lada co ją może pociągnąć.

Król, który słuchał z coraz wzrastającą niecierpliwością, umyślnie począł dawać rozkazy dworzanom i posyłać ich, aby przerwać nieznośną rozmowę.

Podkanclerzy, rachujący może na przestрах

i na zbliżenie się, widząc, że Jan Kazimierz doniesienie jego lekceważy. gniewny ustąpił.

Wszystkie jego rachuby chybiały.

— Potrzeba więc do ostateczności się posunąć — mówił w duchu — pcha mnie do rokoszu.

Król wistocie przez wstręt dla człowieka samą radą pogardził. Posądzał go o używanie tego środka dla pojednania, dla uzyskania przebaczenia; a darować mu nie mógł intrygi, która królową odstręczyła. Właśnie pracował nad tem, aby o swojej niewinności przekonać Maryą Ludwikę i sam widok tego człowieka drażnił go przypomnieniem.

Wojsko w przeciągu trzech dni całe się rozłożyło na równinie i Wojewoda Krakowski, który je królowi ukazywał, mógł się pochwalić widokiem, jaki ono przedstawiało.

Przynajmniej napozór świetne było i ład w niem panował pożądany. Hetmani wszyscy, sądząc po odebranych i ciągle nadchodzących wieściach o Chmielu i Ordzie, tu na nieprzyjaciela czekać chcieli. Król niecierpliwy naprzeciwno niemu chciał ciągnąć.

Z uporem nie do przelamania żądał tego, gdy starzy z pokorą, ale stanowczo prosili przynajmniej o zwłokę. Dla boju miejsce to właśnie

wydawało się im i najdogodniejszym, i najlepiej obwarowanym. Lasy i rzeka je osłaniały.

Z tem wszystkiem Jana Kazimierza niecierpliwości wielkiej pohamować było trudno, niepodobna prawie.

Ostatniego dnia przy mszy świętej przyszedł Potocki i jak litości błagał zwłoki dnia jednego tylko ..

Król się zżymał.

— Na zwłokach już straciliśmy wiele — wołał ręce łamiąc, — spójrzcie na nagromadzone siły: dopoki je mamy, póki się nie rozproszą i nie staną niesfornemi, korzystajmy. Nieprzyjaciel nie oprze się takiemu wojsku, jak nasze.

— Ale nas może w przechodzie napaść w położeniu niekorzystnem — mówił Potocki — tam on będzie wybierał... my przyjąć musimy bój, gdzie nas zaskoczy, a tu...

Złamany prośbami, król się na zwłokę dnia jednego zgodził.

Upłynął ten dzień jednak w niepokoju, w jakimś gorączkowem oczekiwaniu. Starzy żołnierze, mający osobliwe poczucie — mówili wszyscy, iż im bitwa pachnie... chociaż nic jej nie zapowiadało.

Nazajutrz rano król zerwał się do dnia i wnet rozkazy wydał, aby część wojska natychmiast ku Dubnu ciągnęła... Ruszyły pierwsze cho-

ragwie, ale zaledwie je z oczów stracono, gdy podjazd silny przybiegł, dając znać, że Bohun we trzydziesci tysięcy i ćma Tatarów tuż przybywa.

Ledwie hetman miał czas pchnąć, aby wojsko, które ruszyło już, natychmiast wracało, a rozproszeni zpod chorągwi żołnierze skupiali się do nich.

W nguieniu oka całe to spokojne mrowisko zaruszało się, zakipiało, i życie w nie wstąpiło nowe.

IV.

Rozstać się z obozem i życiem obozowem było Dyzmie w początku przykro; żegnał się i powracał do Xięzkiego, który węża pokręcał i mruzczał:

— A no jedź, masz jechać! Jaka z ciebie babo! Jedź a powracaj.

Gdy poza nim obozowego życia gwar, trąbki, rżenie koni i skrzyp wozów, zwolna cisza pól i lasów pożarła, Strzębosz uczuł najpierw znużenie wielkie; drzemał na siodle, jadąc, i parę razy, gdy mu się koń zachnął, bo miał płochliwego pod sobą, o mało się nie zsunął z niego; potem oczy przetarłszy poświstywać zaczął, rozpatrywać się w wiośnie wiejskiej, której dawno nie widział, nareszcie przyleciały naprzeciw niego wspomnienia Warszawy: Białka, zamek, towarzysze, życie na antykamerze, wycieczki na miasto...

Z nicości zaczęły się jedna po drugiej przed nim jawić twarze znane, stawały widma i przyciągały ku sobie.

To, co go ku obozowi jeszcze w tył zwracało, znikło; nowa siła jakaś rwała mimowoli naprzód do Warszawy. I serce mu w piersi skakać poczęło do tej przeszłości. Król mu zalecał pośpiech; potrzeba było nie marudzić, a tu i serce już konia popędzało. Pierwszy popas, gdy wierzchowce były wypoczęte, nie potrzebował długiego czasu, na nocleg przyjechał późno, zerwał się do dnia.

Szczególna rzecz: im teraz śpieszył więcej, tem się mocniej niecierpliwił, czas mu się wydawał niezmiernie długim, dnie bez końca, a kłus konia leniwym. Do obozu napowrót, choć czasem o nim pomyślał, nic go już nie odciągało; jednego Xięzkiego żalu mu było. Ten za niczem w obozie nie tęsknił, jakby się w nim urodził.

Strzębosz w końcu tak się zwijał, że choć pani podkanclerzyna go dobrze z wyjazdem wyprzedziła, przed Warszawą ją napędził i na ostatnim noclegu, dowiedziawszy się, że ją ma tuż przed sobą, pośpieszył, aby się z jej dworem połączyć.

Nie było w tem nic dziwnego, że ją napędził; pani Radziejowska jechała bardzo popańsku, ze stanowniczym przodem, długo wysiadając na po-

pasach, a późno ruszając się z noclegów. Nie miała się tak dalece śpieszyć czego; kolebka ciężka szesciu wóznikami zaprzężona, po drogach niekiedy wązkich, wybojów pełnych, wlokła się, a czeladź musiała ją podpierać, aby się nie wywróciła. Wozy, które szły za nią były przeładowane; służba nie miała ochoty zbyt śpieszyć, bo w podróży więcej jej dawano swobody.

Na następnym popasie Dyźma, który niejedyn raz był przez króla posyłanym do podkanclerzyny, i którego ona знаła dobrze, zameldował się jej przez ochmistrzynią. Miał list przecie.

Wpuszczono go natychmiast. W szatach podróżnych, ale nawet w drodze wytwornie i smakownie ubrana, Radziejowska siedziała zamysłona na stołku karczemnym poduszką tylko zasłanym. Piękna jej twarz nosiła na sobie ślady widoczne przebytych męczarni, wypłakanych łez i troski, która ją uciskała.

— Zkądżeś to waszmość się tu wziął? — zapytała głosem łagodnym.

— Król mnie wysłał do Warszawy z rozmaitemi poufnymi zleceniami — odezwał się Dyźma, dobywając papiery. — Mam i do pani podkanclerzyny piśmko.

To mówiąc podał zapieczętowany sygnetem prywatnym króla list, który, nieco zarumieniona, żywo pochwyciła Radziejowska, ale się rozmy-

śliwszy, nie czytając, położyła na stole przy sobie.

Spytała go niespokojnie: kiedy wyjechał z obozu i co tam słyszeć było?

Strzębosz opowiadał, potrosze się wstrzymując od tego, co miał na języku o podkanclerzym, chociaż jejność wyraziście, z niechęcią badała, co on tam poczynił.

— Nieprzyjaciela jeszcześmy nie widzieli — rzekł — ale jeńców codziennie do obozu przyciągają, i pewna rzecz, że cała ta tłuszcza około Dubna i Ołyki pustoszy, a może i bliżej. Król chce iść naprzeciw i bardzo niecierpliwy jest; Potocki i Kalinowski wstrzymują, bo pod Beresteczkiem pole doskonałe i na obóz i do rozprawy, a drugiego takiego znaleźć będzie trudno.

Wszystkoby dobrze było, bo i sił jeszcze coraz więcej nadciąga — dokończył Strzębosz — gdyby nie szemranie i rodzące się już w pospolitem ruszeniu warcholstwa.

— O! to łatwo przewidzieć było — odparła żywo, usta zaciskając Radziejowska. — Są tacy, którzy niezgodę sięją zawsze, nie omieszkają jej i tu pielegnować, a na łatwych do podburzania nie zbywa. Biedny król

— Dotąd — dodał Strzębosz — dzielnie się trzymał i trzyma, a tak czynny, jak go nikt nigdy nie widział. Nawet pod Zborowem. choć i

tam nie zasypiał, nie był tak niezużonym, tak surowym; ale, co to pomoże!

Dyzma nie dokończył.

— Tak—ożywiając się, mimowoli zawołała podkanclerzyna — co to pomoże, gdy pod nim dołki kopać będą!

I zadumała się ponuro.

— Zabawisz wmość długo w Warszawie? — zapytała.

— Nie wiem, bo główna rzecz, jak mnie królowa przyjmie i odprawić zechce.

— Nie zapomnijsz zająć do mnie, bo odpowiedź dać muszę — szepnęła podkanclerzyna — a do Warszawy, czy nas wyprzedzisz?

Strzębosz zapytał:

— Jeżeliby było potrzeba, łatwobym o jakie pół dnia mógł pośpieszyć.

Potrząsnęła głową Radziejowska.

Nie pytała już więcej, a gdy list króla wzięła w ręce, Strzębosz zrozumiał, że mu się należało oddalić.

Skłonił się więc i odszedł, a z rozkazu podkanclerzyny jej marszałek wziął go zaraz na przeciw do izby dla ugoszczenia.

Reszta podróży bardzo zeszła wesoło, bo Strzębosz, dla zmęczonych koni, nie mógł pośpieszyć; towarzyszył więc dworowi podkanclerzyny i miał się dobrze. Ona sama kilka razy jeszcze powo-

ływała go do siebie, rozpytując o różne drobnostki i od niego się dowiedziała, że od przejęcia listu swego podkanclerzy do Warszawy przez królewskie kresy nie pisywał, ale z Kryłowa bojarów sprowadził, którzy się mieniali na posyłki. Strzębosz przynajmniej wiedział o dwu czy trzech takich wyprawionych z obozu, pewno nie bez listów i doniesień do Warszawy.

Dawało to jej do myślenia; nie mogła bowiem wątpić, że przeciwko niej mąż knować musiał.

Strzębosz z ostatniego popasu, już nie mogąc powstrzymać młodzieńczej swej niecierpliwości, pożegnał podkanclerzynę i puscł się przodem do Warszawy.

Serce mu biło, zapomniał o wszystkim prawie. co za sobą pozostawił. Zdawało mu się, że przed nim, skrzydłami wiosennego motyla niesiona ułatywała figlarnie usmiechnięta twarzyczka Bianki. Młodość jest samolubną: o wszystkich cudzych zapominał frasunkach—on, on miał być na chwilę szczęśliwym. Sprawy króla, podkanclerzyny, wojna, nic go już nie obchodziło. Wstydział się sam siebie, ale prąd go jakiś potężny unosił—oprzec mu się nie umiał. Koń już ledwie starczył pospiechowi, z jakim biegł, a biegł aby stanąć na miejscu, a gdy wieżycy P. Maryi i mury kościołów, a zamku, ukazały się w oddali,

Dyzma mimowoli czapeczkę podrzucił do góry, witając miasto.

Na zamku przybycie jego, jak każdego posłańca od obozu, sprawiło radość; dano znać królowej.

Zarzucano go pytaniami: gdzie był król? czy się nieprzyjaciel pokazał? Nie było bitwy?

Ledwie miał czas suknie zapyłone zrzucić i przeodziać się, gdy go już dwu paziów, jeden po drugim do królowej przybiegło napędzać; bo listów nikomu zwierzyć nie chciał.

Zastał Maryą, Ludwikę samą i przechadzającą się po swym pokoju z oznakami niecierpliwości.

Pochwyciła listy, pytając:

— Zkąd?

— Zpod Beresteczka...

Na stole rozłożona leżała wielka mappa. królowa pobiegła i pochyliła się nad nią.

— Król? — zapytała.

— Zdrow, Bogu dzięki i czynny bardzo — począł Strzębosz — a gdyby mu ludzie tak służyli, jak on o nich się troszczy i pracuje...

Spojrzała królowa ciekawie na niego — i krótkimi pytaniami zasypała go.

Z nich widać było, jak doskonale ją o wszystkim uwiadomiano; wiedziała już o buncie na Podgórzu i spytała: czy kogo wysłano, aby jego

szerzeniu się zapobiedz; słyszała o Chmielnickim pod Ołyką i o Ordzie.

Strzębosz ledwie mógł wydażyć z odpowiedziami. Zarazem, rozerwawszy pieczęci, rzucała oczyma na listy i zadawała pytania, nie słuchając potem roztargniona, odpowiedzi.

Naostatek zagadnęła o podkanclerzego, a Dyzma, który się na to gotował wcześniej, bez ogródki opowiadać zaczął, jak dokuczał i naprzykrzał się królowi i z kim w obozie przestawał. Nie taił, że się szlachta zbierała warcholić, dając do zrozumienia, kto ją podbudzał. Marya Ludwika usta ścisnęła, nie mówiąc nic.

Słówkiem musnęła podkanclerzykę.

— Gdzież ta wasza piękna pani?

— Z obozu dawno wyjechała — rzekł Strzębosz — i prawie dziś lub jutro będzie tu w Warszawie.

Oczy królowej zabłysły gniewem, zamruczała coś niewyraźnie:

— Rozstali się więc! — dodała jakby sama do siebie.

Strzębosz stał ciągle u progu, bo pytania nie ustawały jeszcze. Sam on z własnego natchnienia począł mówić o tem, jak N. Pan cierpiał, iż listów długo nie miał z Warszawy, które gdzieś ginęły w drodze i że dlatego właśnie jego wy-

prawił, aby się naocznie przekonał o zdrowiu królowej, a przywiózł pewną wiadomość.

Wszystko to Marya Ludwika zbywała milczeniem, nie bardzo nawet słuchając pilno, i raz jeszcze wtrąciła:

— Dziś ma powrócić do Warszawy.

Dyzma nie zrozumiał pytania i dopiero po namyśle potwierdził, że podkancierzyna musiała nadjechać, bo ją napotkał na drodze.

Znowu więc o wojsko, obóz, o hetmanów, o nadciągające pułki, o usposobienie między szlachtą badać poczęła. Dyзма się musiał dziwić pamięci i doskonałej wiadomości wszystkiego, co się działo w obozie. Widocznem było, iż królowej ze strony donoszono o tem, bo niektóre plotki nacechowane były niechęcią dla króla i nieufnością. Strzębosz go ciągle bronił, a czynił to z wielką gorącością i nie szczędząc dowodów, iż fałszywe dochodziły do stolicy.

Królowa, na to nie odpowiadając, wejrzeniem tylko go przeszywała.

Trwało tak długo to wypytywanie, iż w końcu Maryi Ludwice znać dano o wieczery, a Dyзма na ostatek odszedł uwolniony, ale mu się na jutro stawić kazano.

Ledwie z tych spytków wyswobodzony, wpadł w ręce dworzan, którzy na niego w antykanerze czatowali—i pociągnęli z sobą.

Z ich pytań jeszcze się dowodniej mógł przekonać, jakie tu rozsiewano plotki. Zagadywano go o jakies niespodziane króla z podkanclerzyną najście przez męża i wynikłe z tego srogie z Radziejowskim zatargi.

— Ależ to są haniebne baśnie!—krzyknął oburzony Strzębosz — ja przy królu jestem ciągle! Nigdy nic niepodobnego się nie wydarzyło. Królowi ani ona, ani żadna inna teraz w głowie, ma o czem myśleć i nie dosypia nocy, tak pracuje, a tu mu obmową niegodziwą za to płacą!

Gdybym pochwycił łotra, co tu przynosi takie podłe plotki, język bym mu obrzezał!

Śmiano się z tego oburzenia.

— Darmo się nie zmagaj — wołali komornicy królowej — u nas tu powszechnie wiadomo, że podkanclerzyna dla króla z Krasnegostawu pojechała dalej, że męża odprawiano, a ona wieczory spędzała z panem.

Wściekły rzucił się Strzębosz.

— Kłamstwo podłe, niegouziwe, nikczemne! Król ani jednego razu się do podkanclerzyny nie zbliżył, nie mówił z nią. Mąż ją wlokł za sobą.

Nie chciano Dyzmie wierzyć.

— Tu ją dobre przyjęcie czeka w Warszawie—szeptali dworacy — bo począwszy od królowej,

której się ani na oczy nie będzie mogła pokazać, żadna z pań jej nie przyjmie.

— Ale niewinność musi się w końcu okazać, bo to są czernidła nie zasłużone i rozsiewane umyślnie — mówił Strzębosz.

Naprawdę się jednak silił: nie było sposobu przekonać; opowiadano zmyślane przygody i niektórzy szeptali, że królowa miała o tem w listach pewne wiadomości. Jawnem było źródło dla Dyzy; wszystko to pochodziło od samego podkanclerzego, który usiłował królową z mężem rozdzielić, aby z tego skorzystać.

W końcu Dyza, klęcząc, porzucił towarzyszków, zły, że ich przekonać nie mógł. Żał mu było podkanclerzyny. Chętnie-by jej był wczesnem ostrzeżeniem oszczędził przykrości, ale z drugiej strony, nie wiedział ani jak tego dokonać, ani czy przystało mu mieszać się w tak drażliwe zajęcia.

Nazajutrz ledwie mógł dotrwać powołania do królowej. Tu po przeczytaniu listów, znowu pytań się posypało mnóstwo, na które Dyza, jak mógł i umiał, dawał odpowiedzi. Potwarze w samem tem badaniu wychodziły na jaw. Ukaranie Pawłowskich, sądy wojskowe wszystko było królowej wiadomem. Miała osobne doniesienia o pochodzie Bohuna, o Ordzie, o owej obietnicy

Chmiela uczynionej Hanowi, że łup będzie zagarniał z Polski bez trudu i bez straty.

Królowa trzymała z hetmanami, iż pod Beresteczkiem stać było potrzeba i czekać, a wogóle znajdowała mnóstwo uchybień w postępowaniu męża. Szczęściem już tym razem ani o podkanclerzym, ani o żonie jego wzmianki nie było.

Wyrwawszy się ztąd, jak z łaźni, Dyźma się nie dał wstrzymać i wyskoczył na miasto, wprost do domu Bertoniowej.

Mógł się tu złożyć poselstwem króla, a zresztą nie dbał o to, że stara się na niego pogniewa i wyźwierzy. Pędem jednym wbiegł na wschody i drzwi otworzył, nie oznajmując się, sądząc, że Biankę może zastanie samą. Nie poszczęściło mu się, bo zamiast jej, zastał starą matkę z niemłodym mężczyzną, wystrojonym z cudzoziemską, w peruce, chociaż świeżo zgolony wąs i jasna po nim, nieopalona jeszcze, skóra świadczyły, że się przebrał niedawno.

Bertoni zimno go i bez gniewu przyjęła; a gdy się oznajmił od obozu i króla, poczęła wraz ze swym gościem ciekawie rozpytywać o wiadomości obozowe.

Złożyło się przytem tak, że niemłodego jego-mosci nazwała po imieniu i nazwisku, a był to książę Massalski, stolnik.

Małoby on obchodził Strzębosza, gdyby go coś nie tknęło, że mógł być do Bianki prowadzonym przez matkę. Postanowił go tu przeczekać, aby się domacać prawdy.

Ow pan Massalski dosiadywał też dosyć długo, ale w końcu ustąpić musiał, a Bertoni i Dyzmę z nim odprawić chciała, ale się nie dał zbyć i powrócił do bawialni.

Włoszka parę pytań o królu zadała, na które Dyзма odpowiedział, lecz język mu już świerbiał pytaniem, co znaczył ów Massalski.

— Mógłś się przecie w-mość domysleć — odparła z przekąsem stara — że on tu dla muie nie przychodzi... ale dla Bianki. Zakochany w niej, a choć mu familia nie daje się żenić z mieszczanką, pewnie jej słuchać nie będzie.

Rzucił się aż Strzębosz.

— Piękne pani szczęście z tym starym grzybem córce gotujesz! — zawołał — życzę tylko bez wiadomości króla nic nie poczynać, bo się łąco na guiew jego narazić można.

— Nauk nie potrzebuję — odparła dumnie Włoszka.

— A zmuszać Biankę — dodał Dyзма.

— Ja jej wcale nie potrzebuję zmuszać — odezwała się Włoszka — dziewczyna ma rozum... król też jej szczęściu na zawadzie nie stanie. Idzie tylko o rodzinę, ale ja u Rzeczypospolitej wene-

kiej szlachectwo stare wyrobię dla Bertoni... i—
na swoim postawię.

Jak oszalały z bólu i smutku słuchał tego Strzębosz... ociągał się jeszcze, sądząc, że Biankę będzie mógł widzieć i przekonać się o tem, jak przyjmowała konkurenta, ale mu stara oświadczyła, iż córki w domu niéma.

— Próżno byś się też, kochanku, trudził później—dodała — dla ciebie jej nigdy w domn nie będzie... wybij ją sobie z głowy.

— Zobaczymy! — rzekł ze złością, wychodząc Dyżma.

Zeszedłszy na dół, stał pod kamienicą długo, na pół skamieniały. z sercem rozdartem, sądząc, że może powracającą do domn schwyci dziewczynę; lecz, napróżno pół godziny pod murem wystawszy na czatach, wściekły, na zamek powrócił.

— Miałem czego się śpieszyć! — wołał sam do siebie.

Najpilniejszą było teraz rzeczą o tego Massalskiego się rozpytać; ale kilku towarzyszków i dworzan królowej napróżno badał: żaden mu o stolniku Massalskim uic powiedzieć nie umiał.

Dopiero stary komornik króla, który pozostał przy pokojach, jako dozorca karłów, małp i papugi... uderzywszy się palcem w czoło, począł prawić:

— Wiem! wiem!... znali go dawniej... Słaby

jest na umyśle... waryatem go nazwać nie można, bo nie dowodzi nic. furji nie wyprawia, ale nie spełnia rozumu. Pilnuje go rodzina, bo już raz z chłopką się chciał żenić, a potem z żydówką. Znają go tu, znają!

Jeszcze się straszniej oburzył Strzębosz dowiedziawszy, kto był ów Massalski. Świadczył stary komornik, iż nigdy ten biedny człek nikomu nic złego nie uczynił, uprzejmym był i słodkim, a miał tylko passyą szczególną podarkami wszystkich obsypywać, na które się ruinował.

Zaledwie kogo poznał, albo parę razy widział, natychmiast mu coś na pamiątkę przynosił; pilnowali go krewni, ale zapobiedz temu nie mogli. Co miał Massalski wszystko tak rozpraszał: klejnoty, broń, pamiątki stare. Gdy mu zabrakło co dawać, brał u kupców na kredyt. Spotykało to zarówno mężczyzn i kobiety, gdyż serce miał bardzo czułe i kochał się a oświadczał nieustannie.

Dla Włoszki tytuł jego był ponętą, a miał też kniaź resztki fortuny na Białej Rusi, która, choć mocno zadłużona, oczyszczoną być mogła. Starej Bertoni, wcale się niedziwował Strzębosz — ale swej Bianca, dziewczęciu w którego serce wierzył—!

Nie pojmował tego, że tażsama krew płynęła w żyłach matki i córki, i że płochę dziewczątko

uśmiechało mu się wdzięcznie, przyjmowało go mile, ale zarówno zalotnie i innych. Stary Masalski, który się dla niej przebrał poeuropejsku i włożył perukę—śmieszył ją, lecz książęcy jego tytuł może ją kusił, a wpływ matki... codzienny, nie mógł być bezowocnym.

Strapiony Dyżma wybrał się raz i drugi z zamku, krążąc około domu na Starem Mieście, zasadzając się pod Ratuszem, w ulicach, — ale dziewczęcia, strzeżonego, nie spotkał. Miał tylko przyjemność widzieć starego księcia, przybywającego codziennie ze szkatuleczkami, izwilkami, którego byłby ubił, gdyby mógł. Stolnik zaś, doskonale pamiętający twarz każdą, uśmiechał mu się jako znajomemu, gdy go spotkał, i wielce uprzejmie pozdrowiał.

Myślał z początku Strzębosz z nim się rozprawić—lecz byłby się na śmiech naraził, bo stolnika za pół obłąkanego miano.

Przez kilka dni tak pobleździwszy z rozpaczą w duszy, sam już nie wiedząc, jak sobie radzić, poszedł powtórnie do Bertoni.

Przyjęła go mruczając, kwasno i spytała w progu:

— Czegoż jeszcze chcesz!... czego?... darmo się nie włóczę—nic nie wskórasz.

— Ale na Boga miłego! — krzyknął Dyżma zrozpaczony — toż macierzyńskich dla dziecka nie masz wnetrzności, żeby je na łup szalonemu

dawać! Cały świat wie o nim, że rozumu nie ma.

— A ja wam tylko go tyle życzę, co jemu pozostało—odparła równie gwałtownie Włoszka.

— Król jest opiekunem panny Bianki—mówił dalej Dyźma, myślicie, że mu miłym będzie, gdy się o tem dowie? Wyrzeczcie się i was i jej: za to ja wam ręczyć mogę.

Bertoni śmiechem szyderskim przyjęła tę pogroźkę.

— To nasza sprawa—burknęła—nie opiekujcie wy się tylko moją dziewczyną. Z królem ja będę wiedziała jak poczynać; nie taki on straszny, jak się wam wydaje.

Dyźma umyślnie głos podnosił, sądząc, że może nim z kryjówki wywabi dziewczę i choć zobaczyć ją będzie mógł; lecz jej w domu nie było, czy się pokazywać nie chciała,—nie wyszła. Dozekał tylko przybycia stolnika, który, zobaczywszy go, niespokojnie po kieszeniach szukać począł czegoś i dobył nareszcie spinkę turkusową.

— Ponieważ miałem honor poznać waćpana dobrodzieja—rzekł z ukłonem—niech-że mi wolno będzie zapisać się w pamięci jego tą miłą pamiąteczką.

Strzębosz, odtrąciwszy datek, wybiegł jak szalony.

Obawiał się, aby królowa nie pośpieszyła z li-

stami i odprawą, nim się będzie mógł z książką zobaczyć. Wprawiało go to w rozpacz taką, że po całych dniach stał na czatach i zapomniiał nawet się dowiedzieć o podkanclerzynie.

Gdy mu to na myśl przyszło, wreszcie wprost do pałacu jej pośpieszył. Tu zastał wszystko w jakimś ruchu gorączkowym, jak gdyby sama pani znowu się w podróż wybierała.

Biegali ludzie, krzyżowała się służba, wynoszono skrzynie, i ledwie mógł z niemałym kłopotem oznajmić się do Radziejowskiej, a potem długo oczekiwać musiał, nim go do niej wpuszczono.

Znalazł ją strasznie zmienioną, rozdrażnioną, z widocznymi śladami łez na oczach. Wstrzymywała się jednak widocznie, aby przed mało znany nie zdradzić się z cierpieniem. W pokojach uderzyły go, już gdy przechodził, przygotowania jakiegoś do wyjazdu.

To, co dawniej stanowiło ozdobę tego wspaniałego wystrojonego pałacu, albo już znikło, albo stało przygotowane do zabrania. Kosztowne szkatuły, obrazy, zwierciadła, nawet posągi niektóre — leżały i nagromadzone były pod ścianami.

Radziejowska chodziła gniewna, wzburzona, — nie mogąc nawet mówić, tak ją myśli własne oblegały.

Zapominała, że Strzębosz stał i poruszała się

mechanicznie, chwytając co było pod ręką, zrzucając na kupki różne fraszki, chowając je i napowrót wydobywając.

Dyzma nie śmiał jej spytać: czy się w podróż wybiera. Wtem oznajmiono brata, i podkanclerzyna wybiegła naprzeciw niemu, prosząc tylko Dyzmę, aby wyjeżdżając, wziął listy.

— Jeżeli do podkanclerzego — szepnął Strzębosz — przykro mi to oświadczyć, ale się ich nie będę mógł podjąć.

Z dzikim śmiechem p. Radziejowska uczyniła mu tylko pytanie:

— Do podkanclerzego? odemnie!

Z tem musiał wyjść Dyzma, to tylko zrozumiałwszy, iż między małżeństwem znowu wasn się zajątrzyła; ale, że to już nieraz się wprzód trafiało, nie sądził, ażeby do jakiejś ostateczności przyjść miało.

Do królowej parę razy się zgłosiwszy nadaremnie, Strzębosz nie miał już nic do czynienia, i po dawnych znajomych, którzy w Warszawie pozostali błakać się zaczął.

Pomiędzy tymi wielu było mających rozgałęzione w świecie stosunki; wszędzie, gdy tylko o podkanclerzynie napomknął, kuso i krzywo na niego spoglądano.

Z pań przy królowej będących dosyć dawniej mając życzliwą, faworytę jej, pannę de Beaulieu,

która młodego, przystojnego chłopca bez złej myśli protegowała, Strzębosz się osmiał pójść do niej.

Przyjęła go wesoło dosyć.

Ciekawa była rozpytać go i słuchała chętnie, nauczywszy się tyle popolsku, iż zrozumieć mogła ten język.

Dyzma umyślnie wspominał biedną podkanclerzynę.

— Biedna?—podchwyciła panna de Beaulieu.— Nie lituj się wacpan nad nią, ma to. na co zasłużyła. Wolno jej było nie poszanować siebie, ale króla w oczach świata kompromitować, ale go różnić z żoną, ale się bezwstydnie czepiać obozu, aż nareszcie mąż gwałtem się jej pozbyć musiał...

Strzębosz krzyknął oburzony, poczynając tłumaczyć się i uniewinniać, ale Beaulieu ani go chciała słuchać, i wysmiewała.

— Podkanclerzyna — dodała Beaulieu — znalazła w Warszawie wszystkie drzwi zamknięte, nikt jej przyjmować, nikt znać nie chce. Królowa była pierwszą, która wręcz oświadczyła, że na zamku nie dopuści się jej pokazywać. Za przykładem pani poszli wszyscy i zdaje mi się, że oprócz rodziny, to jest dwóch braci i może najlepszych jakich kilku przyjaciółek, wcale z nią

żyć nikt nie będzie. Chciała poróżnić naszych państwa i postępowała bezwstydnie.

Strzębosz nie mógł już wytrzymać, załamał ręce. — Na miłość Boga! posłuchaj mnie pani, to są najniepoczciwsze intrygi i potwarze, których ofiarą padnie kobieta niewinna. Pozwól mi opowiedzieć wszystko.

Z niedowierzaniem zgodziła się panna Beaulieu na cierpliwe przesłuchanie powieści Strzębosza, a uderzyć ją nareszcie musiała historia listów przejętych do królowej. Dyżma zresztą z taką ścisłością i dokładnością wszystko określał, że o prawdomówności jego powątpiewać nie było podobna. Francuzka ostygła nieco; ale zgadzając się na to, że Radziejowski mścił się, utrzymywała zawsze, iż miał do tego powody, bo podkanclerzyna króla starała się przywiązać do siebie i t. p.

Dyżma tak długo siedział, tak silnie przemawiał, tak prosił, że panna Beaulieu obiecała mu królowej powtórzyć, co od niego słyszała, szczególnie na obronę króla.

— N. Pani — dokończył Strzębosz — za nadto zaufała człowiekowi niegodziwemu, a podkanclerzy korzystał z tego i osnuł sobie o władnąc wszystkim; przyjdzie jednak czas.

— N. Pani — przerwała Beaulieu — wcale nie

tak ślepo ufa Radziejowskiemu, jak wpan sądzisz.

Na tem przedłużona skończyła się rozmowa, która tegoż dnia się odbiła w sypialni królowej. Strzębosz miał tę pociechę, że podróż jego nie była daremną.

Poszedł raz jeszcze do pałacu, który dotąd nosił nazwę Kazanowskich i znalazł tu jeszcze wybitniejsze oznaki przygotowań jakichś, które mu zrozumieć było trudno, a ludzie pytani tłómaczyć mu ich nie chcieli.

Podkanclerzyna ubrana prawie żałobnie, cała w czerni, z policzkami, które gorączkowy krasił rumieniec, przyjęła go, siedząc u stoliczka, na którym leżały stosy porozrzucanych papierów.

Zapytała go, kiedy odjeżdża i niecierpliwiła się tem, iż na to odpowiedzieć nie umiał, oddawała mu pismo jakieś i cofała niepewna.

W toku rozmowy wspomniawszy królową, zapytała go, czy ją widział. Dyżma potwierdził to ale o Maryi Ludwice nie mówił nic.

— Królowa względem mnie jest niesprawiedliwą — rzekła. — Wiem, że N. Pan ując się nawet za mnie nie może. Nie mam nikogo; jedyna moja opieka, dwaj bracia: ci mi dopomóż muszą. Z podkanclerzym się rozs'ać niedzowna rzecz, bo-bym umarła...

Dyżma ośmielił się zapytać: czy myślała o prze-

niesieniu się gdzieindziej, co wnosił z przygotowań, ale na to obojętną, dwuznaczną otrzymał odpowiedź.

Podkanclerzyna naostatek wręczyła mu list do króla.

— Nie potrzebuję wpanu zalecać — dodała — że list ten tylko do rąk własnych i na cztery oczy masz j. kr. mości doręczyć. Dosyć-by było wiadomości o nim, aby mnie o miłostki znowu obwinić, a razem i króla. Jest on moim opiekunem, jemu winnam wszystko, ale na tej wdzięczności ogranicza się nasz stosunek. Ludzie są źli i niepoczcwi.

Z bólem w sercu odszedł Dyżma. Królowa ciągle mu jeszcze oczekiwać kazała, a z Bertoniową i jej córką nie mógł dojść do końca. Naostatek bardzo rano jednego dnia udało mu się dziewczę do kościoła idące ze starą ochmistrzynią pochwycić na drodze.

Bianka śmiała mu się wdzięcznie i wesoło, jak dawniej.

— Zlituj się, uspokój mnie — począł przypadk-szy do niej. — Matka chce cię poświęcić i oddać szalencowi, powinnaś się oprzeć temu. Ja króla zawiadamie.

— Al a! proszę się nie wtrącać do tego — podchwyciło dziewczę zmieszane — ja muszę być posłuszną matce. Stary książę wcale szalonym

nie jest, ale bardzo dobrym człowiekiem. Ubóstwia mnie, pada przede mną.

Strzębosz wybuchnął.

— A z nami co będzie?—zapytał — nasza miłość i przysięgi twoje?

Bianka spuściła oczy.

— Ale ja waćpana kocham zawsze — szepnęła — tylko... matki słuchać przecież muszę.

Dyzma wpadł w rozpaczliwy zapał. Włoszka słuchała go, uśmiechając się z naiwnością dziecięcia. Zdawała się niemódtz pojąć tego, że miłość dla pięknego chłopca nie dawała się pogodzić z wyjściem za mąż za starego księcia.

Napróżno przemawiał Strzębosz. Uśmiechała się, uspakajała go, ale tak, jak on do serca nie brała, ani swych przyrzeczeń, ani miłostek.

— Ja przecież dla was, nie mogę prowadzić wojny z matką — zakończyła — toby mi życie zatruło a ja go chcę używać. Starego wcale nie kocham, to wam wystarczyć powinno.

Nie mogąc nic więcej na niej wymódtz, Dyзма starał się przynajmniej dostać od niej słowo i przyrzeczenie uroczyste, że nie wyjdzie za mąż dopóki król z wyprawy nie powróci.

Bianka się pogniewała.

— Ale ja terminn przecie nazuaczać nie będę; mów waćpan z mamą. — To mówiąc i prawie bez pożegnania śpiesznie tak poczęła uchodzić, że

Strzębosz zaledwie ją mógł napędzić, aby przebłagać i pożegnać.

Już u progu prawie raczyła się do niego odwrócić, przebaczyć mu, uśmiechnąć się znowu i pierzchnęła potem, zostawiając go osłupiałym.

Dyzma był uparty. Nazajutrz dobijał się do drzwi Bertoni; musiała mu otworzyć.

— Powracam do obozu — rzekł, wchodząc. — Bez żartu król mi się kazał o was dowiedzieć. Po zasięgnięciu wiadomości o stolniku. ja waćpani w imieniu króla objawiam, że jeśli, nim my tu powrócimy, wydasz Biankę samowolnie za tego starego. ja w tem... na oczy się już ani wy, ani córka królowi pokazywać nie będziecie mogli. Z opieki N. Pana i obietnic — daję waćpani słowo — kwita na wieki.

— Myślisz, że się groźb tych zlekue? — przerwała Bertoni. — Ja króla znam lepiej i dawniej niż wy. a z dzieckiem wiem co mam robić. rady niczyjej nie potrzebuje.

I drzwi mu zatrzasnęła przed nosem.

V.

Pełną tajemnic jest ta ludzka natura, której nikt nie zbadał. W człowieku odzywa się niekiedy uspione zwierzę, czasem uwięziony duch anioła. Jedno nic, powiew wiatru, woń jakaś, dźwięk przeistacza spokojną istotę, w rozszalałe stworzenie. Pieśń pobożna pokoju bucha pożarowym chórem zniszczenia... Tak, owego pamiętnego poranku w obozie pod Beresteczkiem, we mgnieniu oka, tabory, jakby uspione, zbudził jeden okrzyk:—Do koni! do broni!

Po ogromnej przestrzeni zajętej taborami przebiegło jakby konwulsyjne drgnienie, wiatr poruszył proporce, zaszeleściały chorągwie, zarżały konie, powybiegali ludzie, zaszczękły szable. Rycerstwo, ciury obozowe, co żyło, dzwignęło się.

Rozkazy z ust do ust podawane krzyżowały się, po pułkach trąbiono w mundsztuki, starszyz-

na w łosiowych koletach wybiegała z namiotów, czeladź wdrapywała się na wozy, chcąc zobaczyć, czy już nie nadciąga nieprzyjaciel.

— Orda! do koni! nieprzyjaciel idzie! — wołano zewsząd.

Wszczęło się zrazu zamieszanie, ale potężne głosy nawołujących dowódców ład natychmiast wprowadziły. Nie czekał już nikt dalszych rozkazów; wiedzano co poczynać.

Służba biegała, siodła niosąc na ramionach, a konie, poczuwszy już pochód, niecierpliwiły się, rwały i rżały.

Kilku konnych od króla rozbiegło się po regimentach, co chwila z innej strony grała trąba na zbór.

Ci, co się zrana porozłazili ku borom, aby wiosny powąchać, biegiem do szalasów powracali.

Opowiadano, że czeladzie z końmi na pastwiska, wyciągnąwszy dalej w lasy, natrafiły na opuszczone świeżo koczowiska Tatarów, na porozbijane drogi, kopytami końskimi, potratowane łąki, pogubione strzały, wojłoki i obławki noclegów.

Nikt nie pojmował, jak mimo czynnych podjazdów mogli się Tatarowie podkraść tak blisko i cicho.

Zdała na wzgórzu widać było stojącego króla

otoczonego starszyzną wojskową. Od niego ciągle biegli posłańce i powracali. Prowadzono mu pochwytyanych ludzi, języki. Ciche obozowisko szumiało teraz, jak morze wiatrem rozkołysane, a w szumie tym było coś uroczystego, bojowego i niemal wesołego. Mnóstwo tych pomieszanych głosów zlewało się w jeden chór gorący, po nad którym luczono:—Do koni! do broni!

Szlachta, która wczoraj się naradzała, jak przeciw królowi stanąć z grawaminami, zawstydzila się, a krew też w niej zagrała.

— A już wolę raz bić się i skończyć, niż tu na zielonej paszy czekać zmiłowania bożego, gdy tam w domu niema komu owsa posiać i tatarki, —wołano.

Wszyscy teraz do wozów po najlepszą broń sięgali, a szable krzyżem świętym znaczyli. Niektórzy jakimś starodawnym obyczajem stroili się do boju w co mieli najlepszego.

— Boć to święto dla żołnierza — mówili.

Nawet w ciury duch wstąpił, bo i te latały jak oparzone, niewiadomo: przestraszone, czy rade.

Pułki, którym najłatwiej się było wybrać i ustawić już na placu stawały z chorągwiami, które wiatr zlekka unosił. Gdzieniegdzie troskliwi o siebie jeszcze popuściwszy pasów i rzemieni, zjadali, zapijali na zapas,bo niewiadomo

było, kiedy znowu się do misy dobiorą. Zapijano na—połybel rebellizantom...

Tu i owdzie wyrwał się okrzyk głośniejszy i milknął...

Król był w ciągłym ruchu, dojeżdżał do regimentów, przemawiał do nich, powracał.

Dziwili się teraz wszyscy, jako się nie domyślili Ordy, albo zaspali te łuny, które nocą na wszystkie strony widać było. Czeladź teraz świadczyła, że już drugą noc na niebie się coś paliło zdaleka.

Na pierwszy odgłos zrana Wiśniowiecki i Lubomirski wysłali podjazdy, pierwszy Kozaka swego, wiernego Zaradę, ze czterema starymi i doświadczonemi Kozakami, drugi jakiegoś pułkownika który słynął z tego, że z podjazdu nigdy z próżnemi nie wracał rękami.

Przyprowadzili oni czterech ujętych Tatarów; orda stuknęła o mil dwie nocowała.

Król przed obrazem N. Panny Chełmskiej poszedł się pomodlić...

Gdy się to w obozie działo, nieopodal, na wzgórzu, czeladzie spokojniuteńko trawę dla koni kosiły, nie spodziewając się, aby im kto przeszkodził, gdy tuż z zarośli poczęły się wyrywać krzyki i pokazali, luźni Tatarowie.

Z początku było ich kilku rozpierzchłych, po-

tem coraz więcej. Stawali i wyzywali. Pomieszane między niemi Kozactwo wołało:

— Do tańca prosim! A co? nóżki bolą! Strach! chodźcie do tańca!

Cinry i nie cinry ruszyły, by się bić, ale Zamojski strażnik, koronny, z rozkazu króla surowo zabronił, aby się nikt wyrywać samopas nie śmiał.

Trwało to krótko, bo gorącej krwi młodzież w miejscu stać zmuszona rwała się, wiążąc podjeżdżających tzn i najgrawających się, pohańców. Jeden szczególnie Tatarzyn na srokatym koniu z arabskim dżerydem, którym nad głowę wykrzykując wywijał, wszystkim dokuczył. Zaczęli się Zamojskiego prosić, aby, kto lepszego konia miał, a nfał sobie, mógł naprzeciw pojedynczym zwijającym się po polu wybieżeć. Zezwolił król: unż z szeregów zaczęli się ochotnicy wyrywać kn pohańcom i utarczki pojedyncze wszystkich oczy zwróciły.

W tem stojący przy królu stary rotmistrz Kłodziński powiada:

— Baczyć trzeba na omen, bo Tatarowie w to mocno wierzą, gdy pierwszy z nich padnie w bitwie, na którą stronę twarzą się pochyli, tą pewno przegra. To im serca albo dodaje albo ujmuje.

Ledwie wyrazów tych domawiał, gdy ów na

srokatym koniu z dżerydem ścierać się począł z ogromnego wzrostu wojakiem już nie młodym, który na niego gwałtownie się pusił z gołą szablą tylko i szczęśliwie go impetem na ziemię obalił tak, że głową kn Tatarom się przewrócił.

Wśród dziczy krzyk i wisk się dał słyszeć okrutny i ze wszystkich stron z zarosli poczęli się wymykać na pomszczenie zabitego jezdni. jak z uzbrojenia widać było. znaczniejsi Murzowie i dowódcy. Ale i tym się nie szczęściło, bo ich kilku pochlwycono, kilku raniono i zabito.

Coraz większe wrzaski od strony tatarskiej się wszczeły, i już nie pojedynczo, ale szeregami wysuneli się na wojsko wprost. i to na lewe zaraz skrzydło, według zwyczaju, dlatego, że im z łuków wygodniej strzelać z tej strony.

Wojsko stało jeszcze, jak rozkazano murem. tylko wiatr zerwawszy się chorągwiami nad niem szeleścił. Serca biły, ręce drżały... do boju. Spoglądano na króla, który stał zadumany, jakby godziny od Boga natchnionej, czekał.

Aż przyskoczył Koniecpolski, którego serce rycerskie dłużej wytrzymać nie mogło.

— N. Panie, do nóg waszych z prośbą się skłaniam, na zasługi nieboszczyka ojca mego. pozwólcie mi pierwszemu wystąpić na nich, pozwólcie! Dnia dosyć upłynęło, a ta dzicz się uraga.

— W imię Boże, mości chorąży — odparł Jan Kazimierz. I ręką znak krzyża świętego uczynił w powietrzu. Tuż stojący Lubomirski, pospieszył z tem, aby mu powinowatego było wolno posiłkować,

Ledwie się to rozstrzygnęło, gdy trąbki zagrały i pułki Koniecpolskiego z Lubomirskim puściły się na Tatarów. których już nie kupka, ale tłum, ćma, nieprzeliczona moc, ściśnięta parła na nie.

Ale jak o mur się dzicz rozbiła, raz i drugi, tyle tylko, że nawałą coraz większą ciążyła i parła. Koniecpolski z Lubomirskim, ani ruszyli z miejsca, na którem się z nimi spotkali.

Gąszcz taka zbiła się w jedną bryłę tam, gdzie walczone, że tylko po chorągwiach chwiejących się w powietrzu rozeznać było można, gdzie się dzicz znajdowała, a gdzie pułki.

Nie wyzywali pomocy mężnie się scierający, ale ich tak samych na długi bój uparty ważyć się nie godziło, gdy podostatkiem było posiłków.

Nawet popolite ruszenie, które na odwodzie postawiono, poczęło się rwać i wołać, aby im tatarskiej krwi skosztować dano. Rzucił się więc na sukurs pierwszy hetman polny i padł na skrzydło ordy mocą taką, że je skruszył. choć nieustąpiło z placu jeszcze, za nim Jeremi Wiśniowiecki puścił się z Kozakami swojemi i zwy-

kłem szczęściem. a że się ustąpieniem pułków odkryły pospolite ruszenia, Krakowska, Sandomirska, Łączycka i Ruska szlachta poparła też za przewodzcami.

— Albośmy to gorsi! Zmusili prawie wojewodów swych i popędzili.

Król patrzył. Nie było ci w tych ziemiach i powiatach ani szyku, ani ładu, jak w wojsku ćwiczonem, ale za to gorącość wielka i szło to. jak wichur i burza, z wołaniem, ze wrzawą, i impetem, drudzy Tatarowie.

Więc było patrzeć na co teraz, bo Tatarowie, co się tak zrazu ochoczo stawili, a wyzywali i wiskiem a śmiechem wołali ku sobie, gdy ich nabitó kupę, że się trupy wałem położyły, zgięli się naprzód. połamali, aż i pierzchać zaczęli.

Zdała widać było, jak końskie ogony. które nad niemi miasto chorągwi powiewały, ku lasom się zawracać poczęły; toż i owa tłuszcza pierzchnęła.

Wsiadł dopiero Koniecpolski na nich i ciąć począł, a napędziwszy w nizinę i błoto, gdzie z grzęzawicy się dobyć było trudno i ucieczką salwować, nasiekl ich moc wielką.

Poczynano się zmierzchać. gdy na równinie przed królem Tatarów i zmieszanych z nimi Kozaków nie stało, tylko pstro sie na polu zdała wylegały trupy, między którymi też i męż-

nych ze strony polskiej dosyć było. ale Tatarów dziesięć razy tyle. Można się było tem cieszyć, bo pierwsze spotkanie dla wojska wiele znaczy, i król też Bogu dziękował, a swoim dowódcą.

— Niczem to jest jeszcze—rzekł chłodno powracający właśnie Jeremi Wiśniowiecki — początek i próba. Teraz dopiero, gdy przyjdzie do walki, stanowcza ona być może. Kozacy tak prawie, jak nie występowali, choć patrzeli i podbudzali. Jutro lub pojutrze stanowieć będzie, ani spać, ani się zbytnio zwycięstwem cieszyć nie pora. Czujności trzeba!

Rada to była zdrowa i dobrze przyjęta, ale jak już umysły wszystkie przeciw Jeremiu i bohaterstwu jego zazdrośnie się stawiły, tak i to jego wystąpienie drndzy strofowali pocichu, że nauk jego nie potrzebowano. Król przecież, choć może toż samo czuł, żadnej po sobie nie okazał urazy,

W obozie, czaty rozstawiwszy, ledwie tej nocy spoczynku kto zażył, a większa część, ani myśląc się rozbierać i kłaść do snu, przesiadywała oną krótką noc pod namiotami przy kubkach. na rozmowie.

Okolo Xiezkiego też przyjaciół się zebrało dosyć; ale ten, co zawsze wesołej myśli bywał

i nawet na placu już dowcipował a żarty stroił, był dziwnie ponury i milczący.

— Staszek — wołał na niego stary Węgorzewski — ja, jak Boga kocham, nie poznaję cię. Co ci to jest?

— Co mi ma być? — odparł Xieźki — nie tylko pomyślałem sobie, że my żołnierze nieopatrzni jesteśmy, a to mi z tego przyszło, że m zrana dziś jeszcze z Jordauem Ligęzą swawolił, a oto nam go niestało. To nic, ale, słyszę, majątnosć zostawił taką, że się o nią za lby drzeć będzie rodzina, a palestra się nią więcej pożywi, niż ona. Każdy z nas za pazuchą testament nosić powinien, a jam go nie sporządził.

Aż się za boki wziął Węgorzewski.

— Coż-bo tobie na myślił — zawołał — Małosmy się to nawojowali razem, a nikomu z nas testament ani przez głowę nie przeszedł. Plun-że..

Xieźki ręką powiódł po czole.

— Głupia rzecz — przed bitwą o testament prawić — rzekł — ale, co ty chcesz? Nie człowiek myślą rządzi, ale ona człowiekiem; albo ja wiem z kąd mi ona przyszła? a uwija się i burczy we mnie, jak ta mucha natrętna w upały.

Ręką zamachnął.

— Zapijmy te sprawę. — I trącili się kubkami z Węgorzewskim.

Przychodzili co chwila inni, bo mało się komu spać chciało. Przyniósł jeden wiadomość, że Wojciechowi Męczyńskiemu Tatarzyn czaszkę obciął tak, że prawie mózg obnażył, ale miano to doktor królewski Baur obiecywał, że go przy życiu utrzyma, a król się oświadczył choćby złotą mu sprawić misiurkę.

Nadzedniem już Kozak zbiegł do obozu od Bohuna z nową powiescią, którą wprost z królewskiego namiotu przyniósł tu Zabajski.

Powiedział on, że po porażce zaraz, gdy się Tatarowie cofnęli, kazał Han po Chmielnickiego posłać, pod straż go wziąć i gdy do namiotu jego przyszedł, napadł na niego bardzo gwałtownie

— A toś mnie zwiódł i oszukał! ale gardłem to przypłacisz. Prawieś mi, że Polacy sił nie mają, że mało co pułków ściągnęli, a pospolite ruszenie nie przyszło. Było dziś popatrzeć na równinę i obóz ich: toć ćna ich ogromna; my im nie podołamy; nabili nam ludzi; najlepszych Murzów potraciłem.

Chmiel miał na to mu odpowiedzieć:

— Wszystko to nic. Czekaj: rozpierzchuie się ten tłum i porozłazi, bo oni długo wytrwać nie umieją. Dopóki w obozie jeść i pić mają podostatkiem póty ich buty; przyjdzie głód i niedostatek: skłócą się z sobą i króla porzucą.

Chyba nie wiesz o tem, że trzy dni temu z kró-

lem się już kilka pułków zwaśniło i precz odeszło od niego: będzie to i z innemi. My ich lepiej znamy.

— O! o! — zawołał Xieźki — to dopiero Chmiel nas zua! Nie darmo drudzy powiadają, że w nim kawał szlachcica polskiego siedzi, i że się dla Kozaków czyni chłopem. choć nim nie jest.

Patrzajmyż, abyśmy mu nie dali odgadnąć się, a tak nie uczynili, jak prorokuje.

— Za się! — odparł Węgorzewski — nie może to być. Krwi powąchałiśmy, a ona upaja i krzepi; spory na potem odłożymy, gdy się na sejm zbierzemy.

— A ja za nic nie ręczę — przerwał jeden ze Stadnickich, który się rozmowie przysłuchiwał. — Już oto dziś przeciwko Jeremiu Wiśniowiekiemu drudzy sarkają, radziły go od wszystkie go odsunąć, aby jeszcze większej sławy nie nabył, a króla z niej nie odarł.

— Boże miłosierny — zawołał Xieźki — jakby nam tu o sławę chodziło, gdy Rzeczpospolitą ratować trzeba, która dla niezgód naszych zginąć może!

Tak samo, jak pod temi namiotami starszyszy, całą też noc u króla deliberowano, to języka nowego dostając, to przyszłe układając plany.

Radziejowski też nie pozostał bezczynnym, ale

do rady wojennej go nie potrzebowano i do mej się też nie przydał, ani miał prawa.

Jego-to sprawą owe trzy pułki poszły do domów, a teraz z zawiścią patrząc, jak się wszyscy około króla kupili i nawet stary Potocki a Wisniowiecki słuchać go byli gotowi, nosił się od jednej gromadki do drugiej. pstrykając ciągle tem, iż król nadto sobie ufał, żadnego doświadczenia w rzemiośle wojennem nie mając, a uporem swoim mogąc narazić Rzeczpospolitą na zgubę.

Zręczny człęk na razie tem się podpierał, że gdyby nie hetman Potocki, który króla, w kaplicy pochwyciwszy. uprosił i zaklął, ażeby się z miejsca nie ruszać, wojsko-by było tego dnia wyciągnęło i właśnie na grzędzowicach i moczarach przyszłoby mu z Kozakami i Tatarami się ścierać.

— To łaska Boża — powtarzał, chodząc po szlachcie—iż go stary wódz wstrzymał, a że mu to nie łatwo przyszło, jam świadkiem, bo go niemal po rękach całować musiał...

Tak prawie noc całą, przechadzając się, u siebie przyjmując, strawił, gniewem i zemstą rozżarty podkanclerzy, na króla wszystkich jętrząc.

Dzień się poczynął robić dosyć pogodny i jasny, a właśnie przypadała uroczystość Ś.Ś. Piotra i Pawła, gdy u króla jeszcze nanowo rada się ze-

brała, na którą i Radziejowski się wcisnął, nie żeby jej co przyniosł, lecz żeby co złąd wykraść a spożytkować.

Jeremi Wisniowiecki, który naturę Tatarów znał, powiadał, że dopóki uciekać nie poczęli a stali, póty się zawsze od nich wielkiego a gwałtownego impetu i napaści spodziewać było można.

— Mnie się zda — rzekł król — iż wczoraj dosyć nieszczęśliwie się z nami spróbawwszy, dziś chyba całych swych sił nie wyprowadzą w pole, a na małych poprzestaną napaściach, aby nas niepokoić.

Jeslić prawda, co Kozak przyniósł o Chmielu, posłuchają go i będą leżeli, a czekali. . aż. .

Nie dokończył—tylko westchnieniem.

W tem Kalinowski dodał:

- N. Panie, Tatarom leżeć cierpliwie w miejscu, czy-to wojsko, czy zamek oblegając, rzecz nieznosna. W miejscu długo trwać nie umieją, ani mogą. Przechodzą, jako burza niszcząc, a odparci tak samo znikają, że ich napędzić trudno. Zda mi się, że i dziś siła ich na nas się zwali.

Król stał przy swoim.

— Zobaczyciel

Wszelako pułkom w pogotowiu być kazano.

— Do stanowczej rozprawy nie przyjdzie może dziś — dodał Kalinowski — bo na Kozaków

jeszcze w pomoc ciągnących czekają, a ci dziś chyba dopiero wieczorem tu staną.

Więc radzili wszyscy, aby lewe szczególniejskrzydło gotowem było odeprzeć napasć niechybną.

Jeszcze o tem u króla rozprawiano, a duchowni jeden po drugim msze święte odprawiali, gdy o Tatarach dano znać: ciągną.

Widok był jakiego może w żadnem na świecie wojsku nikt nie baczył podobnego. Tu już trąby i kotły wołały do szeregów i na plac, a na pagórku roilo się od pobożnych, którzy w pełnych zbrojach, szyszaki tylko zdjawszy, z rękami złożonemi do komunii przystępowali; inni szli do spowiedzi, a i takich się znalazło dosyć, co na ziemi krzyżem rozciągnięci leżeli. Kapłanów dosyć ledwie mogło nastarczyć tym, co się do nich cisnęli. Więc, jak kto stał i mógł, spowiadał się i spowiedź przyjmował. Niektórzy z księży przysiąść mogli; inni, stojąc, pochyleni penitentów odprawiali, których całe szeregi czekały na komunią świętą.

Uderzywszy się w piersi, a sumieniu ulżywszy, odchodził potem każdy z wesołą twarzą, jakby ciężaru z ramion pozbył się, z męstwem podwójnem, z ufnością wielką.

A choć tatarska dziec już na skrzydło hetmana polnego uderzyła i bój się zacięty poczynał.

na wzgórzu msze święte wychodziły jedne po drugich i nabożeństwo a pieśni nie ustawały.

Król już był na koniu.

Pierwszy, u Tatarów zawsze najsilniejszy napad, któremu wiski i wrzawa, z chmurą strzał gęstą, towarzyszyły. hetman polny tak wytrzymał, że się ani ugięły szeregi. Tuż stał pułk Szczawińskiego. Brochockiego, Brzesko-Kujawskiej szlachty, która też mężnie wytrzymała, aż Lanckoroński w sukkurs jej pośpieszył.

Z góry patrzący tam, gdzie walczone. roznać już nic nie mogli, tak się zwarto. Tatarowie-by może odpierani pierzchnęli swym obyczajem, ale Han i Kozacy z tyłu ich cisnęli, odwrót zatamowawszy umyślnie, tak, że bić się musieli radzi nie radzi, a gąszcz na pobojowisku była taka, że jeden drugiego cisnął i szablą nawet robić było trudno.

Nawała na lewe skrzydło była nieprzeparta. bój zajadły, tak, że Lanckorońskiemu wkrótce na pomoc i hetman polny zresztą swych pułków i książę Jeremi i hussarze królewscy z kopiami. i hetmański najlepszy pułk Potockiego i pułki Sobieskich pósć musiały.

Tu się, oczywiście, losy ważyły, bo gdyby złamali Tatarowie szeregi całą swą niezliczoną armią byliby na obóz się rzucili.

Król zdala wytrwać nie mogąc, choć go wstrzy-

mywano, konia wspiął i puścił się na lewe skrzydło.

Cztery godziny trwał krwawy bój, a nietylko, że Tatarzy nie ustępowali, ale cisnęli tak przemownie, iż pułk hetmański Potockiego nawpół uszczuplony zeszedł z placu, a nawet chorągiew stracił. którą Brzostowskiemu chorążemu z rąk wydarto.

Król, który jej z oczów nie stracił, krzyknął z bólu wielkiego, i choć go dodani dla bezpieczeństwa stróże, nadbiegli z Kłodzińskim, pochwycić i wstrzymać usiłowali, nie dał się ująć, aż do placu boju docierając.

W sam też czas się to stało, bo część szeregowych, przełamana, cofać się poczęła, gdy wśród siebie króla postrzegła.

Król wołał podnosząc ręce.

— Naprzód! naprzód! na Boga i na ojczyznę zaklinam was. Co życie warte ze sromem, obroćcie się ku nieprzyjaciołom! Posiłki idą: przełamać trzeba, choćby przyszło ginąć! Jam też życie dać gotów.

I głos ten królewski i wysiłek nowy naostatek szalę na stronę walczących chorągwi naszych przechylił. Poczęli się mieszać Tatarowie i pierwsi naprzód z kraju pierzchnęli. W pośrodku wielkiego ścisku, dopóki ich szable nie przerzedziły, jeszcze się opierali, ale i tu już zamieszanie się

wzięło, ucieczka poczyniała. Dopieroż i walczącym serce urosło.

Stali trochę Kozacy, podpierając bańską ordę, lecz gdy się ta rozsypywać zaczęła i oni tył podali...

Pułki polskie hamować już było potrzeba, bo znany to jest tatarski wojenny podstęp, iż gdy nie zmożą nieprzyjaciela, symulują ucieczkę, a wywiódłszy go w pole rozpierzchłego, dopiero się nazad zwracają impetem nowym... a że pagórek ucieczkę ordy zasłaniał, za którym tabory kozackie stały, puszczać się więc daleko nie mogły, ani reszty hetmańskiego pułku, ani husarze królewscy, którzy m. in. się bili, ani Lanckoroński i Szczawiński. Trąbiono, aby w miejscu pozostali, chociaż straconą chorągwią Brzostowskiego, o której nie wiadano, że odzyskaną została, gotowi byli iść choć w paszczę tej dziczy.

Z tą zaś chorągwią, jak była przygoda, tego później nikt ani opowiedzieć, ani zrozumieć nie mógł.

Brzostowski, który ją niósł, silnym był, a odwagi znanej, ale mu się w tym tłumie, gdzie się obrócić było trudno, z rąk wysliznęło drzewce. Pochylił się, aby wpaść jej nie dać, gdy go w kark Tatarzyn ciął, i porzucił z drzewcem razem nie do rąk jego, ale na ziemię się dostał,

gdzie go nawet końskimi kopytami tak strатовano, że się stał do łachmana podobnym.

Brzostowski, choć cały krwią obłany, z miejsca się nie dał sciągnąć, aby nie stracić proporca, bo potem na pobojowisku odszukać-by go było niepodobna. Padł więc dobrowolnie, a w tem i krwi utraciwszy wiele, przytomność stracił, że go zaś nie stratowano i nie zgnieciono, osobliwszy wtem cnd był.

Już tedy i jego i chorągwi stratę oplakiwano okrutnie, gdy na pobojowisko z Tatarów oswobodzone pobiegły cinry, jak to ich obyczaj trupa odzierać.

Tu sługa Brzostowskiego pana swojego, nie po twarzy, ani ze statury, ale po ostrogach osobliwych poznał, i litając mu się, że jeszcze w nim ducha trochę zostało, wziął go na nosze z innymi do namiotu.

A ściągając go z ziemi. o chorągwi nie myśleli, bo ją za straconą miano. Przyniesiono tak chorążego do namiotu i na łożu rozciągnięto, a król Baura mu przysłał, azali życia uratować nie potrafi. Gdy go ze zbroi, porozcinawszy rzeźmi, z kaftana i odzieży oswobodzono, okazało się, że w rękach zgrabiałyeh coś cisnął, a była to chorągiew owa stracona, którą on nieprzytomny na ziemi, snadź poczuwszy, jakimś cudem przygarnął pod siebie i już jej nie puścił.

Całą potem krwią jego zbroczoną, błotem zmażaną, poszarpaną, postawiono przed namiotem, której reszta pułku, bo go dużo wyginęło, niezmiernie się cieszyła.

I tej też nocy, pomimo znużenia wielkiego, nie było w obozie spoczynku.

Król, wszyscy hetmanowie i co było starszego żołnierza, na radę powołani, utrzymywali, że na-zaizutrz do walnej bitwy przyjść musiało.

Zgodni byli wszyscy, o to tylko Pana Boga prosić, aby nieprzyjaciół porażony. serca nie stracił i nie uszedł. Wysłane szpiegi przyniosły już późno w noc, że Kozacy się okopywali za wzgórzem, a orda rozłożona taborem spoczywała.

Król tego dnia kilka razy tak się z rąk straży swej wyrywał, niecierpliwie i w sam boj z niebezpieczeństwem życia rzucał, że tu zgodnie też wszyscy postanowili presić go, aby, jako naczelnny wódz, siebie oszczędzał.

Ale widziano go ciągle tak rozognionym, iż sobie o tem mówić nie dawał, zwłaszcza gdy po przełamaniu Lanckorońskiego udało mu się już pierzchających zawrócić.

Chciano, aby Jeremi Wiśniowiecki z tem do króla wystąpił w imieniu innych. ale stary wódz odmówił, bo się obawiał, aby fałszywie kroku tego zawiści nie przypisywano.

Ani Potocki. ani Kalinowski. ani chorąży Koniecpolski, który u Jana Kazimierza zachowania miał dosyć, nie podejmowali się go hamować.

Postanowiono więc duchownego uprosić, kanclerza Leszczyńskiego, który musiał po radzie z prośbą do króla przyjść w imieniu wszystkich.

— N. Panie—rzekł—wszyscy my jako wodza i głowy całość twą najwyżej szacując. błagamy cię, abyś w boju nie stawał, jak dziś... Wodzom się to nie godzi. bo ich rzeczą, nie ręką, ale głową wojować. a głowa ich za tysiące rąk starczy. Duchowny jestem, kapłańską radę daję, ale mnie też wojskowi poprą. A i przykładem poprzedników mogę poprzeć prośbę naszą. Wiadomem to, iż pod Grunwaldem Jagiełło. przodek W. Król. Mości, na wzgórzu stał, a choć się do boju napierał, nie puszczono go... ani błogosławionej pamięci ojciec W. K. Mości w bitwie z rokoszany sam udziału nie miał.

Król był od dwóch dni w takiej ciągle gorącości ducha, że się niemal za tę radę na Leszczyńskiego obraził i bardzo szorstkim głosem mu odpowiedział:

— Mój ojczy, kapłanem jesteś. sam rzekłeś: nie wdawaj-że się w rycerską sprawę. Wiem-ci ja co wodzowi przystało. bo są momenta, gdy musi hetmanem być. ale przychodzą i takie, kiedy

żołnierzem być serce każe. I ja też żyć z żyjącem rycerstwem mojem, umierać z umierającymi pragnę. Niech żołnierz widzi przed sobą wodza i króla: to najlepszy zakład zwycięstwa. On jeden może podźwignąć ducha i wlać mężstwo. Kuła znajdzie wszędzie winnego, z dopustu Bożego, i tak mnie zdala stojącego dosięgnąć może, jak w tłumie oszczędzić.

W tem ja nieczyjej radzie posłusznym być nie mogę.

Zatem się nikt już odzywać nie śmiał. A to pewna, iż ci co cały bieg życia Jana Kazimierza znali i najbliżej go stali—drugiej takiej chwili, jak owa była, nie pamiętali.

Wszystko mężstwo swe i rycerskiego ducha w tej godzinie wyczerpał. Hetmanom czuwającym nad bezpieczeństwem osoby jego nie pozostawało nic tylko mu dać do boku ludzi i straż taką, na którejby nienstraszoną odwagę i przytomność spuszczać się mogli, sami czuwać nad nim nie mając czasu. Więc do osoby samej wyznaczono Kłodzińskiego rotmistrza, Głogowskiego, Podstolego Nowogrodzkiego, i Samuela Nadolskiego. Starostę Krzewskiego, bo więcej ich przy sobie mieć nie chciał. Chorągwie zaś, co przy królu stać miały, pościągano z samego wyboru ludzi z pułków różnych, a cisnęli się do

tych Eljerów radzi wszyscy; ale surowy zarządzono wybór, aby mąż w męża byli godni tego zaszczytu. Komendę też nad tą chorągwią powierzono zaufanym. Wszyscy już tej nocy na dzień następujący napewno rozprawy się spodziewali.

Onemu jowialście Xięzkemu wieczora tego humor i rażność a wesołość wróciły, ale się chlubił tem, że testament napisał, opieczętował i świadków sobie do niego dobrał.

Śmiano się z niego. Tęsknił też za siostrzanem, mając mu za złe, że do Warszawy pojechał i przepadł tam jak kamień w wodzie.

Tej nocy ktoby obóz obchodził a przypatrzył mu się — nauczyłby się z niego, jako żołnierz swoją dolę przeczuwa i naprzód ją widzi. Nie było bowiem człowieka, coby bitwy nie przewidywał i nie gotował się do niej, choć każdy umysłem innym.

Modlili się jedni i pamięcią do domów biegli, do żon i dzieci; inni śpiewali, pili i stare opowiadali dzieje — wszyscy jednak zarówno pragnęli tej godziny stanowczej, a szczególniejsz pospolite ruszenie, któremu, choć na męztwie nie zbywało, ale wytrwałości brakło. Tu też najwięcej siano niechęci przeciwko królowi i hetmanom i najlepiej się podkanclerzemu siejba wiodła.

Miał już w pomoc tego, którym się najlepiej posługiwać lubił, nieocenionego Marcina Dębickiego, Podczaszego Sandomierskiego, który tem tylko żył, aby wszystkim na przekorę i na mękę gardłował, a im kto wyżej stał, tem podczaszemu milej było do niego sięgać kamieniem.

Człowieka tego nie rozbroić nie mogło: ani poświęcenie, ani ofiarność, ani zasługi; obrońca swobód, widział wszędzie czyhających na nie i już bytność jego czuć się dawała w obozie. Pospolite ruszenie, jeszcze prawie nie ruszywszy się, wołało, że chce iść zpowrotem do domów, że dłużej nad dwa miesiące król go w polu trzymać nie miał prawa. Mogła sobie ginąć Rzeczpospolita, ale szlachcica z jego zapiecka, od ciepłego piwa zgrzankami, wyciągać się niegodziło. Byli Niemcy zaciężni, kochał ich król, otaczał się nimi: niechajby oni bronili jego i kraju.

Takie-to głosy niepocziwe w przededniu boju śieli Radziejowski i Dębicki po obozie, na województwach, i one im do przekonania trafiały. Raz już o mało nie wybuchnęły przy przeprawie u Styru. Ledwie je zażegnano, teraz warczały coraz głośniej i przewidzieć było można, że wkrótce jako płomień stłumione buchną i wszystkie ziemie ogarną.

Mówiono już o tem Wojewodzie Ruskim Jeremiemu; stał a słuchał zdrętwiały.

— Bogdajby tego sromu i hańby nie widziały
oczy mój! — rzekł — jeżeli się to stać ma, aby
opuscili króla i nas; lepiej zginąć, aby tego nie
doczekać.

VI.

Wstał ten dzień walki stanowczej, zrazu jasny i pogodny; wiatr z tyłu niósł zpod kopyt końskich pył wzbity ku stronie, od której miał się nieprzyjaciół ukazać.

Na szerokiej równinie, przyparty do małej miejsciny Leszczyńskich, Beresteczka. obóz się rozkładał pomiędzy rzeką z jednej, a moczarami i zaroślami z drugiej strony. Z miasteczkiem, przez rzeczulkę oblewającą je, łączyły dwa umyślnie wzniesione mosty.

Na pobojowisku jeszcze niespełna oczyszczonem z trupów po walkach dwudniowych... ziemia, kopytami końskimi poryta, była jakby świeżo poraną rolą.

Trzecią to noc wojsko, nie spoczywało prawie. Z prostego żołnierza usnął może który na jaką godzinę, snem znużony, ale z dowódców nikt oką nie znużał.

Mówiono, że król trzecią noc żelaznej koszuli trójnitowanej nie zrzucał. Konie mu zmieniano ciągle, bo wydolać nie mogły—on wytrzymywał.

Była to chwila w żywocie jego, która mogła o przyszłości rozstrzygnąć, gdyby fatalność—nie... wola Boża—nie postawiła słupów i nie rzekła: —Nie pójdziesz dalej!

O swicie król do spowiedzi i komunii przystępował — i tego dnia za jego przykładem do Stołu Pańskiego cisnęły się tłumy.

Tymczasem pułki się szykowały do boju, wedle postanowionego w nocy na radzie plann. Król i wódz zajmować miał środek — między dwoma potężnymi skrzydlami. Około niego i za nim skupiały się doborowe chorągwie, pod dowództwem Kazimierza Tyszkiewicza, Cześnika Lit., Jak. Michałowskiego, Janusza Wessla. Chorągwie nieśli Michałowski i Jędrzejowski. Tu stały działa, które prowadził Przyjemski, i pułki niemieckie Huwalda, Borgemana, Fromholda, Wolfa, Weyera, Radziwiłła, Dönhoffa i innych.

Za niemi stały szczupłe posiłki Księcia Pruskiego: dragonia, kilkuset ludzi, Grudzińskich i Leszczyńskich regimenta, a naostatek szlachta Województwa Sieradzkiego, Łęczycka i Brzesko-kujawska, oraz ludzie Księcia Karola, Biskupa Wrocławskiego.

Prawem skrzydłem dowodził stary hetman Po-
Boży gniew. Tom III.

tockii. pod którym byli Stefan Czarniecki i Adam Kazanowski; tu stały pułki Lubomirskich, Lanc-korońskiego, Sapieżyńskie, Sobieskich—i Chorążego Koniecpolskiego.

Na lewem skrzydle dowodził Kalinowski, a z nim stali Książę Dominik Zasławski. Ostrogscy, Wiśniowiecki, Zamojski..

Wreszcie w odwodzie były ostrogskie ordynackie chorągwie i szlachta ruska i lubelska.

Wszędzie pospolitego ruszenia oszczędzając. stawiano je w dalszych rzędach, na co niektórzy szemrali, a drudzy znowu mówili: „Kwarciani płatni są: niech na pierwszy ogień idą “

Ze szlachty wszystkiej celowała duchem i postawą sandomierska, choć innym województwom nie było można zarzucić nic gdyby w nich rebelia się nie wykłuwiała.

Hussarya zażyła fortelu. wychodząc z obozu. bo spróbawwszy kopii, że na Tatarów z niemi iść nie przystało. gdyż w boju z motłochem broń taka niedogodna, a za ciężka, utkwili rzędami wszystkie w ziemię tak. że zdala, gdy wiatr porcami gęstemi powiewać zaczął, można było je wziąć za stojące wojska szeregi.

A musiało wojsko mieć wielką i groźną postawę. gdyż Han na wzgórze wyjechawszy, jak później jeńcy świadczyli, a rzuciwszy okiem na równinę całą szyszakami i zbrojami połyskującą, za

głowę się pochwycił i z największym gniwem do Chmiela się rzucił, zadając mu oszukaństwo a zgubę swą.

Przypomniawszy mu słowa jego, któremi go wywabił z Ordy, że Kozacy Polaków, jako pszczoły w ulu podkurzyć mieli, a Tatarom ino było miód podbierać.

A i Kozactwo też, które sobie pospolite ruszenie od Zborowa za nic miało, postrzegło, że na ten raz nie łatwo było siłą zebraną pożyć. Na chwilę Chmiel i Bohun strwożyli się, szczególniejszemu, że Tatarzy nie chcieli ruszać.

Tymczasem ze strony polskiej gotowano się do rozegranej. Otwinowski który królowi jako tłumacz towarzyszył, ukazał mu znak Hana, trzy zielone ogony końskie, które oni zowią buńczukami.

Pobiegł z rozkazem pocztowy do Przyjemskiego, aby z działa na to miejsce, gdzie stały, ognia dawał a poszczęściło się tak za pierwszym ogniem, że kula padła niedaleko Hana samego, buńczukowego hańskiego zabiła, buńczuk zielony obaliła, i Han przestraszony zbiegł wtył, a stanął zdala.

Ażeby dodać wojsku serca. zarazem we wszystkie trąby, kotły, surmy uderzono, z dział ogień poszedł po całej linii i pieśń bojowa się rozległa. Z przeciwnej strony, oprócz wisku, nic słychać

nie było, a i ten nie mógł zagłuszyć wrzawy i huku ze strony króla się rozlegającego.

Mało się co zawahawszy, Gałga i Nuredyn. pułkownicy tatarscy, tym razem nie na lewe, ale na prawe się skrzydło puscili, pewnie z porady Kozaków, którzy je słabszem sądzili, dlatego, iż Polacy obyczaj tatarski znali i tu się ich nie spodziewali.

A, że Ordzie jakoś serca brakło, Kozacy się z nią mieszała, taborem idąc i wozy za sobą mając, łańcuchami powiązane.

Drudzy zaś naprzeciwko lewego skrzydła do boju się gotowali, a tu Jeremi Wiśniowiecki z Dönhoffem, Starostą Sokalskim, stojący, do króla posłali, prosząc o ordynans, aby się im pierwszemu z Kozactwem potykać było wolno.

Na Jeremiego też wszystkich oczy obrócone były, bo w całym tem wojsku potężnem nie było drugiego, któryby się, jak on, sławy dorobił zwycięstw nad rebellizantami.

A było w jego postawie, twarzy, wejrzeniu takiego coś, co przyciągało wzrok, budząc poszanowanie i trwogę.

Twarzy nie miał pięknej, płeć ciemną, gładką i niewczasami zarumienioną, wejrzenie przenikające, postawę też nie odznaczał się olbrzymią; ale pańskiego i hetmańskiego coś miał, że i milcząc rozkazywać się zdawał.

I przeto go ludzie nie lubili, a zazdrościli mu, gdyż nikt oprócz się nie miał sily. Nigdy też namiętnosci nie okazywał, chyba w boju. gdy iako żołnierz z szablą padał na nieprzyjaciela; w powszedniem życiu spokojny, acz żelaznej woli. Ten zwyczaj miał, że do bitwy zbroi nie kładł, le... jechał w pospolitej sukni i łosiowym kaftanie. co także raziło tych, co się żelazem obciągali od stóp do głów.

Zaledwie ordynans przywieziono Jeremiemu, gdy szablę dobywszy. a na pułki swe skinąwszy. puścił się prowadzić je na Kozaków... Dönhoff za nim... aż się ziemia zatrzęsła od kopyt końskich.

Król na swoim tarantowatym koniu, osłoniiony nieco płaszczem, na wzgórzu stał, do przeciągających pułków błagalnym niemal głosem przemawiając:

— W imię Boże, za ogniska wasze. za wiarę świętą, za kościoły — idźcie a walczcie, sławę mężnych ojców waszych odżywiając, którzy tę Rzeczpospolitą wielką i głośną a straszną uczynili! Dajmy życie dla czci naszej!

A gdy on tak wołał głosem znużonym, powtarzając ciągle: — Gińmy dla wiary i czci naszej, — ksiądz biskup Leszczyński, obok stojący z krzyżem świętym i relikwiami, zegnął wojsko i błogosławił ciągle:

— *Benedicat vos Deus.*

Chorągwie się pochylały, trąby grały. huczały działa, a zza mgły, która po jasnym poranku spadła była w dolinę, słońce się znowu wydobywało jasne.

Na placu boju już się nieco mieszało, bo Nura dyn na Brzesko-Kujawskie i Oboźnego Koronne go pułki padłszy z góry, impetem złamał je i wnet nalewo się przerzucił, zastępując drogę pułkom pieszym, które przeciwko Kozakom ciągnęły.

Co się dalej działo, nawet ci, co walczyli, z tego sobie potem sprawy zdać nie mogli. Złamały Wiśniowieckiego pułki Kozactwo; nadbiegli Tatarowie, ale i tych coraz świeże nadciągające pułki gniotły i odpychały.

Tymczasem król prawie odkryty stał, bo o sobie zapomniał, kula z pagórka królewski też buńczuk zgruchotała tuż przy nim, druga i trzecia obok padły, jednak pod koniem Jana Kazimierza lecąc, wprawdzie nogi nie obraziła, ale kontuzyją i ból w niej pozostawiła po sobie.

Dopiero go gwałtem z tego miejsca wzięto i odprowadzono. W tej chwili, już późnym wieczorem, stanowczo poszła Orda w szaloną rozsypkę, rzucając, co miała, za sobą, a żadna już siła utrzymać jej nie zdołała. Kozacy tylko, których siła nasieczono na grzęzawiskach, zawczasu się oko-

pywać zacząwszy, zamknęli się w usypanych szańcach.

Kozacy i Orda pierzchnęli już dawno, gdy na pobojuwisku jeszcze. lękając się zdrady i nowej napaści, czuwali wszyscy, nikt z pola nie schodził. Króla tylko, któremu ból w nodze poruszać się nie dawał o swej sile, zszadzano z siodła, ale kląkł zaraz i razem z otaczającymi senatorami *Te Deum* zaśpiewano, które po całym szerokiem polu rozległo się jednym wielkim chórem. Noc nadchodziła, ludzie trzydniowem czuwaniem i trudem znużeni padali jak muchy, gdzie kto stał, i zasypiali snem kamiennym, ani poczuł niejednen, że się na trupie położył. Dopiero się rozpatrywać i liczyć poczęto, kogo brakło i kto już nie miał powrócić, dopiero opowiadać, co się działo czasu tej krwawej rozprawy, z której każdy to tylko wyniósł, czego sam dokazał lub na co patrzył.

Pułki, co się za uciekającymi puściły, nie zapędzając się zbyt daleko, powoli wracały. wlokąc za sobą to jeńców rannych, to wozy tatarskie, na których miasto innego łupu, kozuchy tylko, opończe, łachmany i przygotowane na wiązanie polskiego jassyru lęka znajdowano.

Kozaków oddział pod Dziedziałą, mężnie się wyrebuując ponad rzeczułką Pleśniową do błot i grzęzawic dopadł, i już się tam na gwałt

okopywać zaczynał, jak donoszono. Dalej ścigać nie miał siły. ani żołnierz, ani szlachta, z której Krakowianie i Sandomierzanie szczególnie waleką byli znużeni.

Króla do namiotu i spoczynku napróżno chciało namówić: nie dał się, tylko Baurowi doktorowi swemu nogę pozwolił opatrzyć i posmarować, uparłszy się w polu razem z innymi noc spędzić.

Namiotek więc, od wiatru i rosy, rozbito, bo deszcz, który pod koniec bitwy spadł rześisty, a pobożowisko niemal naraz w kałużę krwawą był zamienił, ustał przecie.

Niebardzo i posilić się czem było, bo o tem nikt nie myślał, tak, że królowi miszkę jakiejś włoskiej potrawy przyniesiono, wystygłą. i tą musiał głód zaspokoić. Inni kawałkiem chleba suchego i gorzałką siły wyczerpane krzepili. Nie ustawała też bieganina na pobożowisku. za tymi, których nie stawało, aby, jeżeli który żyw leżał, jeszcze ratować.

Ciemno już całkiem się zrobiło, bo i na niebie chmurny wiatr pędził, gdy przy blasku pochodni, które czeladź pozapalała, król przed sobą ujrzał w podróźnej opończy, obmokłego i zabłoconego Strzębosza.

Zeszło się tak, iż od rana pośpieszając, a huku dział nasłuchując, teraz dopiero mógł nadą-

żyć, bo w ciągu dnia wymijać musiał błakające się oddziały włóczęgów kozackich i tatarskich i ledwie z życiem, a pismami teraz pod Beresteczko się mógł dostać.

Król, poznawszy go, rękę wyciągnął i ucieszył się bardzo.

— Pisma dawaj! Zdrowa królowa jmość? dawno z Warszawy? co przywozisz?

Pytał Jan Kazimierz i odpowiedzi nie czekając, latarnią podać kazał, aby co rychlej listy czytać, przerywając coraz pytaniami nowemi, na które Dyźma, jak mógł i umiał, odpowiadał.

— Widzisz—odezwał się do niego król w końcu — Pan Bóg miłosierny dał nam zwycięstwo wielkie—Nieprzyjaciół w rozsypce, Kozacy popłoszeni i rozbici, choć im wierzyć nie trzeba: padali już na twarze i przysięgali.

Rozpytawszy o królową, o wszystko, co na za nku go mogło obchodzić, aż do służby swych i ulubionych stworzeń, król się obejrzał trwożliwie, chciał snadź jeszcze o kogoś badać, ale się dosyć ludzi kręciło i słuchało: zamilkł więc i Strzębosza odprawiał.

Ten nie plniejszego nad to nie miał, jak Xieźkiego szukać, ale się pułki ruszyły tego dnia z miejsc, na których obozowały, a po bitwie padły, gdzie który stał: regimentu więc dopytać się łatwo nie było, a i nie miał się Strzębosz z kim rozmówić,

bo wojsko całe niemal, krom ciężko rannych, snem już zjęte, leżało jak kłody. Gdy się tak między szeregami przedzierał Strzębosz, postrzegł chłopaka z latarnią, a za nim łatwego do poznania Węgorzewskiego, do którego pośpieszył.

— Na miłego Boga, wy mnie pewnie objaśnicie, gdzie ja wuja Staszka znaleźć będę mógł?! Tylkom co już po bitwie powrócił.

Węgorzewski smutne podniósł wejrzenie.

— Ja właśnie za nim się oto włóczę—rzekł—i ani go znaleźć, ani nawet dopytać nie mogę. Wśród bitwy wiem, że go podchorąży Ślązki ra czas wyręczał, bo się Xieźkiem bić zachciało. Wpadł w gąszcz, siekąc zgłodniały, ale potem go już nie widział nikt.

Mniej więcej miejsce mi oznaczono, gdzie się on zawieruszył: włokę się więc, chodź ze mną; a no po drodze na każdego naszego trupa patrzyć potrzeba. Dużo naszych też leży. Boże mój, złotych ludzi, dla tej hołoty bezemej zaskryfikowanych!

Westchnął głęboko.

Zapytał Dyżma: jak był Xieżk' do bitwy odziany i uzbrojony? — ale stary sobie dobrze tego przypomnieć nie umiał. Wiedział tylko, że na misiurce piórka czaple sterczały.

Straszna to była nocna wędrówka na pobojo-

wisku błotnistem od deszczu z krwią pomieszanego, w którego kałużkach światło latarni się odbijało czerwono i czarniawo.

Trupy nawpół poodzierane i nagie, jedne twarzami do ziemi, z rękami rozpostartymi, drugie pokrzywione i pogięte pojedynczo i kupkami nagromadzone leżały. Gdziekolwiek gorętsza walka się stoczyła, tam i poucinanych rąk i porąbanych członków nie brakło w błocie, a stosy ciał zwarły się tak potratowane przez konie, że jak jedna bryła mięsa sterczały. Konie i ludzie pospółu wszystko zmieszane.. legło. Gdziekolwiek jeszcze zwierzę dyszało lub człek konający jęczał; drgały członki, płynęła żywa krew i zastygała, a krzepnąc okrywała się żółtym kożuchem.

Strzębosz, który nigdy w życiu nie był na pobojuwisku, prawie omdlewał ze wzruszenia, to się zapalał zemstą, gdy Węgorzewski kroczył tak spokojny, jakby po piaseczkiem wysypanej drożynie ogrodu. Szedł z oczyma wlepionymi w ziemię, niekiedy się pochylając, latarkę zniżając, to odprostowując i krocząc znów dalej, pomału.

Szli tak długo dosyć, aż stary, zatrzymawszy się, spójrzył dookoła i mruknął:

— Już dalej chyba się nie zapędził, bo gąszcz był wielki. Tu szukać go potrzeba.

Trupa leżało gęsto na stoku pagórka, ale najczęściej Tatarów; wszędzie oczy otwarte, zaszkłone i usta wpoł tylko ściśnięte zpod których białe zęby świeciły... Strach było patrzeć. Każda z tych twarzy zachowała wyraz, z jakim ją konanie pochwyliło, niektóre zdawały się śmiać i uragać, inne kąsać. Szli tak długo, aż Strzębosz krzyknął i padł na ziemię. Tuż przed nim leżał Xięzki, porąbany, stężały już i zimny, z obłamkiem szabli w prawej ręce, a obuszka rękojeścią w lewej.

Nie można się było omylić.

Węgorzewski stanął, przeżegnał się i Anioł Pański odmawiać zaczął.

Dyzma, pochylony nad ciałem, jak dziecko się rozplakał. Przez długi czas płacz jego i modlitwy starego słyszać tylko było, wtem Węgorzewski na pachołka zawołał:

— Nosze mi zróbcie, a no żywo, abyśmy tu nie nocowali, siekierki za pałem macie i chrustu nie brak tuż. Nie damy mu przecie w korbanie wspólnym z pospolitym trupem w niepoświęconej ziemi leżeć: na lepszy grób i pamięć za służył.

Nie ruszyli już ztąd, aż nosze dla ciała gotowe było, co wiele czasu nie wymagało.

Gdy nieboszczyka z ziemi podjęto, lepiej się jeszcze okazało, przeciwko wielu on tu walczyć

i jakiej nawale uledez musiał, bo i strzałami był poprzesywany nawskroś i porąbany haniebnie.

A nie jego jednego stratę oplakiwać przychodziło, bo na pobojowisku spotykali ciągle tych, co swoich albo się doszukać nie mogli albo ciała ich tylko doszli.

Padło tego dnia i z pułkowników wielu: Adam Kazanowski Kasztelan Halicki, Ossoliński Starosta Lubelski, Zygmunt Łanckoroński, Iłgęza, Rzęczycki od Kwarcianych. Sam Lubomirski stracił dwudziestu towarzysztwa, licząc w to Xieźkiego. Zabrakło Adama Stadnickiego, Stana, Matyasza Bala, a z Krakowian Brzetysława Pieniążka. Z jednej chorągwi bussarskiej Marcina Dębińskiego, o dwudziestu czterech towarzyszach padło. Opowiadano o Karolu ze Słupowa Szembeku, który, zaręczwszy się, na tę wojnę poszedł i zsamopału przez obie oczy przestrzelony, choć później życie uratował, na zawsze ociemniałym pozostał. Rannych było nie policzyć, a kto lżejsze poniósł na ciele obrażenie, ten o niem i nie wspominał.

Pozostał dzień ten w długiej potem pamięci u ludzi, bo i wielkimi ofiarami był okupiony i niepożciwi dali im pójść prawie na marne.

Wołało rycerstwo doświadczone, a gonić, a bić,

a sieć i ze zwycięstwa korzystać, ale zpoza nich odzywały się głosy:

— Dosyć nauki tej! Myśmy znużeni, w polu czasu wiele spędziliśmy, do domów pilno. Mają Tatarowie za swoje, a i Kozakom nauka nie pójdzie w las.

Król tylko i Wiśniowiecki Jeremi wołali ciągle: — Iść na nich, a co prędzej i dokonać, co się poczęło; albo się na nie nie zda rozlana krew nasza.

Stało się przecie na tem w nocy jeszcze, aby jak świt, za Ordą wysłać Tatarów litewskich z Czelebim Murzą, któryby Hana umykającego ku Wiśniowcowi ścigał i mrywał. Ten później po drodze pochwytanych znacznych jeńców, Murzatego i Solimana Agę przyprowadził królowi.

Niezapomniana to była noc owa, noc na polu bojowisku żałobna i radosna razem, a dla wodzów troskami brzemenna, bo tylko niedoświadczony żołnierz tem zwycięstwem się mógł zaspokoić.

Tatarzyn odpędzony wprawdzie umykał, ale Kozactwo, nie tylko się uparcie okopywało, lecz pomnożenia go spodziewać się było można.

Ci, co ich znali, jak stary Jeremi, wiedzieli, co trzymać, choćby znów z poddaniem się i pokorą przyszli, która ich nie kosztowała, aby

na czasie zyskali, nigdy traktatów i przysiąg nie dotrzymując.

Ranny brzask, gdy oczom Strzembosza widowisko straszne odsłonił, zadrżał chłopak i zasromił się, iż w tej godzinie właśnie podzielać nie mógł niebezpieczeństwa ze swymi i los go na to skazał, aby przed walką jechał, a dopiero po niej wrócił. Żał mu jeszcze większy serce ścisnął po wuju, gdy rozdzielając go na piersiach plik papierów znaleźli, a między nimi ów opieczętowany testament, którym, co miał, siostrzeńcowi Dyźnie przekazywał.

Zajął się zaraz pogrzebem Strzembosz, na cmentarzu w Beresteczku zwłoki składając tymczasowo, dopóki by ich nie mógł do Xieżej Woli, gdzie rodzice leżeli, przeprowadzić. Siła też dnia tego grobów tak kopano i murowano dla poległych, ale żywi ich oplakiwać czasu nie mieli.

Czuł to Jan Kazimierz z tego ducha, jaki od wojska, a szczególniej pospolitego ruszenia, zawiewał, że byle zapalowi wojennemu dał nieco ostygnąć, już go potem rozdmuchać nanowo będzie trudno. Żywo więc trzeba było natychmiast dalej prowadzić walkę i a szczególniej przeciwko tej gromadzie Kozactwa, które się w błotach przez noc na gwałt okopało, działka ustawilo i do rozpaczliwej gotowało obrony. Wy-

brali na to miejsce właśnie najnieprzystępniejsze, pomiędzy Pleśniawą i rzeczną a Styrem tak, że one ich z dwu stron broniły, a z przeciwnej strony mosty na prądzie na Pleśni pobudowali dla swobodnego zapasów dostarczania.

Dziedziała zaś od wczorajszego wieczora tak swoich ludzi zażywał dobrze, przez całą noc im odetchnąć nie dając, że o cwin wały wysokie bardzo gotowe były.

Dzień ten cały zszedł na naradach, a więcej na wysyłkach przeciwko okopanym, których król koniecznie zdobywać kazał. Za czem Przyjemski choć po rozgrzężonem błocie i niewygodnych spadziściach działa prowadzić musiał.

Kozackiemu też fortelowi z początku się dziwowano, jak dzień bowiem w okopach ogromna wrzawa wesola słyszeć się dała, rzekłby kto gody chłopskie, skrzypki, liry, surmy, szalawaje, śpiewy, bicia w bębenki, pokrzykiwania, jakby im tam najszczęśliwszego się coś zdarzyło, z czego się tak niepomiernie cieszyli.

Ci, co chytróści kozaczej nie znali, nieledwie się strwożyli, sądząc, że albo im znaczne posiłki nadeszły lub się czegoś pomyslnego spodziewają. Dopiero stary ów wódz Jeremi, co na kozackich wojnach zęby zjadł, wytłómaczył to, że naumyślnie się radowali, aby nie okazać, jak im tam ciasno było i trwożno.

Znał bowiem to do nich, że albo pokorą się wkupują w łaski, lub zuchwalstwem ustraszyć próbują. Tymczasem zaś w okopach tych, jak najmocniej się osadzić starali, ale i to fortelem się okazało, aby zyskać na czasie.

Przy wielkiem szczęściu, jakiego król dnia ubiegłego doznał, nie mała też troska szła razem.

Rada prawie przy królu nie nstawała; ale już nawet w tej godzinie, gdy wszyscy jedno trzymać byli powinni, aby nieprzyjaciela przemódz, zdań różność objawiać się poczęła, nie zpowodu przekonań wszakże tylko, że jeden drugiemu zazdrościł i gotów był wrogowi folgować, byle się współzawodnikowi nie dać wyprzedzić.

Z wodzów niemal wszyscy Jeremiemu jego szczęścia zazdrościli, za nic go mając w nienawiści.

Król, którego też przeciwko niemu usiłowano zdawna zniechęcić, wystawując, jako ambitnego, który zagarnąć chciał i sławę całą i władzę, przecie jaśniej się w tem rozpatrywać począł i zbliżyć ku niemu. ale na to drudzy baczność mieli.

Tego dnia, choć do walki żadnej nie przyszło, niepokoiono się wzajemnie. W obozie uikt się rozbroić, ani konia rozsiodłać nie śmiał, popuszczano popręgi, a od zbroi zwalniano rze-myki, ale szabli odpasać nie było wolno.

Dwa czy trzy razy Kozacy symulowali, jakby na obóz z boku uderzyć chcieli; znajdowali jednak zawsze gotową gromadkę, która wnet wypadła ku nim i ścigała aż do okopów, do których z działek ognia dawano.

Od Tatarów tylko wolnym był król, bo ci raz się rozproszywszy, już powracać nie myśleli, choć ich Chmielnicki wabił.

Nazajtrz pochwycony przez nich na czatach jeden z czeladzi przyszedł do króla z listem od Hana. Sądzone, że po tatarsku pisany był, więc po Otwinowskiego posłano, ale się okazało, że złą polszczyzną skomponowany. pieczęcią nie opatrzony. niedowierzanie tylko mógł obudzać.

Harde to pismo sam pono niepocziwy Chmiel na zgryzotę i utrapienie króla podyktował. Odzywał się w niem niby Han, że Polacy zwycięstwo swe zdradzie (?) byli winni, wyzywając ich do nowej rozprawy pod Konstantynów, dla odwetu.

Otwinowski, raz i drugi odczytawszy tę kartę, rzucił ją, jako lichą kozacką zaczepkę, która żadnego nie miała znaczenia, o Hanie zaś wiadziano, że o Konstantynowie nie myślał wcale, a strat swych na Kozakach się raczej chciał upominać.

Gdy tak jedni się ncierali i wybiegali ku okopom kozackim, od których kiedy niekiedy huk

dział dochodził, drudzy spoczywali, a Dębicki ze swemi Sandomierzanami i inną szlachtą powoli zniechęcał przeciw królowi.

Nie pomogło zwycięztwo, ani ten trud, na który patrzyli wszyscy, ani niebezpieczeństwo, na jakie się Jan Kazimierz narażał. Zadawano mu, nie mogąc czego innego, ową miłość i preferencyą Niemców, o postępowanie szlachty, upominać się chciało.

Wprawdzie pierwszych dni po wielkiej rozprawie nie wiodło się warchołom, bo było wiele innych do rozmowy przedmiotów, które żywiej obchodziły, ale ci, co, jak Dębicki, mieli na celu rokosz, nie zaniebawiali wszędzie wcisnąć jadu potrosze.

Radziejowski tylko, zdawszy już sprawę na przyjaciela, sam począł tymczasowo inną przy królu odegrywać rolę. Zdziwił się niepomału Strzębosz, gdy po pogrzebie Xieźkiego do króla się stawiając, znalazł przy nim z innymi i paua podkanclerzego, który bardzo głośno rozprawił z królem i, jak przedtem, się narzynał, nie odstępując go.

Jan Kazimierz zaś tak podówczas z wiktorji odniesionej był szczęśliwym, tak rad był zgodzie i pojednaniu wszelkiemu, że nawet podkanclerzemu przystęp dawał do siebie i nie ukazywał mu tej, co przedtem niechęci. Trudno mu się

wprawdzie zdobyć było na poufałość i uprzejmość, lecz znosił go, a i to już miało znaczenie. Radziejowski zaś, korzystając z tego, coraz natrętniejszym się stawał. Chociaż Strzębosz list od pani podkanclerzyny do króla przyniósł, w którym się zapewne na dołę swą i na niesprawiedliwość ludzką uskarżać musiała — nie było w nim wiadomości szczegółowych o Warszawie i wieczorem w chwili, gdy sam był kazał król Strzębosza przywołać: zapytał go: co się działo z podkanclerzyną?

— N. Panie — odparł Dyzma — widziałem ją dwa razy, nieszczęśliwa jest bardzo. Nie wiem co zamierza, bom się dopytywać nie śmiał, alem widział w palacu przygotowania do podróży, albo raczej do przenosin, bo co było kosztowniejszego, nawet do przyozdobienia ścian służącego, wszystko już pościągano i pakowano. Jeżeli się nie mylę, bracia też podkanclerzyny albo przynajmniej jeden się przy niej znajdować musiał.

Król słuchał tylko.

— Wiem i o tem — dodał Strzębosz — iż Królowa JMość, zapewne nie z własnego nspodobienia, ale listami p. Radziejowskiego pobudzona, niechętną się dla p. podkanclerzyny okazywała, co i inne panie musiało również odstręczać.

Wysłuchawszy tej powieści, król znowu o Maryę Ludwikę zagadnął, i o zamku sobie a dwo-

rze jej mówić kazał. tak, że Dyżma się ośmielił w końcu i o Bertoni wspomnieć. Poskarżył się na nią, że córkę zmuszała do starego Massalskiego, którego nazwisko usłyszawszy, król ramięmi rzucił, i gdyby był mógł naówczas, rozśmiał-by się. ale nadto smutków mu na duszy ciążyło. Mruknął tylko, że baba szaloną była równie jak stary gach, który już ostatkami życia i mienia gonik.

— Nie będzie z tych ślubowin nic — dodał król — bo rodzinę znam, nie dopuści ona, aby się kniaziowstwo ich skaziło mieszczańskim związkiem, bo ono ich całe bogactwo stanowi.

Byłby może rad król postaremu rozerwał się płochą z dawnym dworzaninem rozmową, lecz mu nie dano jej długo przeciągnąć.

Przychodzili nieustający z językami towarzysze, którzy wiedzieli, że król hojnie płacił za każdą wieść, i ciągle jeńców mu przyprowadzali.

Ale z tych sprzecznych zeznań nie bardzo kto mógł być mędrszym, bo pochwytani albo mało-co sami wiedzieli lub ze strachu pletli. co ślina do ust przyniosła, albo się wykupić usiłowali. zmyślając.

Wedle jednych więc, Kozaków było trzydzieści tysięcy; drudzy ich podawali na sześćdziesiąt; inni o nadciągających wiedzieli. niektórzy powiadali o niezgodzie a niechęci pospólstwa ku

dowódcom Działale i Bohunowi. Chmiela też jedni przy wojsku, drudzy przy Hanie widzieli, a każdy na klęczkach gotów był przysięgać, iż prawdę świętą mówił, a z tego wszystkiego nic pewnego wyciągnąć nie było można.

Król jedno wraz ze starym Jeremim powtarzał:—Trzeba dokonać co się szczęśliwie poczęło, a nie zasypiać, bo zwycięstwo, acz wielkie, wcale kozackiej rebelii zamknąć i przekłamać nie mogło.

Wiśniowiecki przepowiadał zawczasu, że gdy ściśnięci się uczują Kozacy, znowu się z pokorą o przebaczenie udadzą do króla, raz spróbowałszy, iż klemencyą jego łatwo pozyskać było, ale ostrzegał, aby król pobłażliwym się nie okazał znowu, a surowsze postawił warunki.

Chciał zaraz Jan Kazimierz do królowej śłać z doniesieniem o wiktoryi tegożsamego Strzębosza, ale dla pogrzebu Xięzkiego się wstrzymał—i dwu innych posłów natychmiast wyprawił.

Wiadomość i bez tego dojść prędko musiała, bo ją, można było rzec, wiatr niósł z sobą, a rannych wielu do domów uwolniono, którzy się na wszystkie rozpiechli strony.

Pospolite ruszenie nawet owo zwycięstwo większem czyniło, niż było w istocie, aby corychlej do domów na kosowicę i żniwa mogło powracać, a Dębicki podbudzał je, bo wiedział, iż królowi

niczem więcej dokuczyć nie mógł, jak grozbą. iż szlachta go opuści, gdy korzystać było potrzeba z popłochu. Radziejowski zas ufał sobie, że co Dębicki umyślnie zawichrzy, to on wymową swą i wpływem naprawi i uspokoi. aby u króla tem zaufanie i wpływ pozyskać.

Tak na nieoschłym jeszcze pobojuwisku, gdy co lepszego było, rwało się do wojny, niepoczciwe umysły już gotowały zamęt, aby z niego mogły korzystać.

Niemal codziennie straszono powrotem Tatarów z nową siłą Chmielnickiego, lecz się to nie sprawdzało. Tymczasem co się miano naprzód posuwać — obóz leżał wciąż nieporuszony w miejscu.

VII.

Wściekle bronili się w swych okopach Kozacy,—niemal codzień nawet to wpierwospy, to nocą, to rankami napadając na nieopatrnych a bliżej obozujących kwarcianych i pułki polskie. Udało się im tą czujnością kilkakroć srodze dać we znaki królewskim, a zuchwałstwo tej garści niektórym ducha odbierało.

Jeremi i Lanckoroński chcieli od pierwszego dnia całą siłą na to osie gniazdo uderzyć, obejsć je i Kozaków wytępić do nogi, bo się im z pomiędzy błot nad Pleśnią i Styrem ratować ucieczką było trudno—ale wojsko znuzzone wołało:—Weźmiemy ich głodem... po co ludzkie żywoty ważyć?

Od szlachty, którą warchoły już obalamuciły, szło zniechęcenie do boju i wołanie, aby tej wojnie koniec położyć. Po obozie snuli się narzekający głośno na króla i hetmanów, że równo z Ko-

zactwem chcą szlachtę wygubić, morząc ją głodem w poln.

Napróżno król zaklinał, ukazując, że nie uczyniono nic, dopóki się Kozactwa nie zmusiło do zupełnego zdania się na łaskę, że Chmiel z Tata-rami, jak był, tak jest groźny; próżno Jeremi wołał, aby następować, niedając czasu chłopstwu znowu się zwołać i zarejestrować. Szlachta z Dębickim krzyczała, aby koło zwołać, króla do koła stawić i pospolite ruszenie rozpuścić.

Dębicki z Radziejowskim puscili między krzykaczy, że prawo nie dozwalało szlachtę nad dwa miesiące trzymać zwołanej, albo ją król powinien był płacić lub rozpuścić. Coraz hałaśliwiej i wrzawliwiej powtarzano:

— Do domów... niech król ze swymi Niemcami wojuje. Są piechoty, są kwarciarz i komputowi, i bez nas tym chłopom rady dadzą.

Z początku ciche te głosy, coraz teraz śmielej i luczniej się podnosiły.

Z małych kupek tych malkontentów rosły gromady. Objeżdżającemu wojska królowi podstępowały prawie pod ręce wywołując swe grawamina. Król słuchając bladł, na swoich towarzyszów spoglądał, w niebo oczy podnosił.

Wszyscy starzy żołnierze widzieli, jak na dłoni, że wszelka korzyść krwawego zwycięstwa straconą będzie, jeżeli się wnet za rozpędzonym

Kozactwem nie pogoni i nie dokona, co się poczęło. Naprzód trzeba było iść całą siłą, a raz na zawsze rebelii byłby koniec.

A no, szlachcie było już tego dosyć.

— Do domów! — powtarzali jak hasło. — Król niema prawa nas trzymać; koło zwołać: niech posłucha, a my mu powiemy i pokażemy, co szlachta znaczy! Myśmy nie żołdacy płatui, nam rzucać nie może według woli.

Kazimirski z jednej, Snarski z drugiej strony po obozie się nosili z podleganiem, a Dębicki zwoływał codziennie na sandomirski bigos do siebie. Kto mu go dostarczał i tych beczek, które tam wypróżniano hałasując, było niezrozumiałem dla wielu, bo podczaszego nie stać było na takie traktamenta, a tu codziennie stoły zastawiano i kubki nalewano.

Tymczasem pułki panów, regimenta królewskie, co było żołnierza kwarcianego, dotych okopów się codziennie dobijało, w których Dziedziała i Bohun, jakby na posiłki czekając, bronili się zaciecie. Dosięgały ich tam działa. udawało się czasem wycieczkę pochwycić, przywlekały się zbiegi, ale Kozactwa większość do upadłego się odstrzeliwała i odcinała.

Głodem wziąć ich było trudno, bo mieli wyjście i z okolicy, wypadając, do okopów żywność ściągali. Dzień i noc wrzało tam ciągle.

Nie przestawano też naciskać ich, choć dotąd bez skutku. Dopiero po kilku dniach; poczęli wołać, aby posłów ich do króla puszczono.

Jan Kazimierz kazał ich przyprowadzić. Bili czołem przed nim, śpiewając tężsamą, co niegdys piosenkę, winę składając na Polaków. Chcieli teraz do zborowskich wrócić traktatów; odpowiedziano posłom, że zapóźno przychodzili z pokorą: zażądał król wydania Chmiela i dowódców buntu, a poddania się zupełnego Rzeczypospolitej.

Jeremi, który ich znał, rzekł zrazu, że tylko na czasie zyskać chcieli, skłaniając się do umowy, bo pewnie posiłków oczekiwali.

— Spisywać z nimi umow nie zdało się na nic: zmódz trzeba aż przyjmą to, co będą musieli; nie my ich, oni nas słuchać powinni.

Tymczasem Lanckoroński po naradzie z Jeremim, przeprawivszy się przez rzekę z tyłu okopy szedł zajmować, ale Bohun czuwał. Byłby nawet może uszedł niepostrzeżony, gdyby Mazury, w pole wyszedłszy dla obliczenia się, niepostrzegali już uchodzącego Kozactwa i nie dali wojsku znać. Dopieroż zatrąbiono i rzucili się wszyscy razem na wyciągających z okopów, tak, że ich w błota i grzęzawiska wpędziwszy z wozami, poczęli tępić i sieć okrutnie. Zdało się, że

ich tam noga nie ujdzie, chociaż główne pułki Bohun przodem wysadziwszy, uciekał z niemi.

Reszta pospólstwa zostawionego w okopach. strasznym popłochem zjęta, jak stała, nie mając już czasu niczabrać ze sobą, wybiegła, rozłaząc się na zarośla i błota, tak, że w obozie żywej nie pozostało duszy.

Nie śmiało jednak wojsko zająć go aż się przekonało, że zasadzki nie było. Dopiero wtargnęli Polacy do opuszczonego gniazda, którego widok grozą przejmował.

Wszystko tu tak zastali, jak przed chwilą jeszcze Kozactwo rozgospodarowało. U okopów samych naprzód leżeli, jęcząc, niepodobijani Polacy, z rękami i nogami poobcinanemi, ze skóry poobdzierani, jak bydłeta połupieni i porąbani, niektórym wnętrzości powydzierano, innym oczy wydarto. Więc ból srogi przejął żołnierzy tak, że nikomu też życia nie dali, kogo po zakątach znaleźli, wycinali w pień.

W szałasach i budach jeszcze stało wszystko. jak chłopstwo odbiegło. Dymiły niepagasłe ogniska, a przy nich w garnekach barszcze, kisiele, sałamachy i wszelkie ich jadła ulubione

Z łupu zresztą niewielka była pociecha, bo na wozach rzemień, siermięgi, wory, oponicze, koźnuchy z czarnych bierok, koszule, płachty i zapaski, więcej nic. Broni tylko wszelakiej moc

się znalazła. samych dział sześćdziesiąt, pół-kartanów ośmnaście, siła kobylic i haków; a co najdroższa, Chmielnickiego klejnoty, chorągwie przez królów Władysława i Kazimierza posłane, miecz od patryarchy z Konstantynopola, buńczuki, pieczęcie i szkatuła z papierami różnemi.

W pośrodku natrafiono też trupa starszego ich kapłana w stroju biskupim, z pastorałem i iufułą, którego król pochować kazał w cerkwi poblizkiej.

Część wojska puściła się dalej w pogoń za uchodzącym Bohunem, a królowi łupy przyniesiono i wiadomość o tem nowem zwycięstwie, za które wszyscy z nim, padłszy na kolana, Bogu dzięki czynili. Radość Jana Kazimierza aż niemal do łez go poruszyła, ale stary żołnierz wołał, że teraz więcej, niż kiedy trzeba było następować i z pogromu, a trwogi korzystać.

Gdy pisarze królewscy z Otwinowskim ową szkatułę hetmańską odbiwszy, do papierów kozackich się dobrali przy kanclerzu Leszczyńskim, zdumienie wszystkich ogarnęło wielkie.

Listy królewskie, przywileje, tureckie fermany, tatarskie karty, moskiewskie pisma, cesarskie, niczem były obok tych doniesień i raportów, jakie się tu znalazły. Miał Chmielnicki swoich wszędzie, którzy mu nietylko, co się na dworze

króla i na pokojach mówiło, przesyłali; ale miał takiesame doniesienia ze wszech stron, z Wiednia nawet i Rzymu.

Poznali ci. co wierzyć temu dotąd nie chcieli. iż on, prostaka udający, człek, który pijanym się czynił, nie rozumiejącym, a chłopstwem się przyodziewał, jak maską, chytrzejszym daleko był, niż ci, co z nim mieli do czynienia.

— Polityką go zażywać — rzekł biskup — nie pora, bo on w niej bystrzejszym jest, niż my może: orężem trzeba pokonać, inaczej nigdy z nim końca nie będzie.

Opiewano zwycięstwo. a złym ono było naj-
milsze, bo je zaraz tegoż wieczoru spożytko-
wali.

Roiko się pod namiotami Dębickiego u Kazi-
mirskiego i innych naczelników szlacheckiej
zmewy, a jedno hasło brzmiało wszędzie:

— *Finis laborum!* do domów! do domów. Niech
hetmani kiedy chcą z komputowymi ich ścigają
my nie pójdziemy.

— Nie pójdziemy! — powtarzała szlachta —
mamy dosyć: Kozactwo pobite. Nanka nie pój-
dzie w las. a myśmy się dosyć wycieńczyli dla
Rzeczypospolitej.

— Do domów!

Królowi z początku nie donoszono o tem, aby
mu radości dnia tego nie psować, ale nazajtrz

pierwszy podkanlerzy się zjawił po mszy w królewskim namiocie. Zasłyszawszy, iż Jan Kazimierz ciągnąć chciał, co najspieszniej za ncho-dzącymi—wtrącił z kompassą niby dla króla.

— N. Panie, próżno to o tem mówić na razie, dopóki się szlachty nie uspokoi, od wieczora już tam między nią wre na gwałt do domów po-wracać.

Król się zachnął oburzony.

— Jako? — zawołał — i mnie, wodza a króla, mieliby porzucić i odbieżeć? Nie wierzę, aby Polska szlachta do tego zdolną była.

Westchnął z kondolescencyą Radziejowski.

— Nie mówię — rzekł — aby to mieli uczynić, bo z nimi trzeba umieć poczynać, to się ich poprowadzi, gdzie się zażąda; ale dziś takie ha-sło—do domów.

Jadę z obozu od pospolitego ruszenia sandomirskiego; po drodze nic nie słyszałem, tylko wo-lanie—do domów.

Poczęli się schodzić inni senatorowie, wszedł biskup Leszczyński, Jan Kazimierz się do nich zwrócił.

— Posłuchajcie, co pan podkanclerzy przyno-si—rzekł—wierzyć-bym nie rad, aby mnie wszyt-chu porzucić miano.

Ksiązę Dominik Zasławski, który tylko co wszedł do namiotu, odezwał się ponuro:

— Dziś wszystkiemu złemu wierzyć można. Słyszałem i ja, na co się zanosi, albo się to da odeprzeć... albo...

Pornszył ramionami nie kończąc.

— Więc w niwecz nasze zwycięztwo tak drogo opłacone! — zawołał król.

Milczeli wszyscy, wtém Radziejowski począł:

— Nie pochlebiam ja sobie, ale siła szlachty znam, która mi wierzy i słucha mnie. Gotówem służyć według możności, umysły się może dadzą nawrócić.

— Czyń-że to, panie podkanclerzy — wtrącił biskup Leszczyński — toć powinność wasza, a nie-ociągaj się, bo złe zaraźliwe jest.

Wszedł do namiotu Lubomirski szepcząc na ucho Kalinowskiemu hetmanowi tężsamą nowinę, że się szlachta zwoływała.

— Niema już tajemnicy w tem — odparł Kalinowski — dawno się na to zbierało. a źli ludzie nie wiem w jakim celu, wczesnie szlachcie opór poddmuchiwali.

Zasepiły się czoła wszystkim. Stał król zadumany o stół się oparłszy, a po chwili podniósł głowę.

— Nie daję wiary! — zawołał. — U nas tak bywało zawsze i bodaj na wieki pozostanie, że się znajdzie opór przeciwko każdej sprawie, a *veto* musi ktoś zawołać, ale go przecie zagłu-

szymy i poczciwi nie dadzą tryumfować warcen-
łom.

— Tak - by być powinno — przerwał Leszczyński — ale nie zawsze się tak dzieje, bo najgorsze gęby najgłośniej krzyczą, a kto się bije najlepiej i kraj najmocniej kocha, ten milczy.

Radziejowski kręcił się niecierpliwie.

— Jeżeli publicznie z tem wystąpią, będziemy się starali też wołać głośno... i przekrzyczeć ich...

— Jeżeli wystąpią — przerwał Lanckoroński — ależ posłuchajcie, iż się już wazą o kole mówić i króla chcą przed nie stawić, a wybierają śmielszych, co z tem przyjsć mają do majestatu i domagać się.

Wszyscy przytomni, dla których owo koło w pospolitem ruszeniu równało się rokoszowi, niemal przerażeni, milcząc, spoglądali po sobie. Król jeden najmniej się tą wiadomością okazał poruszonym.

— Koło? — rzekł — a choćby i koło zwołać chcieli? Jeżeli miue o zezwolenie pytać będą — nie wzbronię pewnie. Bóg z nimi, nie uczyniłem nic, za cobym przed Bogiem, sumieniem i narodem obawiał się odpowiadać...

Niech sądzą w kole.

— N. Panie — rzekł kanclerz — nikt z nas nie myśli inaczej: a przecież temu kołu przeciw-

nym-bym był, nie dla obawy, ale dla czci majestatu, której ono uwłacza.

Są przecie osoby i mężowie, których ani posądząć ni sądzić tłumowi nie wolno. Przed Bogiem oni, ale nie przed kołem odpowiadają.

— Poszanowanie majestatu — cicho odparł król — dawno się u nas zwiódło i już pono nie odrodzi.. Niech zwołują koło, kiedy chcą.

W tej niepewności, gdy drudzy milczeli i szepotali, Radziejowski się odezwał znowu:

— Nie idzie tu o żadne inne grawamina, bo to wszystko daremne i tylko dla oczyszczenia się podnoszone głosy... Szlachta do domów chce, więcej nic.. to jej z głowy wybić potrzeba...

— Nie bawiąc więc kto może i czuje się na siłach — rzekł Leszczyński — powinien tę usługę oddać Rzeczypospolitej i królowi. Nie będziemy się mogli pochlubić wiktoryą, gdy ją nawpół ledwie poczętą, porzucimy, aby zmarniała...

— Szlachta woła — rzekł Lanckoroński — iż Kozactwo już głowy nie podniesie.

Jeremi Wiśniowiecki, który stał i cierpliwie, niekiedy tylko w górę oczy podnosząc, nie mógł już snadź strzymać się dłużej. Pierś mu wzbierała. Westchnął ciężko.

— Niechże nas popytają — rzekł z powagą — nas. cośmy z tym nieprzyjacielem od młodych lat walczyli, z tym narodem, który i wrogiem i słu-

gą znamy. Nie jest to Tatarzyn, który zwierzęcą kupą i jakby trzoda wilków napada, a odegnany pierzcha bezładnie; jest to lud wytrwały, chytry, przebiegły, mściwy, a swobodę swą kochający tak, jak my naszą szlachecką miłujemy. Chcemy ich pożyć: złamać musimy, a ta kupka porażona niczem jest; dziesięć kroków tyle jutro stanie pod bronią, gdy im tylko tchnąć damy, i pójdą—wieszać, ścinać, na pał wbijać, wnętrzności wydierać dawnym panom, bo Chmiel im swobodę i panowanie obiecał; poddadzą się Moskiewskiemu, zaprzedadzą Turkowi, zwiążą z Tatarzem, duszę zapiszą szatanowi, hyle nas pognać mogli... Kijowa się domagają, jutro będą Rusi całej, a pokażą jej granice w samym sercu Rzeczypospolitej. Chłopstwem ich zwiecie: spójrzcież w te pisma, które z całego świata do Chmiela słano i ślą, jako to chłop nad statystów naszych, bo i do Szwecyi umiał trafić i gdzie tylko nieprzyjaciela na nas mógł zbudzić. Szwed, Rakoczy, Moskwa, Turek.—wszystko im dobre przeciwko nam, a w tej godzinie, gdy największe grozi niebezpieczeństwo, szlachta do domów się wybiera spoczywać!

Westchnął.

— Bóg ją zaślepił.

Radziejowski, słuchając, wesał pokręcał. Rada

króla otaczająca milczała, wszystkich twarze posmutniały. Jan Kazimierz stał milczący długo.

— Do ostatka — rzekł w końcu — spełnię powinność moję, a jeśli mi Bóg nie da dzieła dokonać, wina niech spadnie na tych, co oręż mi z rąk wyrwą. Potomstwo ich może za winę przodków pokutować będzie.

— *Quod Deus avertat!* — szepnął biskup Leszczyński.

Król powolnym krokiem, podniósłszy ściankę, wyszedł do drugiej części namiotu, gdzie zwykł był się modlić.

Podkanclerzy, korzystając z tego, przysunął się do obradujących, po za których kołem się dotąd trzymał, bo nikt się z nim rad nie kumał, już dla tego, iż o króla niechęci widziano, już, że on sam nikomu nie był miłym.

— Prawdą jest — począł — że szlachta się zrywa, że koło zwołuje, ale niczem to wszystko. Jak ją kilku ludzi powiodło, tak ją też odprowadzić można i skruszyć.

— Zapominasz — wtrącił Leszczyński z powagą i surowością, — że do domów i spoczynku łatwiej człowieka prowadzić, niż do ofiary i trudu. Pochlebiasz sobie, że u szlachty masz miłość i wiargę?

— Tak jest — zawołał śmiało Radziejowski —

tak jest i wistocie pochlebiam sobie, iż to potrafię zmienić.

— Nie ociągajciez się — dodał sucho Jeremi Wiśniowiecki — my-byśmy już wychodzić powinni. Każdą godzinę opóźnienia przypłacimy.

Radziejowski rzucił oczyma dumnymi z wyrazem szyderskim po przytomnych i wyszedł z namiotu.

O kilkadziesiąt kroków dalej, czekał na niego Dębicki z twarzą rozognioną i oczyma błyszczącymi.

— Koło zwołują! — rzekł radośnie. — Posłysz na niem król prawdę gorzką i szczędzić go nie będą. Szlachta mu teraz Niemcami wypiekać będzie.

Podkanclerzy się pochylił ku niemu.

— Nie idźciez tylko zadaleko — szepnął — bo mnie na tem wiele zależy. abym ja nawrócił i królowi się zasłużył. Niech gardlują, ale do odwrotu drogę trzeba zostawić.

Dębicki potarł czoło i ramiona poruszył.

— To wasza rzecz — rzekł — ale trudno miarę zachować.

Poszeptali między sobą i natychmiast obaj na konie siedli, podczaszy w jedną, podkanclerzy w drugą się udając stronę.

Obóz wrzał; już teraz powstrzymać poruszenia nie mógł nikt. Do domów! wołano. król ma swą

piechotę, Huwaldów i innych Niemców, ma Kwarcianych; starczy mu ich, nam już dosyć tej poniewierki.

Zwoływano się ziemiami i województwy. Prąd raz pchnięty, rwał coraz silniej pociągając za sobą.

Ze starszyny już ten i ów się wahał. Przy królu nikt odzywać się nie śmiał, ale między senatorami też tęsknota za domem rosnąć poczyniała. Szemrano.

— Król się zapalił. Niechby, na hetmanów zdał: to nie jego rzecz... Gotów nas w polu trzymać aż Kozaków nie stanie.

— Przekonać go trudno — szeptali drudzy.

Tegoż dnia wieczorem król oznajmił, że chce do Brodów, do Koniecpolskiego jechać, aby twierdzę przez ojca jego wzniesioną oglądać.

— Nie ustaje więc wojować—wzdychali pokoj miłujący.

W nmysłach zamęt powstał wielki, wahanie się.

Coraz więcej głosów odzywało się za tem, aby na hetmanów zdać wszystko, króla do Warszawy dla spoczynku wyprawić, pospolite ruszenie puścić.

Na uchodzących kogóż wysłać było, jeżeli nie Jeremiego Wiśniowieckiego? Jednym głosem wszyscy go wskazywali.

Wieczorem Krakowian gromada się się zebrała

u księcia Dominika Zasławskiego. I tu o Jeremin ktoś wspomniał, jakoby słyszał, że gotowym był scigać Kozaków sam, byle mu połowę wojska swego król oddał pod komendę.

— Połowę wojska! — zawołał gospodarz — to nie, ale z tą połową, on królowi całą sławę, całą zasługę wiktoryi odniesionej odbierze. Kto miłuje króla i sprawiedliwość, na to pozwolić nie może.

Mało jeszcze sławy ma Wiśniowiecki, choć na nią więcej szczęściem niż rozumem zasłużył. Chce mu się jednemu być — u szczytu stanąć, wszystkich zaćmić!

Poczęto potakiwać.

— Królowi-by się sroga krzywda stała — wołano.

Książę Dominik obstawał gorąco za królem.

— Tego tylko potrzeba, aby on komendę wziął, a na osłabionych poszedł! — wołał. — Król pozostanie ze słabym oddziałem i nic począć nie będzie mógł — a on pewnie zwycięży, bo Kozactwo niecka. Na to nie można pozwolić.

— Jest Potocki i Kalinowski — dodał pułkownik Obłęski, oni też coś warci — niechże im się co dostanie; wycierpieli w niewoli dosyć, a Jeremi wszędzie miał szczęście.

Nadeszła noc. Przed obrazem Najświętszej Panny Chełmskiej klęczał król i modlił się dłu-

go. Bohaterstwo mu ciążyło już na barkach znudzonych.

Jeszcze dziś pragnął iść dalej, jeszcze mu biło serce, gotów był; ale znużenie wielkie czuć mu się już dawało.

Gdyby wszyscy udzielnie iść z nim chcieli! Przez cały dzień przynoszono mu tylko:—szlachta się opiera, wszyscy do domu wołają. Wstawszy zachwiał się nieco, bo noga jeszcze dolegała. Sparł się na lasce; w pierwszej namiotu dzielnicy, stał Strzębosz.

— Co słyhać? — zapytał król — tyś po obozie chodził?

— Umyślnie, dla języka—westchnął Dyźma.

— Nawrócił ich Radziejowski? — szydersko odezwał się Jan Kazimierz. Strzębosz się uśmiechnął.

— Mówią... alem tam nie był, że wistocie gardłował, ale pono z takim skutkiem, że go zakrzyczano, zahukano i wściekły się musiał wynosić.

— Kochanek on szlachty co go-to ona na rękach nosić miał! — rzekł król szydersko.— Cóż się stało? dopóki jej potakiwał, dobrym był, a teraz—precz z nim.

— Sądzę, że nie da za wygraną—począł Strzębosz—boć przecie się obiecywał nadto i chwalił—ale o skutku wątpię.

I pomilczawszy nieco, dorzucił Dyźma:

— Niepojęte-bo są szlaki i drogi, któremi chodzi pan podkomorzy. Druh od serca Dębickiego, a ten gardłuje za szlachtą—gdy podkanclerzy przeciw...

Wstrząsnął się król jakby z obrzydzenia.

— Dość o tym człowieku: zakałą jest, ohydą.

Zwrócił się znowu do szlachty, dopytując Strzebosza: czego chciała za to, gdyby pozostała przy nim i wojsku.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Dyzma —mnie się zdaje, jak dziś stoją te warcholenia, że już za żadną cenę ich kupić nie można, bo i o cześć swoją nie dbają.

Zachmurzyło się oblicze króla i padł na tureckie posłania z poduszek, któremi namiot był wewnątrz otoczony.

— Pójdę sam, bez nich—rzekł w duchu—srom ich ogarnie!!

Mysł ta utkwiła w nim.

— Tak jest—powtarzał sobie—to jeszcze srodek ostatni: zawstydzą się, nie opuszczą mnie. Rozprawiać z nimi słowy—próżna strata czasu. Pójdę, pójdę!

Wstał z siedzenia i Jaskulskiego, który był pod ręką, zawołać kazał.

— Masz wiedzieć — rzekł nakazująco wchodzącemu—i masz mówić, jeżeli się pytać będą, że—jeśli nie chce szlachta, niech idzie, gdzie ją

oczy niosą... Pójdę z wojskiem sam!... rozumiesz to—pójdę sam!

I z naciskiem powtórzył kilkakroć.

— Rozumiesz to—pójdę sam.

Wieczora tego w obozie, można się było sądzić nie wśród wojsk i rycerstwa — ale jakby na burzliwych sejmikach.

Gdyby ładajakie Kozactwo napadło naówczas, zaatakowanych i rozgorączkowanych-by brało gołą ręką — taki szal panował między szlachtą, a od niej i do wojska przechodził.

Kozacy, wojna, ojczyzna, niebezpieczeństwo — wszystko było zapomniane; burzono się przeciwko królowi, jakby on był winien tylko.

I ciągle powtarzało się jedno, czego nauczylł przewódzczy. — Niech król idzie ze swymi Niemcami; szlachta darmo służyć nad dwa miesiące nie jest winna. Myśmy swoje zrobili. Koło zwołać, sądzić.—Dosyć-smy się najedli nędzy... do domów!...

Jedno z najburzliwszych takich kół z Krakowianów i Sandomierzan złożone, do których co było gardłaczków, opojow i warcholów się zbiegło, położyło się pomiędzy namiotami z takim wrzaskiem i miotaniem się, jakby miało, tuż za szablę porwawszy, na królewskie się rzucić. Mówca jeden po drugim występował na starą okiennicę, gdzieś w miasteczku wydartą, którą próżną be-

czkę od piwa okryto... Dźwigano go, podnosząc pod pachę, stawiono na wyżynie i poczynął krzyzczeć.

Jeden w drugiego tożsamo powtarzał ochrypłym głosem, a szlachta wszystkich akklamowała.

Z boku stał Dębicki i słuchał, ale poza nim, opończą okryty, czekał Radziejowski... Miano mu tu uroczyste wniście przygotować i przyjęcie. Poił i karmił dosyć szlachty: więc pewien był, że gdy mu się ta do kolan wówczas kłaniała, gdy się jego mięsiwem dławiała, zającując, to i teraz na skinienie go posłucha. Nie wiedział o tem, że tażsama szlachta, kupą idąc. rozpoiwszy się złotą wolnością swą, nie zna chlebowawców i nikomu się nie kłania.

Z pogardą patrzył na ten tłum Radziejowski... sposobił się sam przeciw niemu stawieć czoło.

— Nie bardzo radzę—rzekł Dębicki.

— Co ty ich tak sądzisz!—mruknął Radziejowski—szuja jest, trzeba jej z góry zaimponować... pójdą jak zmocy.

Komedyja się tedy przygotowywała. Wpadł rozpychając szlachtę i krzycząc: cyt, cyt!... słuchajcie—naprzód Snarski.

— Podkanclerzy do nas idzie.

Cicho się zrobiło, aż ktoś z kąta:

— No, to co? wielka rzecz! podkanclerzy? Jechał go sęk i po wszystkim.

Śmieli się inni, aż nadbiegł za Snarskim Kazimirski.

— Panowie bracia! Jedzie do naszego koła Radziejowski; ten nam rozumną radę da. Pochlebca nie był i nie jest.

Wtem z drugiej kupy ktoś, zachęcony pierwszym wystąpieniem, zawołał:

— Niech radzi a nie zdradzi: będziemy mu radził

Poczęli drudzy klaskać.

Czekali, milcząc trochę i oglądając się, aż ktorys krzyknął:

— Nim podkanclerzy raczy, my dalej swoje.

Nzmer się dał słyszeć:—Jedzie, jedzie.

Poprzedzał go pacholik z pochodnią.

Podkanclerzy z twarzą jechał wielce dobroduszną do panów braci, pokorny, ale się przystroił aby też znali w nim dygnitarza.

Zaraz w początku poczuł, że tu nie za stołem u śniadania było: szlachta mu nie ustępowała, musiał się cisnąć z pomocą Kazimirskiego i Snarskiego do środka. Tu wszedłszy, choć dosyć słabszego wzrostu był, pośród tłumu utonął. Spojrzał dokoła: nie było nic, jeno beczka próżna z okiennicą.

Poszeptał z akolytami i podejmując kołpaka, włożył na chwiejącą się okiennicę. Z góry, po gromadzie gdy rzucił okiem... jakoś mu się mdło zro-

biło. Zewsząd na niego skierowane były wejrzenia—ostre, badające — i, jakby go tu nikt nie znał ...

Pokłonił się wkoło.

— Miłościwi panowie a bracia.., zasłyszawszy, iż tu sprawa się ważna toczy, która nas wszystkich obchodzi, ja też, jako wierny syn tej ojczyzny, przychodzę do was, złem czy dobrem się dzielić.

Nastało milczenie jakies złowrogie.

— Hej—przystąpił łysy, chudy, wzrostu ogromnego drab. w wyszarzanej opończy—dobrze żeście przyszli: posłuchajcie grawaminów, zanieście je królowi.. Marie u niego ucho.

— Do domów chcemy! — poczęli wołać z gromady.

Wtem Obzolski, Sandomierzanin, ręka za pasem. czapka na uchu, wystąpił tuż przeciw. Dał drugą ręką znać aby się uciszyli i począł:

— Już nam w gardłach pozasychało od daremnego wołania. Stańło na tem: dalej nie pójdziemy; król ma wojsko. Myśmy powinność odbyli; teraz płatnego żołdaka rzecz: tych, których my przepłoszyliśmy, po cbróściach i błotach dobijać.

Chce król tych łowów dalej zażywać, niech idzie—my—*non plus ultra*. Nie-pój-dzie-my..

Sklonił się; applauz mu dano i huknęli zewsząd, podnosząc ręce:

— Ani kroku dalej!...

Stał chwilę podkanclerzy.

— Proszę o głos, ucha mi dajcie!

— Mów. mów...

— Ciężką ofiarę dla ojczyzny ponieśliście, to prawda—począł, ale gdy się co w połowie uczyniło, nie trzeba sobie dać sławy odbierać lada kwarcianym. Powiedzą, że szlachta z pola uszła, a ojczyznę płatny żołdak ocalił. Tu o cześć naszą idzie. Daleko ciągnąć nie potrzeba, aby nieprzyjaciela pogromić, dosyć pokazać ochotę...

— Oho, oho! — wymykały się głosy — toć go król przysłał!

— Ja z wami, panowie bracia — ciągnął dalej podkanclerzy, kość z kości waszych... ale dla czci naszej trzeba ofiary! Króla nie opuście wy samego.

— Wojsko ma... Niemców ma!...

Radziejowski, nie zważając—puścił się w oratorskie nawoływania; krzyczał. miotał się—rzucał; a choć mu już nie przerywano, gdy w końcu ustał, pocznł. iż go połowa nawet nie słuchała. Gwarzono coraz głośniej, wysunął się Obzolski, któremu w głowie młode piwo szumiało:

— Porzuć wasze to kazanie—krzyknął—mys-

my nie żaki! Słyszeliśmy to wszystko... Co się rzekło—święte... Nie-pój-dzie-my!

Drugi, zaczerwieniony mocno, poparł go, kułak ogromny podnosząc Radziejowskiemu niemal do piersi.

— Coś ty? podkanclerzy?... a my—prosta szlachta — ale my naszego rozumu domorosłego na twój zagraniczny nie pomieniamy. Pieniędzy na wojnę... niech szlachta daje, pobory, taxy, podatki, łupią z niej, na ostatku jeszcze i krew... zawołali — poszliśmy. a no, temu raz koniec musi być!...

Wrzask taki się rozległ, a ręką tyle wyciągnęło, iż podkanclerzy, choć głos podniósł i krzyczał sobie, już go wcale słyszać nie było.

Okiennica się pod nim trząść zaczęła. Stał jeszcze, ale go już Snarski ciągnął. Mówić nie było sposobu.

— Panowie bracia!

Zabuczano go.

— Złaź, panie bracie.

Z boku grubsze słowa rzucono na niego...

— Znamy dworskich pieczeniaryzy. Na wymowie wam nie zbywa, ale swada—zdrada!

Musiał, postawszy chwilę, zniżyć Radziejowski tak rozjątrzony i zły, że mówić nie mógł do Kazimirskiego, który go pocieszać się starał.

— Zburzone to fale — szeptał Kazimirski —

z niemi teraz do ładu nie przyszedłby nikt. Ani Demostenesa ni Cicerona-by nie posłuchali.

Jeszcze stał tak pomieszany podkanclerzy, gdy całkiem nieznajomy mężczyzna, wyróżniający się wśród tego tłumu, z twarzą zasępioną przysiąpiał do niego.

— Oto macie owoce własnych waszych zasiewów — rzekł z powagą — daliście groblę zerwać: poszły wody, patrzcie, aby i was nie zatopiły.

Zmarszczył się podkanclerzy, bo nie znał tego, który się do niego odzywał.

— Dlaczegoż mnie obwiniacie?—odparł z urazą i dumą.

— W piersi się uderzcie — rzekł nieznajomy i odwróciwszy się zniknął w tłumie.

VIII.

Gotowano się więc w dalszy pochód za Kozakami, jak był rozkaz królewski. choć szlachta burząc się nic o tem wiedzieć nie chciała. Jan Kazimierz też tak czynił, jakby o niej nic nie wiedział. Ukrywano przed nim, co się działo od kilku dni, coraz wzmagając, wśród ziem i województw; nie chcąc mu odbierać tej wiary, że szlachta go nie opuści. Ufał w to, że gdy się na czele wojsk poruszy, pospolite ruszenie nie zostanie w obozie, ani się rozplynie.

Mało król wierzył obietnicom Radziejowskiego; przecież ta pewność, z jaką on przełamać opór szlachty przyrzekał wchodziła w rachunek.

Ale podkanclerzy, popróbowałwszy sam i z pomocą swoich tu i owdzie przywieść do upamiętania panów braci, przekonał się w końcu, że wpływ, jaki sobie przypisywał, jeżeli kiedy go miał, w rozgorączkowaniu tem wcale się już czuć

nie dawał. Dębickiego słuchano, bo szedł z nimi, Radziejowskiego znać nie chciano i okrzykiwano go—zdrajcą.

Podkanclerzy, zamiast sam na siebie za fałszywą gniewać się rachubę, i na szlachtę, która szalała, słuchać go nie chcąc, wszystko teraz składał—na króla.

Ani Kazimirski, ani Snarski, ani zręczny Proszka, na których rachował, pomódz mu do odzyskania wpływu nie mogli. Radziejowski poczwarną baśń wymyślił, aby siebie uniewinnić, a zburzonym się zalecić nanowo.

— Trzeba było zaraz, w pierwszej chwili, nazajutrz rano gonić uchodzących Kozaków — począł wołać pomiędzy swymi. — Tymczasem kilka dni na pobojo wisku przespano, król rozkazów nie wydawał.

Chytróść to była. Przysłali potem Kozacy posłów, pocichu z nimi król sam traktował. Pewna rzecz, że oni mu się wykupili. Mówią o 300.000 czerwonych złotych, które potajemnie przywieźli. Co za dziw? Królowie z Kozakami zawsze we zмовach byli na zagładę wolności naszych szlacheckich. Spiskował z nimi Władysław, idzie w ślady jego Kazimierz.

A teraz, kiedy Kozacy w polu i na równo się skupiają, pospolite ruszenie woła król, aby szlachtę wygubił.

Piornuem się to rozeszło do wieczora po obozie, że król od Kozaków pieniądze wziął. Powtarzano owe 300,000.

Najpoczwarniejsza potwarz taka utłumni znajdzie wiarę, zwłaszcza, gdy mu posługuje.

Tegoż dnia doszło to do uszów Potockiego i Kalinowskiego. Koniecpolski, któremu doniesiono, że Radziejowski to powtarzał i roznosił, nierozważnie polecał wprost do króla, gdy inni chcieli przed nim utaić.

W szlachetnym panu chorążym kipiało wszystko na samą myśl, iżby wysoko położony, do osoby panującego zbliżony dygnitarz, śmiał i mógł być tak niegodziwym potwarcą.

W gniewie się nie mogąc pohamować wpadł do namiotu Koniecpolski. Król już i tak chodził przybity, czekając rychło li obóz zwinąć i ruszyć się będzie mógł. Twarzy zmienionej gościa uląkł się Jan Kazimierz i podszedł z zapytaniem:

— Cóż znowu się stało? klęska jaka!

Z załamaniem rękami Chorąży począł swe oskarżenie, w najgwałtowniejszych wyrazach. Zbladł król, słuchając, i zadrżał, lecz wnet odzyskał pozorny chłód i rezyguacyą.

— Wiem, że podkanclerzy do wszystkiego jest zdolnym — rzekł — lecz sądziłem go rozsądniej-
szym; bo taką baśń uknąć może tylko człowiek, co

nigdy na dworze nie bywał, ludzi nie widział. Ona się zbija swoją niedorzecznością.

— Niestety! — przerwał chorąży — znał ten, co ją wymyślił głupotę tłumowi między który puścił tę potwarz N. Paniel podkanclerzy...

Król ręką rzucił.

— Znam człowieka — odparł — znieść go potrzeba, bo go nic nie nawróci, ani naprawi. Wyprze się własnych słów, wyprzysięże.

Ja, stoję przy swoim — dodał — każcie się wojsku sposobić. Szlachta chce li, niech obraduje w kole, leży, ciągnie, czyni, co się jej podobą: moja cierpliwość doszła do kresu.

Chcę widzieć waszą twierdzę w Brodach, wojsko niech ciągnie pod Krzemieniec, tam się nasze losy rozstrzygną.

Pomiędzy wojskiem i królem z jednej, a pospolitą ruszeniem z drugiej strony, dnia tego rozbrat się stał widocznym. Wczorajsze narady, spisywanie punktów, obelżywe zarzuty przeciw królowi doszły do największego rozpasania. Działo się to jawnie, wyzywająco.

Niemieckich pułków ani starszyzna, ani żołnierze około obozu pospolitego ruszenia pokazywać się nie mogli, obchodzono się z nimi prawie jak z nieprzyjaciółmi.

Król przez cały dzień był czynnym; przysposabiano się ciągnąć dalej.

Szlachta posyłała swoich niespokojna, aby dostać języka: potwierdzało się, że król szedł z wojskiem dalej na Krzemieniec; któż wie w jakim kierunku potem i dokąd?

— Myśli nas na rzeź prowadzić? — wołała szlachta — ale i myśmy nie głupi! Chce obrońców wolności wygubić, aby samą wolność zatracić... Niedoczekanie jego!

Do domów!

Wśród tej wrzawy Radziejowski, który wiedział, że królowi doniesiono o tem, co roznosił, nie pokazał się nawet Janowi Kazimierzowi. Siedział w swoim namiocie, mrucząc, namysławiając się, zwołując do siebie Dębickiego i całą czeredę krzykaczy.

— Nie chcę mnie, jako rozjemcy... — wołał rozjątrzony — nie pozostaje mi tylko stać w rzędzie nieprzyjaciół.

Mój urząd mi daje prawo być przy królu, precz odegnać mnie nie może. Stanę mu kością w gardle; na każdym kroku mnie znajdzie przy sobie.

Nad wieczór niewytrzymawszy, kilka razy się porwał Radziejowski iść i cofać; naostatek do namiotu kanclerzego Leszczyńskiego pobiegł, dowiedziawszy się, że biskup na pacierze się tu schronił.

Nie dawszy się kapelanowi odprawić, gwałtem

prawie wtargnął przed oblicze poważnego kapłana.

— Oskarżono mnie pono przed j. król. m., że ja zmyślił wieść o przekupstwie. Jawna rzecz, że król rad temu wierzy. Tak jest! Powtarzałem tę plotkę, bo ona chodzi po obozie z ust do ust. Wina jej spadnie na mnie. Nasz pan nie może znieść mnie, z przyczyny żony: ja to wiem. Wszelako nie myślę następować i będę mój obowiązek pełnił.

Leszczyński słuchał tego wyznania gorączkowego z politowaniem niemal.

— Panie podkanclerzy — rzekł sucho — nie potrzebujecie się tłumaczyć przede mną. Mnie obce są te wszystkie dworskie intrygi. Sługa Boży nie zna dróg waszych.

Radziejowski drżał cały.

— Król więc postanowił szlachtę do ostateczności rozjątrzyć: ciągnie pod Krzemieniec.

— Wierząc w to, że go wierna szlachta, choćby dla czci swej nie opuści—rzekł kanclerz.

Rozśmiał się podkanclerzy.

— Byłaby może to uczyniła zaraz nazajutrz po bitwie; ale dziś,—zapóźno. Król się powinien z nią porozumieć i łączyć.

Leszczyński bystro mówiącemu w oczy spojrział; brewiarz rozłożony na stoliczku ujął w rę-

ce, jakby chciał koniec uczynić rozmowie i rzekł zimno:

— Wszakżeście wy się uroczyście zobowiązali, waszym wpływem ukołysać umysły: nie dokazaliście tego. więc król już nadzieję stracił.

— Nie dokazałem tego—krzyknął gniewnie Radziejowski—bo zapóźno król mi to powierzył. Przystępu do niego nie mam. zanfawia nie mam: więc i uczynić nic nie mogę.

Gdyby się był całkiem zdał na mnie, dziś stałoby rzeczy inaczej.

— A! a!—westchnął Leszczyński—i oczy spuścił na brewiarz.

Podkanclerzy wiedział, że już tu nie ma co robić dłużej, i wyszedł z namiotu.

Ci nawet, którzy nigdy szczególnej miłości dla króla nie mieli, musieli się teraz nad nim litować.

Ostatki energii, woli, męstwa, wyczerpał w tej wojnie; widziano go niezmordowanym, narażającym życie, po kilka nocy w stalowej koszuli le-dwie drzemającym chwilę, objeżdżającym strażę, stojącym wśród kul, nieszczędzącym siebie, gotowym na uajwiększe ofiary.

Wszystko to kończyło się rzuconą mu w oczy najniedorzeczniejszą potwarzą i odstępstwem.

W godzinie tej gorzkiego rozczarowania Jan Kazimierz ostatek jeszcze dobrej woli kładł na

szale, choć już się nie spodziewał prawie zwycięstwa.

Wszystko mu się z rąk wyslizgało. Jeremiego, jedyne go zbawcy, kazano mu się obawiać, jako zazdrosnego współzawodnika niemal jak wroga. Szlachta czyniła go winnym spisku na swą zagładę. Posłuszeństwo i karność z każdym dniem słabły. Stał osamotniony, a na domiar boleści, miał u boku człowieka złego, zuchwałego, mściwego, którego nawet pozbyć się nie mógł z oczów i drzwi mu zamknąć.

Nie dziw też, że znękanym po całych dniach klęczał przed obrazem, modlił się, albo, zdziecinniawszy prawie, ze służbą swą zabawiał się nie jak królowi przystało.

Przez całą noc znowna szlachta się tłumnie gromadziła na placach między swemi wozami i taborami, pod namiotami i szałasami, tak, że dopiero nadedniem się porozchodzili i pokładli. Ledwie posnęli, gdy ich ranna trąb pobudka zbudziła trwogą.

Jak kto stał—w koszulach, w opończach, półnago—pozrywali się pościeli, sądząc, że nieprzyjaciół może na obóz napadł. Przekonano się wkrótce o tem—czemu wierzyć nie chciano—że wojsko i król wychodzili pod Krzemieniec, pozostawiając pospolite ruszenie własnym jego siłom i—rozumowi.

Kwarciani. piechota zaciężna, tak zwane pułki niemieckie. Przyjemski z działami, wierne królowi chorągwie panów i senatorów z kolei bijąc w bębny, przy odgłosie trąb, z rozwiniętymi chorągwiami wyciągały, a szlachta przecierając oczy, klnąc, z trochę wstydną a złością wielką, patrzyła ośnupiona.

Dopieroż jeden do drugiego z namiotu do namiotu poczęli wołać:

— A co?... król nas Kozakom na zakąskę porzucił! Ciągnie... jak Boga Kocham... wojsko całe z nim.

Ponuro spoglądali niektórzy i we mgnieniu oka odziewać się zaczęto.

Chciano do króla posłów wyprawić, ale dano znać, że on, rano bardzo wyjechawszy, już o parę mil być musiał. Z panów senatorów mało kto pozostał; ci, co spóźnili się, zwijali namioty i siadali na konie.

Jeden tylko podkanclerzy za królem nie jechał.

Kupami się poczęli gromadzić ci, co wczoraj najgłośniejszy wykrzykiwali, ale z twarzami poważonemi. Inni sobie dodawali otuchy, powtarzając:

— Cóż wielkiego? tośmy uczynili, czegośmy chcieli. Nie pójdziemy, lecz pociągniemy do domów; król nami wzgardził, słowa nam dobrego

nie powiedziawszy: nie myślimy się przed nim płaszczyć.

Nie wszyscy jednak tak trzymali.

Z Województwa Krakowskiego i Sandomirskiego Myszkowski i książę Dominik, którzy jeszcze pozostali z ziemianami, zwołali swoich, co stateczniejszych, na radę.

— Ja tam nikomu się nie zalecam, ani też kogo boję—odezwał się ponfale do Krakowian książę Dominik—a no, co prawda, że my tu w sromotnym sztychu pozostaliśmy. Króla tak odbiedz bez jakiegoś porozumienia, brzydka-by była rzecz.

— I ja tak trzymam—dodał Myszkowski.—Nasze dwa województwa na pobojuwisku dały dowody, że nie z tchórzowstwa odmawiają iść dalej.

Zaczęto po wczorajszemu na króla wywodzić zaskarżenia, ale Myszkowski usta zamknął krzykaczom.

— Puste słowa są—rzekł—trzeba myśleć, jak ze czcią z tego wyniść.

Książę Dominik przerwał:

— Posłów należy do króla wyprawić. Nie chce wszystka szlachta ciągnąć z wojskiem, czy nie może; ale wybrać z między siebie pułków kilka,—na to nas stało.

Przyjęto milczeniem zrazu ten wniosek; oglądali się po sobie ci, co gardłowali: nie pójdziemy.

— Król królem — odezwał się Myszkowski — a majestatu gdy my nie poszanujemy, nas też inne narody w wielkiej estymie nie będą miały. Rzeczpospolita bez głowy nie może być.

Mruczano już ciszej coraz, ale szlachta się ściągała i z innych ziem i województw. Wszyscy byli markotni. Nie przypuszczał nikt, ażeby Jan Kazimierz tak sobie śmiało postąpił. Pozwolił koło zwolać; zdawało się więc wszystkim, że z nim uczynią, co zechcą.

Cały dzień zeszedł na mitręgach próżnych i wzajemnych wymówek; poczynano się waśnić. Radziejowski się nie pokazywał; mówiono, że i on sposobi się do odjazdu, że powraca do Warszawy.

Z wieczora buty dużo ubyło. Sam widok tego opustoszałego obozowiska, gdzie stały najpiękniejsze chorągwie w porządku i karności trzymane, — osamotnienie szlachty, która się czuła sama sobie pozostawioną i niespokojną, potrzeba czuwania, aby Kozactwo korzystając z tego, nie napadło. — znacznie ujęły zuchwałości.

Godzili się już wszyscy, iż potrzeba było króla przebłagać czemś; ofiarowano się na dwanaście tysięcy ludzi zdobyć. Reszta zniechęconych napierała się do domów.

Niektórzy też z panów wojewodów, czasu wyprawy zmógłszy się na traktamenta i otwarte stoły, radzi byli koniec położyć temn.

Trzeciego dnia posłów wybierać miano do kałusza, który po obejrzeniu twierdzy w Brodach, powinien był się znajdować w Krzemieńcu.

Stanęło na tem, aby jechali Starosta Libuski Władysław Rej, i Starosta Horodelski Czapli.

Obaj ludzie głady—mieli naprawić to, co szorstkie z królem obejście się nadweryżyło. Na dwunastu tysiący już się województwa godziły.

Gdy obóz opuszczali panowie posłowie, wcale on wyglądał inaczej, niż przed kilku dniami. Smutno w nim było i pusto; pospolite ruszenie samo, nierozpnszczone przez króla rozejść się bez nadweryżenia prawa nie mogło. Nuż król-by się miał nprzec ciągnąć je ze sobą? Więc rokosz? A tu Kozacy na karkach, i widma ich chodzące po świeżo zdobytych okopach, w których jeszcze nimi śmierdziało, bo trupów dosyć niepogrzebionych leżało.

Nie domyślał się nikt w jakim usposobieniu króla znajdą posłowie. Znano go zmiennym.

Zresztą męstwa i wiary wyruszył król ku Brodom. Miał odrobinę nadziei jakiejs, że szlachta, dla czci swej, pójdzie za nim.

Następnych dni, gdy mu znać dano, że województwa, pod Beresteczkiem jeszcze leżąc, nie

wiedziały same, jak węzeł ten rozplątać, Jan Kazimierz rzekł Kouiecpolskiemu:

— Nie uratuje nikt narodu, który sam się ratować nie chce. Czyniłem na co mnie stało, nad siły to moje. Niech Bóg się ulituje przyszłości; mnie odpadło męstwo i ochota. Gwałtem opierających się nie wezmę, otwartego rokoszu nie chcę ściągać, Bóg z nami... Ja tu już nie mam co czynić. Na hetmanów zdam wszystko, na hetmanów.

Na ciele zużony jestem, lecz toby niczem było: dusza moja chora...

Z tem król do Krzemieńca przybył i wistocie odpoczywać mnsiał, bo doktor Baur o zdrowie był niespokojny.

Rej z Czaplicem przybyli. Wiadomość o tem mało co poruszyła króla. Z twarzą zastygłą, wcale inną od tej, którą widywano czasu wojny, wyzedł naprzeciw posłanym, uprzejmie ich witając, ale zimno. Inego w nim znaleźli człowieka

Wysłuchał poselstwa cierpliwie i łagodnie.

— Bieriecie na sumienie wasze przyszłość? — rzekł — dźwigajcież odpowiedzialność za nią. Chciałem inaczej skończyć raz wojnę, zgasić pożar, któremusny się rozpostrzeć dali

Westchnął ciężko.

— Niech pospolite ruszenie do domów ciągnie

—rzekł — a bodaj one bezpiecznemi były oś nieprzyjaciela.

Hetmanowie pójdą dalej; jam tu już nie przydatny.

Odprawieni tak łagodnie, ale obojętnie, posłowie, choć dopięli tego, po co przybyli, nieradzi powracali. Król się z nimi rozstał, jak z obcymi, nie dawszy dobrego słowa.

Nazajutrz rozeszła się wieść, że na hetmanów zdał Jan Kazimierz wszystko, a sam do stolicy powracał.

Dość było spojrzeć nań, aby zniechęcenie i znużenie wyczytać na twarzy. Do smutku przyłączyła się choroba, i król cierpiący mocno przyjechał do Lwowa.

Po kraju chodziły radosne tylko wiadomości o zwycięztwach odniesionych pod Beresteczkiem, o rozproszeniu Tatarów i Kozactwa. Lwów chciał zwyciężęcę bramami tryumfalnymi i uroczystością powitać wielką, ale król przodem wysłał, aby tego nie czyniono.

Gorycz, którą był przejęty, te tryumfy w szyderstwo-by zmienila.

Bez rozgłosu cicho, smutnie wjechał do stolicy Rusi i nazajutrz w łóżku leżeć musiał.

Wyprawiony ztąd poseł do królowej oznajmić jej miał o chorobie, potrzebie odpoczynku i blizkim do Warszawy powrocie. Z listów wiało

zniechęcenie, które Maryą Ludwikę dotknęło mocno.

Pracowała właśnie nad tem. aby beresteckie zwycięztwo uczynić głośnem i wielkiem. Zagraniczne pisma sławiły je i wystawiały króla, jako rycerza i bohatera. Wizerunki jego. z laurem na skroni rozrzucano po świecie.

We Lwowie Jan Kazimierz, z tego ożywionego wielkim duchem pogromcy pogan i rebelii. zwolna powrócił do znużonego i życiem zmęczzonego dawnego swego stanu.

Strzębosz. który powrócił był na służbę. patrzył zdziwiony litując mu się. O całej wyprawie tej niechętnie mówił. o swoim udziale w niej, milczał.

— Wszystko to rzucone w błoto, daremne. Porażą hetmanowie kozactwo, ale go nie złamią. Ognia takiego nie zgasić, potrosze go tłumiąc. Niech kraj o sobie myśli.

Znowu tedy lada o oczem począł Jan Kazimierz rad prawić, żartować i swawolę dworzan wywoływać. Poważny mąż przechodził w zdzienniały. skwaszonego. niemal przedwczesnego starca.

We Lwowie mimowoli zatrzymywała go choroba, którą upały zrodziły. Podniósł się z niej wycieńczony i musiał sił nabierać, nim dalej do Lublina mógł się puścić.

Baur w Lublinie spoczywać kazał. Tu przyszła wieść, że mała królewna, której narodzinami się tak cieszano, umarła. Jan Kazimierz nie okazał wielkiego smutku. Spodziewano się wkrótce nowego przybysza...

Maryi Ludwiki listy żałobne były i smutne.

W Lublinie dowiedział się król też o podkanclerzynie, która po dwakroć prosiła Maryi Ludwiki o posłuchanie, chcąc się przed nią oczyścić z potwarzy.

Królową pod wrażeniem tego, co Radziejowski jej donosił, po dwakroć odmówiła przyjęcia. Była to chwila, w której, dzięki zabiegom męża, potwarzami okryta Radziejowska, w zstępie drzwi znajdowała zamknięte przed sobą.

Zrozpaczona, chciała przynajmniej w oczach królowej być czystą. Po dwakroć odepchnięta, dumą i uczuciem niewinności swej wsparta, podkanclerzyna poczęła się do opuszczenia pałacu przygotowywać.

Naówczas królowa wreszcie, zjęta więcej ciekawością, niż współczuciem, kazała dać znać podkanclerzynie, że przyjętą być może.

Radziejowska odmówiła dumnie.

— Stukałam pokornie po dwakroć do drzwi j. król. mości — odpowiedziała — zamknięto je przedemną, nie przestąpij więcej tego progu.

Królową to zabolalo.

Przybyli na radę obaj bracia podkanclerzyny, która się powrotu męża obawiała. Po naradzie z nimi, wszystko, co drogocenne miał dawny pałac Kazanowskich, kazano zbierać, pakować na wozy i w części do klasztoru Klarysek, dokąd się podkanclerzyna schronić zamierzała, w części u braci, w bezpiecznych miejscach złożono. W ten sposób Radziejowska zapewniła się od męża, którego chciwość była jej znaną.

Głośno mówiła o rozwodzie.

Wkrótce owo piescidełko, które cudzoziemcy z podziwieniem oglądali, owo Kazanowskiego królewskie gniazdo, opustoszało. Pozostały w nim nagie ściany i to tylko, co się od nich oderwać nie dało. Kosztowne nawet jedwabne flamandzkie i skórzane hiszpańskie obicia wyłaczane, ze ścian zdarto. W skarbcu, w cekhuzie, w piwnicach, nigdzie nic nie pozostawiono, oprócz połamanych szczątków.

Radziejowska sama przeniosła się do klasztoru Klarysek, które hojnie obdarowawszy, zjednała sobie. Była to zapowiedź, rozłączenia się z mężem i rozwodu. Radziejowska mówiła głośno: żyć z nim nie mogę, raczej umrę, niż do niego powrócić.

Król o tem wszystkiem dowiedział się dopiero w Lublinie, choć z tego, co przywiózł Strzębosz, domyslać się mógł na co się zanosilo. Stawiło

go to w dosyć przykrem położeniu: zmnszonym był opiekować się podkanclerzyną i bronić jej, a wystąpienie jego musiało być przeciw Radziejowskiej i niemu tłumaczonem.

Przyspieszyło to może powrót króla do Warszawy, bo chciał podkanclerzego uprzedzić.

Radziejowski zpod Beresteczka wprost nie jechał do Warszawy: zatrzymał się w Kryłowie, próbował dowiadywać się do dóbr po Kazanowskim spadłych na żonę, któremi czuł się w prawie zawiadywać; ale tu wszędzie już znalazł panów Słuszków, ich rządzców i kommissarzy umocowanych, przeciwko którym chyba siły zażywałby musiał.

Wszystko to zwiastowało wojnę, właśnie w momencie, gdy on ją królowi też zmuszonym był wypowiedzieć.

Opieki Maryi Ludwiki nie był pewien; stosunki z nią, od niejakiego czasu ostygły. Skargi króla na Radziejowskiego, poparte doniesieniami innych królowej wiernych, odsłoniły przed nią bezecne zabiegi podkanclerzego. Owa potwarz ostatnia, obwinienie o przekupstwo, oburzyło Maryą Ludwikę.

Dosyć uroczyście wjechał król do stolicy, chociaż inaczej może spodziewał się do niej powracać.

Wprost najpierw z całym dworem zajechał

przed kościół S-go Jana, gdzie na niego duchowieństwo, senatorowie, królowa i mnóstwo zgromadzonego ludu oczekiwało.

Po odśpiewaniu pieśni dziękczynnych razem z Maryą Ludwiką udał się król na pokoje, gdzie znowu powinszowania, życzenia, pochlebstwa posypały się do stóp zwycięzcy, który je przyjmował tak zasepiony, jakby się nie czuł ich godnym.

Królowa pierwsza dostrzegła w mężu to zniechęcenie, które rosło, gdy wielkie czyny, bohaterstwo i sławę jego wynoszono. Ani na chwilę lice mu się nie rozjaśniło, a kilka słów swobodniejszych, które się z ust wyrwały, tyczyły się rzeczy drobnych i wypadków nic nieznaczących. Po tem przyjęciu urzędowem królestwo oboje znaleźli się samnasam. Jan Kazimierz odechnął.

Pierwsze jego wyrazy były wybuchem długo tłumionego żalu. Począł się boleśnie uskarżać przed żoną na niewdzięczność ludzi, na zniewieściałość szlachty, która umiała krzyczeć, ale bić się nie chciała.

— Powracam, nie jako tryumfator, choć na pozor zwyciężyliśmy, ale jako niewierzący już w nic i powątpiewający o przyszłości.

Marya Ludwika, która słuchała, nie okazując wcale zdziwienia, zamknęła mu wkrótce usta.

— Wszystko to ja wiem i czuję tak dobrze, jak i ty — rzekła — ale ani ja, ani ty nie powinniśmy okazywać, że się za upokorzonych i pogrzebionych uznajemy. Walczyć musimy do końca.

Król wybuchnął znowu.

— Ten łotr Radziejowski, ten zjadły wrog mój, wiesz co rozpuścił za wieści?

— Radziejowski niegodziwym jest człowiekiem — przerwała królowa — ale ta nieszczęsna żona, którą się ty opiekujesz, daje mu moc nad tobą.

Jan Kazimierz cisnął ramionami.

— I wy wierzycie temu! — zawołał.

— Mówię co słyszę i widzę — sucho ciągnęła dalej królowa. — Radziejowskiego potrzeba czemś ugłaskać, jest to zuchwalec nieulekniony. Dajcie mu pieczęć i prawo nieodstępowania was: nie ustąpi też i doje do żywego.

— A! zobaczymy — odezwał się król posępnie.

— Sejm się zbliża — mówiła dalej Marya Ludwika — od niego zależy dalsze prowadzenie wojny, obrona kraju, wszystko. Radziejowski poruszy kraj. ściągnie posłów warchołów, za-
burzy, nic zrobić nie da.

Od niego można się wszystkiego spodziewać.

— Ty masz nad nim przewagę — dodał król — użyjesz jej i swego wpływu.

— Jeżeli nie będzie zapóźno — szepnęła królowa zadumana.

Właśnie, prawie gdy się to działo na zamku, podkanclerzy już w Radziejowicach uwiadomiony o opustoszeniu pałacu, biegł do Warszawy wściekły, z odgrózkami na ustach. Wszystkich ludzi, dwór, czeladzie, jakie tylko mógł zebrać, prowadził z sobą zbrojne.

Wjazd jego na te puste dziedzińce, do murów poodzieranych ze wszystkiego, gdzie ani usiąść nie było na czym, ani spocząć, wprowadził go w szal i wściekłość.

Obie ręce ściśnięte przykładł sobie do czoła, jakby z niemi się chciał rzucić na żonę, i krzyczał:

— Wojna więc—otwarta wojna! ale nierówne siły.—Radziejowski pokaże, co może, mościa pani: nie jest on ani sam, ani bez broni!

Co chwila na pytania rzucane, odpowiadano mu tem, że zabrano wszystko. W kuchni nie było w czem jeść zgotować, w stajniach stały żłoby puste, cekhausz był cały wypróżniony.

Jak obłąkany latał po izbach i stawał, znajdując tylko ślady po sprzętach—nigdzie nic. Nawet wytworna kapliczka domowa podkanclerzyny ze swemi relikwiami i posążkami, rozebrana była i zabrana.

Trzeba było naprędce zapożyczać się u miesz-

czan, a na całą noc słać do Radziejowic, aby ztamtąd rzeczy pierwszej potrzeby pościągać.

Gdy mu mówiono, że pałac był odarty, wyobrażał sobie, iż tylko najkosztowniejsze zabrano sprzęty i precyoza, nie znalazł nic.

Człowiek tego, co on temperamentn. musiał do najgwałtowniejszych uciec się środków. Nie chciał przypuścić, ani, tego, aby mu żonę miał rozwód odebrać ani by on—przez nią był pokonany, upokorzony, w oczach ludzi.

Nazajutrz rano z wrzawą i gorączką podkancelerzy zuchwale wpadł do króla, domagając się sprawiedliwości.

Zimno odpowiedział mu Jan Kazimierz, że sprawy nie zna i że do niej mieszać się nie chce. Tu zresztą nie cywilne, ale duchowne władze rozstrzygały.

Radziejowski tym razem stanął przeciw króla z nigdy jeszcze nie objawionem tak gwałtownie zuchwalstwem. Groził, szydził, a gdy król począł go zbywać milczeniem, wybiegł bez pożegnania oszalały.

Wprost od króla udał się do nuncjusza. Włoch być musiał przygotowany na jego przyjęcie. Wielka powaga posłannika Stolicy Apostolskiej, jego moc, zmuszały Radziejowskiego do pokory.

Włoch, łagodny i słodki, pełen dobrotliwego

współczucia. przyjmował go z największą uprzejmością.

Podkanclerzy począł od zażaleń na całe postępowanie żony, a nie śmiąc wyraźnie obwinić króla, dał się domyślać jego winy.

Nuncyusz wcale tego rozumieć nie chciał,

— Żona powinna powrócić do mnie. Wasza Eminencya rozkażecie klasztorowi, aby mi ją wydał. Niéma żadnego powodu do rozłączenia się, a ja go nie chcę i nie dopuszczę.

Nazajutrz dał mu się wypowiedzieć, wyskarżyć, ile chciał; słuchał z bezprzykładną cierpliwością.

Wśród najgorętszego rozwodzenia się nad gorszącym postępkiem kobiety Włoch dał znak, z najzimniejszą krwią, aby podano—czekoladę. Chciał nawet napić nią podkanclerzego, który szorstko odmówił, co nie przeszkodziło nuncyuszowi z wielką gracyą, białą rączką przyozdobioną przepysznym pierścieniem ze szmaragdem, maczać biszkoptów w wonnym napoju i pożywać ich z błogiem zadowoleniem.

Skończył naostatek podkanclerzy, nuncyusz filiżankę postawił, usta otarł i począł z uśmiechem:

— Ubolewam sercem całym, nad! nieszczęściem jakie was, dostojny panie. dotyka radbym z duszy zaradzić temu, ale kościół w takich razach

zmuszony jest postępować z nadzwyczajną oględnnością. Klasztor i kościół tych, którzy pod jego skrzydłami szukają ochrony i opieki, nie mogą odpychać, ani wytrącać. Pani podkanclerzyna pozostanie u Klarysek przynajmniej, dopóki w procesie rozwodowym się nie rozpatrzymy.

— Ale ja rozwodu nie dopuszczę! — zawołał Radziejowski.

Nuncyusz zmilczał. Tu, jak z królem, odgrażać się nie było podobna, a zuchwałstwo mogło tylko zniechęcić księżęcia kościoła.

Po godzinnych, próżnych naleganiach i przekonywaniach Radziejowski musiał z niczem ustąpić.

Rozszalały, niepowściąagający się, gdy go gniew opanował, tegoż dnia wydał się z tem, że furty klasztornej szanować nie myśli, i ma dosyć ludzi, ażeby ją wyłamać, a żonę odzyskać. Ruch pomiędzy jego służbą zwrócił oczy, miano też baczność na każdy ruch jego i słowo.

Pani podkanclerzyna dowiedziała się o tem w klasztorze i strwożona dała znać na zamek.

Król bez namysłu kazał ludziom ze swej gwardyi osadzić natychmiast furte klasztorną. Sądzo-no jednak, że tego starczy, aby Radziejowskiemu odebrać ochotę napaści.

Tymczasem, czy nie wiedział, że gwardya w klasztorze stała, czy sobie to lekceważył, pod-

kanclerzy nazajutrz z gromadą zbrojnych ludzi zjawił się u bramy.

Zuchwale dopominał się wydania żony; odpowiedziano mu, że podkanclerzyna postanowiła tu pozostać i nie wyjdzie. Naówczas Radziejowski, krzyknąwszy na ludzi, rzucił się na bramę, ale w tejże chwili gwardya królewska z muszkietami stanęła naprzeciw, zagrządzając mu drogę, a dowódca jej krzyknął wcale niegrzecznie, iż ma rozkaz siłą odeprzeć wszelkie targnięcie się na spokój i klauzurę klasztorną.

Radziejowski, klnąc i pieniać się, dał znak ludziom do odwrotu.

Tłumy, ściągnięte ciekawością, śmiechem szyderczym odciągającego podkanclerzego ścigały. Powrócił do pustego pałacu, gdzie na niego przyjaciel Dębicki oczekiwał.

Wchodząc do sali, w której znajdował się podczaszy, Radziejowski drżał i mówić nie mógł.

Staął w końcu przed Dębickim i, palec na palec złożywszy do przysięgi, podniósł ręce w górę.

— Słuchaj i bądź świadkiem—zagrmiał głosem ogromnym—przysięgam zemstę... jej i królowi. Znajdzie mnie teraz Niemiec ten na każdym kroku, nieodstępny, przypiję się do niego jak kleszcz, ssać go będę jak pijawka. Przysięgał

niegdyś Zebrzydowski, że Zygmunta królestwa pozbawi; ja mu zedrę koronę z głowy,—życie mu zatruję... Ząb za ząb...

Dyszając, padł na ławę.

— Zbliża się sejm: Dębicki, na tobie polegamy. Spędzim mu posłów, którzy go ścigać i prześladować będą, wyrwiemy mu z rąk władzę... Zapłaci mi za wszystko.

Radziejowski małym mu się wydaje; pokażę, iż ma więcej siły w tem królestwie, niż on..

Drogo będzie musiał opłacić swe amory...

Głos mu drżał.

— Wiesz—rzekł—co czynić mamy, a ja, pójdę go jeść. Będzie mnie miał każdej chwili, jak groźbę nieustanną na oczach. Nie dam się odpuścić—nie dam się przejednać.

Podniósł pięść do góry.

— Poznasz, co to wojna ze mną!...

IX.

Podkanclerzyna pozostała w klasztorze; a wojna między królem a Radziejowskim poczęła się tak nieubłagana, jak zapowiadał.

Miała ona szczególny, odrębny, wyjątkowy charakter i znamię, które jej nadawał zajadły, ale obrachowany Radziejowski. Prześladowanie Jana Kazimierza zależało całe na tem, iż podkanclerzy go nie odstępował po całych dniach. Wciskał się, wchodził gwałtem i stał na oczach. Niekiedy tylko słowo, jak zjadliwe ukąszenie, wyrывało się z ust jego.

Przynosił z sobą zwykle, co tylko króla dotknąć mogło i zmartwić; zabierał głos przy obcych w ten sposób, aby mu okazać lekceważenie.

Potrzeba było cierpliwości nadzwyczajnej i poczucia godności swej, aby milczeniem zbywać zaczepki i wzgardę je odpłacać. Lecz męczarnie trwały czasem niemal po całych dniach, godzina-

mi. Stawało się to zabójczem dla Jana Kazimierza. który wytrzymałym nie był w niczem i lękał się, aby w chwili rozdrażnienia nie dopuścił do otwartego wybuchu.

Urząd podkanclerski, chociaż król unikał posługiwania się małą pieczęcią i zamiast niej prywatną swoją listy pomniejsze i urzędowe nawet akta korroborować kazał—dawał prawo Radziejowskiemu do tego natręctwa złośliwego.

Odpychany widocznie, stawał się tylko jeszcze bardziej naprzykrzonym; słowem: była to walka, która uwłaczała godności monarchy. Z jednej strony niemal bezsilność, z drugiej zuchwałstwo bez granic.

Oprócz tego podkanclerzy, wychodząc z zamku. wynosił z sobą szyderstwo i najzłośliwsze tłómaczenia każdego króla postępków. Ani publiczne czynności, ani życie prywatne. nie uchodziło jego oka. Król wiedział, że na prowincyach Radziejowski z pomocą Dębickiego, Zamojskiego jednego i kilku swych przyjaciół, gotował na przyszłym sejmie. najstraszniejszą przeciwko królowi opozycyą.

Marya Ludwika, dla której podkanclerzy zachował pewien rodzaj poszanowania, udając politowanie nad jej losem, — próbowała napróżno swoim wpływem go poskromić. Zaciętość przeciw królowi nie miała granic. Jan Kazimierz

zrozpaczony niemal, wołał czasem—że dałby co-by kto zażądał, byle go od podkanclerzego uwolniono.

W tym czasie zmarł właśnie stary, sędziwy, zasłużony hetman Potocki; pozostawały po nim do rozdania: buława wielka, Kasztelania Krakowska. i Starostwo Lubelskie.

Ni mniej, ni więcej, Radziejowski począł wołać i głosić, że mu się buława należała, do której ani zdolności, ani zasług, ani najmniejszego sobie rościć nie mógł prawa.

Było to oburzającym.

Przy tej władzy, jaką zapewniała buława wielka koronna, oddanie jej nieprzyjacielowi znaczyło zdanie się na jego łaskę lub niełaskę—zaprzędanie się w niewolę.

Radziejowski tak rachował na to, iż królastraszył, że mu się stał groźnym, iż śmiał na hetmańską buławę tu rachować.

Król na samą wzmiankę rzucił się i krzyknął:

— Gdybym życiem miał to przypłacić,—nigdy w świecie!

— Wszyscy też bliżej Jana Kazimierza stojący, królowa wreszcie, której wpływ zawsze był stanowczym, oburzali się na to wymaganie, zowiąc je szalonym.

Jednakże potrzeba było zapewnić się, że sejm

nie będzie burzliwym i bezpłodnym, i że Radziejowski przestanie ścigać króla.

Jan Kazimierz powtarzał, że żąda tylko nie mieć go zawsze na oczach, za sobą i przy sobie. Marya Ludwika więc wniosła, ażeby wykupując się, dać wrogowi jedno z największych dostojnictw w Rzeczypospolitej: Kasztelanią Krakowską i Starostwo Lubelskie.

Ofiara to była istotnie olbrzymia, którą w innych razach największemi zasługami zdobywać było potrzeba. Dać takiemu warchołowi kasztelanią—było niemal uznać się zwyciężonym.

— Dam mu kasztelanią—odparł król — byłem go na oczach nie miał, byłem go nie widział; niech bierze Starostwo Lubelskie, nie uczynił nic, aby na nie zarobić; zmusił mnie, jak Cerber, do zatkania sobie paszczy: niech precz idzie tylko!

Stała się rzecz nie do wiary. Kanclerz Leszczyński miał sobie poleconem oznajmić to Radziejowskiemu.

Podkanclerzy, który powinien był przyjąć łaskę królewską z wdzięcznością zapewne wnosząc, iż groźnym był tak, że wszystkiego, co chciał, mógł wymagać, odparł lekceważąco:

— Zdało mi się, że na buławę zasłużył, i ona mi należy; kasztelanii—ani pragnę, ani przyjmę.

Leszczyński, który wcale pyszałka szalonego nie szczędził, mimowoli się przeżegnał.

— Nie chce mi się własnym uszom wierzyć— rzekł. Jakież to zasługi panna podkanclerzemu do buławy dają prawa? Byłoby to z pokrzywdzeniem innych... Król nigdy tego uczynić nie może. bo-by sędzono. że się wacpana nastraszył.

Podkanclerzy odparł zuchwale:

— Woluo sądzić jak się komu podoba. ale chce-li król, aby mógł i o sejm i o wojsko i o pobory spokojnym być — niech mi da buławę, inaczej... inaczej ja nie ręczę. czy kto wzburzoną szlachtę poskromić potrafi.

Kanclerz nie chciał się w rozprawy wdawać; spytał tylko:

— Rozważyłeś to, panie podkanclerzy? mam tę odpowiedź królowi JMci dać w jego imieniu?

— Nie cofam jej i nie cofnę—zawołał dumnie Radziejowski—albo buława, lub—nie.

Zdumienie było wielkie. król osłupiał; Marya Ludwika posłała sekretarza Desnoyers, aby do niej prosił Radziejowskiego.

Nadzwyczajna pobłażliwość i dobroć króla, zamiast opamiętać szaleńca. uczyniły go stokroć śmielszym. Śmiał się i szydził, a Dębickiemu zaręczał. że buławę dostanie.

Gdy się to rozeszło pomiędzy obecnymi w Warszawie senatorami. wierzyć nie chciano

zrazu, aby podkanclerzy takiego szaleństwa się dopuścił. Miano za złe Janowi Kazimierzowi powolność, a co gorzej, przypisywano ją—łasce zbytycznej dla pięknej podkanclerzyny. Król, zamiast sobie tem poradzić—szemranie obudził. Buława wielka w rękach Radziejowskiego po prostu śmiech wzbudzała.

Na zawołanie królowej z południa stawił się podkanclerzy do niej, ale wszystko to razem czyniło go coraz zuchwalszym tylko. Obawiano go się—to było jawnem—zatem trwogę powinien był wyzyskać.

Królowa zdobyła się na nprzejme dawnego krajczego swego przyjęcie, który z butą wielką się stawiał, i jakby rozgorączkowany.

Poczęła łagodnie od oznajmienia mu o Kasztelanii Krakowskiej i Starostwie Lubelskiem.

Wystąpić jawnie z żądaniem buławy nie wypadało Radziejowskiemu; miał już przygotowane tłumaczenie.

— Bardzo jestem wdzięczen J. Król. Mości rzekł z ukłonem szyderskim — ale czując, że nie mam łaski, że to jest tylko środek pozbycia się nieznosnego natręta: nie chcę być winien godności tej... wstrętowi do mnie. Król JMość powinien-by nareszcie przekonać się, że w terażniejszych okolicznościach nie obejdzie się beze mnie.

Maryja Ludwika poczęła go łagodne nama-

wiać na przyjęcie najpierwszego krzesła w senacie rzeczypospolitej. Podkanclerzy dziękował.

— N. Pani — rzekł — nie przyjmę go... to pewna... nie mogę i nie przyjmę.

Dosć długo na różny sposób usiłowała go zmiekczyć królowa, — napróżno; wszystko się rozbiło o twardy upor i zapewnienie, że kasztelanii nie chce i nie weźmie.

Nikt nie śmiał o tem poczwarnem wzgardzeniu łaski króla donieść mu. Jan Kazimierz wierzył w to, że Radziejewski weźmie krzesło to ze starostwem i naostatek uwolni go od przebywania na dworze: królowa nawet wahała się wyznaczyć mężem. Ale ona prosiła napróżno. Probowala jeszcze przez rozmaite wpływy działać na podkanclerzego; lecz im więcej na niego nalegało, tem jemu zdawało się, że był niezbędniejszym i groźniejszym.

Na wszystko odpowiadał dumnie:

— Nie da mi buławy: nie chcę nic!.. rozprawię się na sejmie!

Na zapytanie króla Marya Ludwika musiała wreszcie oznajmić mu, że — podkanclerzy pogardził Kasztelanii Krakowską i przyjęć jej nie chciał.

Zdawało się to tak nieprawdopodobnem iż Jan Kazimierz nie zrozumiał odmowy w początku; królowa musiała mu, nie nie tając, opowiedzieć

swą rozmowę z Radziejowskim. swe starania i— pogardliwą odprawę, jakiej doznała.

Zbladł król z tłumionego gniewu.

— Otóż— rzekł—czem jest w Polce panujący i jaka moc jego!

Rozpostarł ręce i zamilkł.

Wlokło się tak przez dni kilka. w ciągu których Radziejowski wpadał na pokoje z butą ogromną. stawał przed królem, w oczy mu prawił groźby, nie w swem imieniu, ale jako przepowiednie sejmowe, i nie dawał spoczynku Janowi Kazimierzowi.

Najłagodniejszy charakter. najbardziej znużony i osłabły człowiek, ustępuje przecież do pewnej granicy tylko. Podkanclerzy nie rozumiał tego, że przebrał miarę.

Dębicki osmielał się zcicha mu podszeptywać:

-- Możecie się pochwalić tem, co nierychło drugi raz w tej Rzeczypospolitej komu się przygodzi—postponować Kasztelanią Krakowską!

-- Wszystko lub nic! — odparł zuchwale podkanclerzy— albo teraz lub nigdy. Wiem co i dla czego czynię. Złamię go—nie ustąpię.

Tymczasem ze strony króla i oferty ustały i wszelkie do pojednania kroki. Radziejowski cisnął się na pokoje; Jan Kazimierz nie patrzył na niego, a wakause po hetmanie zostały rozdane.

Podkanclerzy szalał niemal.

— Zobaczmy—powtarzał, naradzając się z Dębickim—nadchodzi sejm: rozprawimy się z krolew JMością... rozprawimy.

Wszystko wróciło do dawnego trybu. Król nie patrzył na podkanclerzego, a Radziejowski zajądło mu doskwierał.

Sprawa z podkanclerzyną ciągnęła się bez nadziei rozwiązania rychłego. Radziejowski tymczasem w zajętych pałacu po Kazanowskim rozgospodarowywał się, jak w domu.

Sprowadził kilka działek, posadził małą załogę, jakby przeczuwał, że go ztąd wyprzeć zechcą; ściągwał sprzęty z Radziejowic.

Wszystko to czyniło się umyślnie, ostentacyjnie, jawnie, aby tem drażnić podkanclerzynę, której donoszono o każdym mezu kroku.

Życie jej w klasztorze, mimo całej rezygnacyi stawało się w końcu nieznośnem; do innego była nawykła. Tu nikt jej nie odwiedzał, nie miała innego towarzystwa nad litościwe, ale wcale światła nierozumiejące zakonnice. Dnie stawały się długimi, nabożeństwo ich całych zająć nie mogło. Podkanclerzyna zalewała się łzami; nie było jednak ratunku, bo o zgodzie z mężem słuchać nie chciała. Radziejowski zaś przeciwko żonie tem zacieciej powstawał, że próba zagarnięcia jej majątności nie powiodła się.

Bracia podkanclerzyny, szczególnież Bogusław, starszy, cznawali nad siostrą i gotowi byli przyjsć jej w pomoc.

Bogusław, który może zbyt wiele na króla i jego protekcyą rachował, oznajmywał przybycie swe na sejm, dodając w listach do siostry, że gromadkę Litwinów z sobą przyprowadzi.

Odgroźki Radziejowskiego z jednej strony, z drugiej Słuszków przechwałkami się równoważyły. Rozdrażnienie rosło. Podkanclerzy miał jakieś przeczucie, że mu pałac, który zagarnął, Słuszkowie odebrać zechcą; ale mając w nim parę działek i trochę ludzi, nie przypuszczał, aby siły użyć winno, tuż pod zamkiem i pod bokiem królewskim.

Zwlokło się tak do początku następnego roku, i Bogusław Słuszką przybył do Warszawy z bratem Zygmuntem.

Spotkanie się z siostrą, która cała we łzach wyszła ich do furty powitać, obu młodych paniczów do najwyższego poruszyło stopnia.

Zdało im się, że gdy król gwardyą swoją z klasztoru siostry ich nie dał zabrać mężowi—inne też kroki dla wyswobodzenia jej i mienia nie zostaną im naganione.

Z niewieścią nieopatrznością, również na króla rachując zbyttnio, podkanclerzyna, znajdowała

naturalnem i sprawiedliwem. aby bracia pałac podkanclerzemu odebrali—choćby siłą.

O przygotowaniach do tego zuchwałego kroku, nikt nie wiedział. bo Litwa, pewna, iż słusznosc miała za sobą, nikogo się nie radziła.

Pierwszy lepszy byłby objasnił Bogusława Słuszkę, iż w stolicy pod zamkiem siłą chcieć wtargnąć do domu i ściągnąć walkę, było zbrodnią główną.

Ponieważ wkoło zamku zawsze wiele było ruchu i wrzawy, nie spostrzeżono prawie zrazu. gdy oba bracia z całą gromadą zbrojnej Litwy rzucili się pod wieczor dnia jednego na pałac Kazanowskich.

Ludzie Radziejowskiego nie byli wcale przygotowani do boju; ale tem się odznaczał cały dwór jego, że go sobie dobierał z zapamiętałych i rozpalonych.

W podworcach więc rozpoczął się zacięty bój. strzelanie, szturm. odpieranie ich, zdobywanie niemal każdego budynku i nieledwie izby, tak, że dopiero po sześciu godzinach upartej walki Słuszkowie zdołali wyprzeć Radziejowskiego, załogę i pałac odzyskać.

Podkanclerzy był w Radziejowicach. ale gdy mu konnym posłańcem dano znać o zdobyciu pałacu. rzucił się jak wściekły, zaklinając się, że

gdyby przyszło gardłem nałożyć, odzyszcze go i Słuszków rozumu nauczy.

Co tylko miał we dworze ludzi zbrojnych, czeladzi, która uzbrojoną być mogła, a w dodatku co z okolicy drobną szlachtą zasiedlonej wyciągnąć się dało ochotników — natychmiast zgromadził. obiecując nagrodę sowitą, pojąc i umawiając, — i z tą kupą dosyć liczebnie znaczną, puścił się do Warszawy z takim pospiechem, że tegoż dnia po północy z wrzawą i strzelbą rzucił się na Słuszków załogę.

Bramy powyłamywano łatwo, ale w pałacu znalazł opór dzielny. Co się tu działo przez całą niemal noc — o tem tylko nazajutrz leżące w podwórcach po kurrytarzach, pod murami, w salach trupy i ranni świadczyli:

Z obu stron walka była wściekła, zajadła — rozpaczliwa. Radziejowski sam osobiście nie brał w niej udziału, stał tylko w pogotowiu, aby po wymordowaniu Litwinów, pałac zająć we władanie. Tymczasem Litwini Słuszków z własnych podkanclerzego działek strzelając i broniąc się zawzięcie, pijanej ruchawki jego dosyć nabiwszy, utrzymali się w zdobytym pałacu, a napastnicy uchronić musieli.

Pierwszy napad Słuszków, chociaż trwał godzin kilka, przeszedł jakoś tak cicho i nieznacznie, że go w mieście prawie niespostrzeżono

i ledwie się o nim nazajutrz dowiedziano. Nie przypisywano mu też wielkiego znaczenia, widząc w nim tylko wprost odzyskanie własności zagrabionej, śmiałe ale usprawiedliwione.

Radziejowskiego napad, przeciwnie, poruszył całe miasto. Strzelanie z działek, z muszkietów, wrzawa, krzyki, wpośród ciszy nocnej—napełniły trwogą stolicę.

Miejskie straże, dwory panów senatorów wszystko się uzbrajało, jakby nieprzyjaciół nacierali.

Nikt oka nie zmrużył przez noc całą: pospólstwo gromadami ciągnęło pod zamek, pod Bernardynów, pod pałac, i stało, oczekując końca, który dopiero nad ranem objawił się tłumną nacierającą szlachty i czeladzi podkanclerzego. On sam, przestraszony i gniewny, musiał szukać schronienia u protegowanych przez się Dominikanów, przy ojcowskim grobie.

Ledwie się dzień zrobił, kanclerz Leszczyński, Radziwiłł, senatorowie, urzędnicy pośpieszyli na zamek, do króla, gdzie też przez całą noc nikt nie zasnął. Jan Kazimierz podrażniony zuchwalstwem Radziejowskiego, niespokojny, posyłał się dowiadywać co chwila i nie odetchnął, aż mu dało znać, że podkanclerzego precz odegnano.

Burda ta pod boki króla, z lekceważeniem

prawa, nieposzanowaniem majestatu, dopełniała miary, domagała się przykładnego skarcenia.

Na to się zgadzali wszyscy, chociaż sądząc podkanclerzego należało pociągnąć Słazków i podkanclerzynę, których wina równa była... tych jednak wszyscy i Jan Kazimierz chciał oszczędzić.

Król, który nigdy mściwym nie był, a po wybuchach straszego gniewu, stawał się wkrótce apatycznym, tym razem nawet królowej nie dał się ułagodzić. Chciał się pozoyć wroga.

— Bezkarne pusić się nie godzi takiego bezprawia — rzekł Maryi Ludwice — raz muszę się od niego uwolnić—bądźcobądź

Radziejowski nie zrobił w początku najmniejszego kroku, aby się bronić, niemal pewien będąc, że się go zleknie król i pusi płazem gorszący ten wybryk; rachował też na to, że ratując Słuszków i jego mnszą oszczędzić.

Tymczasem nad głową jego groźna zbierała się burza. Bez względu na wysoką godność pieczętarską, którą piastował, po naradach między senatorami i u króla, postanowiono sprawę zdać na sądy marszałkowskie.

Mogła być sędzouą tylko przez króla samego lub przez nie. Przeważyło zdanie biskupa Leszczyńskiego, który nie chciał dopniścić, aby król sam był sędzią i ściągnął na siebie złośliwe języki.

Radziejowski zniknął.

Zaledwie się wieść o przekazaniu sprawy sądowi marszałkowskiemu rozeszła, gdy Lubomirski, marszałek wielki koronny, rozumiejący to dobrze, iż idzie o gardło, a Radziejowskiego na śmierć lub banicję i infamię wyrokować będzie potrzeba—wyjechał co rychlej z Warszawy; przyjacielem jego nie był, ale się jeszcze obawiano podkanclerzego i oszczędzać go chciano.

Opaliński, który go zastępować musiał, wymawiać się nie mógł i nie chciał; pozwy wydano za Radziejowskim, żoną jego i Słuszkami.

Mimo całego swego zuchwalstwa, podkanclerzy uczuł, że mu się ziemia pod stopami zachwiała—na przebaczenie króla nie mógł rachować, ani na protekcję królowej.

Zniknął więc, ukrył się i naprzód w klasztorze xx. Dominikanów, potem na wsi u przyjaciół prześiadując zemstę jeszcze gotował bezsilną, potajemnie burząc szlachtę.

Głos powszechny był przeciwko niemu i jemu winę całego zajścia przypisywano. Słuszkowie też prawie równie surowego wyroku przeciwko sobie się spodziewać mogli, ale tu wpływ króla, starania ks. Albrechta Radziwiłła, wpływały wielce na złagodzenie dekretu śmierci.

Na Radziejowskiego wypadł on, jak przewidywano: odsądzony od urzędu, ogłoszony infamisem

i banitą.. Słuszką i siostrą grzywnami tylko i ciężkiem więzieniem ukarani zostali.

Zdawało się, że na to już niema ratunku; podkanclerzy jednak znalazł jeszcze środek przeciągnięcia sprawy: udał się do trybunału w Piotrkowie, który wyrok sądów marszałkowskich unieważnił, ale się to w żaden sposób utrzymać nie mogło.

Król natychmiast wszelką nadzieję ulaskawienia odbierając Radziejowskiemu, podkanclerstwo i wszelkie po nim wakanse porozdawał. Strącony z tej wyżyny na której sobie poczynił z tak bezprzykładnem zuchwalstwem, banita, zmuszony życie ratować, bo teraz na łasce był pierwszego lepszego nieprzyjaciela — musiał z kraju uchodzić.

Zbiegł naprzód do Wiednia, szukając tam pośrednictwa czy przytułku; ale go przyjęto zimno, i zgubiwszy tu pieczęć, którą był zabrał (znaleziono ją potem u żyda), puścił się dalej ku Szwecyi.

Mściwy, niezłamany jeszcze wichrzyciel, który dokoła swojego wizerunku pisać kazał, iż napastowanym był, ale nietkniętym ¹⁾, jechał do Szwecyi knując już zdradę. Z jego naprawy zaczęniętą została wojna, która całą Rzeczpospoli-

1) Sztych J. Faleka.

tę niemal na skraj przepaści zawiodła.—Rzucimy zasłonę na życie nikczemnika...

Była to nieszczęsna godzina gniewu bożego, gdy rokosze i warchoły mnożyły się nieustannie, gdy wojska wiązały się przeciwko hetmanom, hetmanowie przeciw królowi, a ów niezapomniany Siciński, poseł upicki, jednym głosem sejm zrywając, uchodził pomsty zasłużonej.

Z tych małych pożarów zajął się ogień wielki, który o mało nie pochłonął państwa i nie zachwiał dalszym jego bytem. Władza i powaga królewska nie ważyły nic na szali.

W czasie, gdy się ten straszliwy dramat odegrywał, który później w złośliwą przechodząc legendę, na pamięci podkanclerzyny zacieżył, zmarła naprzód królewska córeczka, a narodził się synek, ale i tym krótko się rodzice cieszyli.

Marya Ludwika. wśród najboleśniejszych przejść zahartowana, nie zrozcona — sama jedna niezłomna — zachowała do końca całą energią swego charakteru.

Widzieliśmy ją do końca życia nienastającą krzątać się, zabiegać, starać, aby z Polski uczynić hołdownicę i sprzymierzeńca Francyi.. politycznie jej poddanego.

Obok niej Jan Kazimierz, od wyprawy zwyciężkiej zpod Beresteczka stoi, uwieńczony lau-

rem wprędce uwiedłym — bezsilny, niewierzący w siebie zdziecinniały.

Nie jest on już tym rycerzem, jakim go uczyniła Marya Ludwika: apatyczny, znudzony, — bawi się i szuka rozrywek, zapomnienia, roztargnienia. Cięży mu korona. Szereg klęsk długi wyczerpuje go do ostatka.

Przy królu pozostawszy na usługach, rażny ów, ochoczy zwawy Strzębosz, który rycersko chciał służyć i mógł się odznaczyć, bo mu na niczem nie zbywało, czego człowiekowi potrzeba, aby się dorobił sławy, a na starość kawałka chleba — z latami tej dworskiej służby, zmarniał, — ntył, ociężał i już sam sobie nawet nic nie obiecywał. Wzdychając niekiedy, przypominał sobie przepowiednię nieboszczyka Książkiego — ale za późno.

Prawda, że panu swojemu wiernie i pocziwie, nie żałując trudu, często życie narażając, posługiwał we wszystkim, i czasu pokoju, którego mało kto w Polsce zażył lat następnych i czasu wojny, gdy z miejsca na miejsce uchodzić i błąkać się było potrzeba. Król też bez niego obejść się nie mógł; ale to była służba, z którą się nawet chwalić było trudno, bo mało co więcej miał do roboty nad ulubione karły.

Król znudzony, najczęściej go do poufalej rozmowy używał, pozwalając bezkarnie prawić, czego-by nikt inny nie śmiał. Choć się czasem pogniewał, bo Dyźma mu gorzką prawdę mówił niekiedy, i ostro przycinał; ale, połajawszy, potem w godzinę datkiem go łagodził. a znowu z niego ciągnął, co ludzie pletli, co on myślał, co się gdzie po kątach działo.

Wszystkim było tak dobrze znanem, iż Strzęboszowi wolno prawić. co się zamarzy, a słowo jego ma wagę, iż czasem nawet królowa go używała, polecając, aby pana namawiał na coś lub mu coś odradzał.

Skntkowało to prawie zawsze.

Obejście się Jana Kazimierza z tym faworytem było osobliwe, bo przy ludziach, aby pokryć swą słabość dla niego, król ostro i szorstko z nim poczynął, — gromił go, narzekał—a na cztery oczy głaskał i przepraszał.

— Ty wiesz, że masz łaskę u mnie—powtarzał—ale ludzie o tem nie powinni wiedzieć.

Zaraz po powrocie do Warszawy Strzębosz pobiegł do Włoszki, bo zawsze miał jeszcze w sercu czarne oczy jej córki. Lękał się, ażeby jej matka za starego nie wydała. Nie znalazł wprawdzie już Massalskiego, bo rodzina go odciągnęła i wywiozła, dowodząc, że Bertoni była czarownicą i jemu filtr zadano — ale natomiast

już był jakiś starosta, dość na pozór zamożny wdowiec. Ten po zaręczynach już być miał z Bianką, a dziewczę śmiało się, ruszało ramionami i i żadnej do tego wagi nie przywiązywało.

Powtarzała, stojąc przed zwierciadłem:—Pani starościna! pani starościna!

Dyzma, przestraszony, padł do nóg królowi, ofiarując mu się służyć do śmierci, byle pomógł do Włoszki. Jan Kazimierz nie był od tego. Kazał zaraz matkę przywołać.

Bertoni przyszła nadąsana, gdyż królowi zapomnienia o sobie przebaczyć nie mogła. Nawykła do poufałości i nieposzanowania, ząb za ząb poczęła się z królem njadać, którego to bawiło. Tupał nogą, groził, ale śmiał się. Służba tuż po de drzwiami słuchając, za boki się trzymała. Zpół godziny trwał ten spór, w końcu którego rozdrażniona Bertoni oświadczyła, że póki żywa, córki za pokojowca nie wyda.

— Idź-że precz i ani mi się pokazuj na oczy! — krzyknął król, wychodząc.

W progu Włoszka spotkała Strzębosza i mszcząc się na nim, mało mu oczu nie wydarła; on też jej nie oszczędzał i tak wszystko się здаwało bezpowrotnie straconem.

Dyzma chodził jak struty, choć go i król i towarzysze starali się tem pocieszyć, że sobie łatwo inną znaleźć może.

Trwało to blisko roku, w ciągu którego próbował się na Stare Miasto przekradać, ale tak pilnowano dziewczęcia, że ani jej mógł zobaczyć.

Zaklął się potem, że chce i musi o niej zapomnieć.

Gdy później z królem razem powrócił do Warszawy Dyzma, jednego wieczora z wielkiem zdziwieniem swem ujrzał wchodzącą Bertoni, która, przywitała się z nim bez gniewu—wcale uprzejmie...

Strzębosz języka w gębie zapomniał.

Zapytała go o króla; poszedł więc oznajmić o niej, a król wpuścić ją kazał.

Dyzma, chociaż wyjść musiał, ucho do drzwi przyłożył i słuchał, jak Bertoni żałośliwie na los swój się uskarżała, a w końcu oświadczyła wzdychając, że gotową już była spełnić wolę króla, i córkę dać choćby Strzęboszowi.

Oślupiał, nie mogąc pojąć co się stało.

Zmiany tej przyczyną było, jak się później okazało, że Włoszka panu staroście na oczyszczenie jego majątności, znaczne dała pieniądze, nie zabezpieczywszy ich żadnym skryptem, a tego na polowaniu niedźwiedź tak poszarpał, iż do domu z łowów nie dowieziono żywego. Rodzina zaś o płaceniu długu ani słuchać nie chciała. Bertoni zapozwała i przegrała w trybunale. To ją zubożyło.

Musiła więc losu szukać dla córki, której na gachach nie zbywało, ale wszyscy byli — jak święci turecy.

Dyzma poleciał zrazu na Stare Miasto, jakby mu bramy rajn otwarto. Wszystek czas, jaki mu od służby zostawał tu spędzał, Bińka była bardzo grzeczna, ale, ile razy tu przyszedł, zastał zawsze przy niej co najmniej jednego, czasem po kilku ichmoseciów, których zdawała się równo mile przyjmować.

Strzębosz, markotny, od tego począł, że z dwoma się przemówiwszy, obciął ich, a jednego wyplązował tak, że się potem parę tygodni smarować musiał. Bianka z — coby mu za tę miłość wdzięczną być miała, zaczęła krzywo spoglądać i ostro mu przycinać.

Przyszło do zwady i Strzębosz raz powróciwszy na zamek, zły, zaklął się:

— Nie pójde więcej: miłsze jej te gachy nade mnie. — z Panem Bogiem!

W parę dni stara Bertoni przyszła ze skargą do króla, który już wiedział o wszystkim utrzymując, że Strzębosz jej córkę zbałamucił, po tem zdradził i zawiódł.

Przywołano winowajcę.

— Jako żywo nie zdradziłem nikogo — rzekł śmiało — ale pauna gachów lubi, dużo ich ma na nsiługach, a ja żonkę chcę mieć dla siebie.

Król śmiał się, bawiło go to, jak wszelkie miłości i plotki. Włoszka rozplakała się naprzód. rozgniewała potem, nakrzyczała, nałajała, a Strzębosz nie dał się poruszyć. Król występował jako rozjemca, godził, ofiarował się i na wyprawę dać do żup kwit i wesele sprawić. Dyżma rękę ucałowawszy. podziękował—nie chciał. Czas też był nie wesoły, bo razem z królem uchodzić przyszło. Dyżma mu towarzyszył wszędzie.

Gdy po Szwedach powrócili do Warszawy, znalazłszy tu ruinę tak straszną, że się krwawymi łzami płakać nad nią chciało,—bo nieprzyjacieli ani kościołów, ani pałaców nie poszanował, z dachów miedź, a z posadzek marmur wydzierał. Strzęboszowi już dziewczyna nie była w głowie.

Nierychło tknęło go coś, dowiedzieć się o niej.

Starej sekutnicy Bertoni na świecie już nie było, Bianka chodziła w żałobie —po mężu! Wydała ją była matka za Niemca, wojskowego, który się około dział znał i dobrze mu płacono—aż kula szwedzka głowę mu urwała.

Wielka litość wzięła go nad niebogą, która przy odłużonym domu, sama jedna, bez opieki pozostała. Piękna była jeszcze, ale dawna jej zalotność zmieniła się na wielką pobożność, tak, że o klasztorze mówiła.

Dyzma po starej znajomości odwiedzać ją począł, rozmyślając: czyby nie ożenić się z wdową?

Zwierzył się z tego królowi, bo pan i sługa nawzajem sobie wszystkie myśli odkrywali.

Król nie bardzo na małżeństwo namawiał, obawiając się, aby Dyzma potem więcej żony, niż jego nie chciał pilnować.

— Po co tobie ta żona! — mówił — ciężar tylko u szyi uwiesisz. Jużes i postarzał... a ona owdowiała...

Dyzma na przekór zapragnął skosztować małżeństwa — i, ożenił się mimo króla. Pani Strzęboszowej dano na zamku dozór bielizny królewskiej i żeńskiej służby, aby przy mężu zamieszkać mogła.

Król widywał ją częstą, a że rezolutną była i nie obawiała się go, wkrótce taką nad nim wzięła przewagę, jak mąż. We dwoje czynili z królem, co chcieli.

Gdy nareszcie Jan Kazimierz, nie dając się ubłagać, koronę złożył dla tego Francuza, który jej nie miał otrzymać — wyjeżdżając spoczywać do Francyi, zabrał z sobą oboje.

W Krakowie jeszcze po drodze król tak wesół był, że się dał do tańca wciągnąć i bardzo okazywał się szczęśliwym, że się zbył ciężaru. Po drodze szlachta to drwiła z pana Snopkowskiego, to go przeklinała — nie mogli mu darować, że

Francuzowi rzucał koronę. Strzęboszowstwu też wędrówka do Francyi nie smakowała, ale król nie mógł się obejść bez Dyzmy, nie miałby był z kim baraszkować. Znikli tak z horyzontu i co się później stało z nimi—nikt nie wiedział, a mało się o to troszczył.

Smutną mową proroczą przy złożeniu cierniowej korony, skończyła się epoka straszna, o której powiedzieć można, że na niej, jak na cieleszarańczy stało wypisane, tajemniczymi głoskami, znamię—gniewu Bożego.

K o n i c e .



Biblioteka Raczyńskich

JK 40



JK0040